

De. II 10

TOM CCLXXXV.

ROK 72.

ZESZYT 853.

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

STYCZEŃ.

1912.

---

TOM I.—ZESZYT 1.

---

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—  
1912.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
1. PIOTR SKARGA,—przez <i>d-ra Tadeusza Grabowskiego</i> . . . . .	1
2. WSPOMNIENIA Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI, — przez <i>Henryka Wiercińskiego</i> . . . . .	14
3. Z AKTÓW SŁAWNEJ PRZYJAŹNI,—przez <i>Adama Żółtowskiego</i> . . . . .	56
4. EWOLUCYONIZM W HISTORII LITERATURY,—przez <i>d-ra Maurycyego Manna</i> . . . . .	87
5. NEOWITALIZM,—przez <i>Bohdana Rutkiewicza</i> . . . . .	100
6. MAŁARSTWO HOLENDERSKIE,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i> . . . . .	119
7. SZKOLNICTWO UZUPEŁNIAJĄCE NA ZACHODZIE,—przez <i>Bronisława Bouffała</i> . . . . .	142
8. PIŚMIENICTWO:	
JÓZEF WEYSSENHOFF: „Soból i panna,—przez <i>Henryka Gallego</i> . . . . .	159
EDMUND KOŁODZIEJCZYK: „Ludność polska na Górnych Węgrzech,—przez <i>W. D.</i> . . . . .	164
JERZY ŻUŁAWSKI: „Gród słońca,—przez <i>M. Kridla</i> . . . . .	166
„Przyczynki do dziejów wychowania i oświaty w Polsce,—przez <i>d-ra Z. Bujakowskiego</i> . . . . .	171
BARWIŃSKI EUGENIUSZ D-R: „Dyaryusze i akta sejmowe z r. 1591 — 1592,—przez <i>I. B.</i> . . . . .	175
WŁADYSŁAW FEDOROWICZ: „1809. Campagne de Pologne,—przez <i>Marcelego Handelsmana</i> . . . . .	177
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Pod znakiem spraw polskich. — Walka o wolność sumienia przed forum Rady Państwa. — Trzy etapy sprawy polskiej w Izbie. — Interpelacya o tajne nauczanie przyjęta. — O rolę Żydów w samorządzie.—Deklaracya Koła i stosunek do niej różnych opinii.—Sprawa chełmska.—Memento mniejszości. — Rozprawy historyczne i mowy posłów polskich. — Na rok nowy.—Towarzystwo Naukowe we własnej siedzibie . . . . .	180
10. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. <i>Wacław Karczewski</i> , ś. p. <i>Grzegorz Smólski</i> , ś. p. <i>Stanisław Markiewicz</i> i ś. p. <i>Jan Kowalczyk</i> ,—przez <i>L. W.</i> . . . . .	192
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	198



Wydawnictwo Biblioteczne Towarzystwa 1822

1822

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA

DEMO. WARSZAWA.

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**


Itak 1912. Tom I.

WARSZAWA

Wydawnictwo Biblioteczne Towarzystwa 1822

1822

Ogólnego zbioru Tom 285.



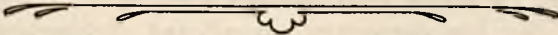
BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1912.—Tom I.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

—  
1912.



Wydawnictwo Biblioteczne

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA



De. II 1.

Tom I

# Piotr Skarga

(W trzechsetną rocznicę zgonu).

## I.

Przyszedł Skarga w wieku, który był cały jedną wielką walką o naprawę Kościoła i państwa. Poprzedził go Hozyusz, Kromer, Herbst, Wujek, Sokołowski, Powodowski. Ale on przewyższył wszystkich zdolnością pisarską, poczuciem potrzeb ogólniejszych, rozległością podjętych zadań. Stał się niejakim na czele wojującego katolicyzmu czasu, swą działalnością kaznodziejską zastąpił czynny dawniej, jak świadczą nazwiska Łukasza ze Lwowa lub Melchiora z Mościsk, zakon dominikański.

Był humanistą, jak ogół ludzi piszących, w tem tylko znaczeniu, że nie gardził piękną formą, choć prostotą przewyższył wszystkich. Naprawił wymowę kościelną zbyt najeżoną wspomnieniami starożytnymi w kazaniach Sokołowskiego, by nadać jej ton, powagę, czar napomnień proroków biblijnych. Wybił się nad legion braci zakonnych, by świadczyć o wielkości geniuszu, który go cechował. Pod jego piórem, jego wymową, mocą jego zabiegów praktycznych katolicyzm zatryumfował od Warty do Dźwiny i Dniepru, by wytworzyć jedność duchową, a więc i narodową.

## II.

Do wystąpienia Mickiewicza nie było większego pisarza nad Skargę. Nikt nie związał się tak silnie ze społeczeństwem, nie był tak czytany i kochany przez dwór, magnatów, rycerstwo, lud

miejski i wiejski. Choć należał do zakonu o celach raczej kosmopolitycznych, był Polakiem lepszym od warchoła Orzechowskiego, kosmopolity Hozyusza, cyceronianina Sokołowskiego. Pierwszy z pisarzy myślał naprawdę o wszystkich, miłością ogarniał cały naród, miłosierdziem obejmował największych nędzarzy. I Powodowski miał serce szerokie dla biednych, brakło mu jednak ciepła i porywającego stylu. Więc Skarga zastąpił innych, skoro i Zamoycki nie śmiał mówić szlachcie tych prawd, które słyszano z ust kaznodziei królewskiego.

Nie dokonał sam wszystkiego, gdyż przed nim Hozyusz określił dogmat w słynnym wyznaniu wiary, Wujek zachęcił do użycia języka polskiego w homiletyce, poszerzał tematy polityczne w kazaniach Sokołowski i Powodowski. Ale i Mickiewicz miał przed sobą Niemcewicza, który znikł jednak w blaskach geniuszu następcy. Przez Skargę stała się literatura religijna najważniejszą może częścią literatury narodowej, dorównała poezji, stworzonej piórem Kochanowskiego. Osiągnęła szczyty natchnienia, stała się rachunkiem sumienia szlacheckiego, zawarła skarby miłości bliźniego, była nietylko wirtuozyą, ale wyrazem najszlachetniejszych uczuć i dążeń epoki.

### III.

To wszystko było dziełem mieszczańskiego syna, który urodził się w mazowieckim Grójcu w lutym r. 1536. Już w latach chłopięcych musiały otoczyć go obrazy nędzy, skoro pamiętał o niej zawsze. Ledwo wyszedł ze szkółki parafialnej, dążył na studia wyższe, by uzyskać stopień bakałarza i otworzyć sobie drogę do stanowiska duchownego.

W studyum generalnem krakowskiem rozwinął w sobie miłość nauki, gorącość wiary, poczucie piękna. Nie miał hojnych mecenasów, więc bakałarzował na dworze magnackim, by przyjąć następnie święcenia i rozpocząć poważną działalność kaznodziejską we Lwowie. Erudycyą i talentem dał się poznać prędko, choć stronił od świata, nie mieszał się do gwaru wesołego życia towarzyszy zawodu, pieścił w duszy inny od współczesnego ideał duszpasterza.

Opuścił wreszcie stanowisko, dochody, spokój, by pośpieszyć do Rzymu i zaczerpnąć wiedzy u jej źródeł. We Lwowie widział bowiem wśród duchownych ciemnotę, niedbałość, mate-



ryalizm. Więc trwożył się o losy Kościoła, uciekał od sfery, w której żyć przypadło mu w udziale. W r. 1509 jezuita liczyli go już do swoich. Poddał się ich duchowi, by osiągnąć nieznaną w klerze świeckim doskonałość. Pragnął też życia czynnego, zerwał z przeszłością, gdyż dogadzać ona mogła tylko samolubowi. I oto otwierала się przed nim działalność rozległa, jako członek zakonu o światowym znaczeniu zyskał na sile, ale i nie zatarł się w tłumie. Słuchał ślepo woli generała, by przezwyciężyć przecież kosmopolityzm otoczenia i nadać swej działalności charakter narodowy.

Pozostał sobą, choć pracował w kolegiach zakonu najpierw w Pułtusk, potem w Wilnie. Kazalnica katedralna wileńska, zajęcia rektorskie w akademii, polemika z kalwinizmem wypełniają jego dni. Ma przed sobą przeciwnika niepospolitego w Wolanie, więc z pomocą nawróconego niegdyś we Włoszech marszałka litewskiego Radziwiłła występuje do walki zbrojny wiedzą i metodą. Mistrzem jest mu św. Augustyn. Od niego czerpie argumenty, jego myśli odnawia, jego ducha stosuje. Forma jest humanistyczną i bliską hozyuszowej.

Dziełem „Pro Sacratissima Eucharistia“ (1576) rozpoczyna działalność pisarską, którą rozwijać będzie przez lat trzydzieści sześć. Wiąże się ona najpierw z panowaniem Batorego, którego popiera w pracy około utrwalenia katolicyzmu, potem Zygmunta III. Rządy Batorego wypełnia walka, trwająca właściwie od czasów Zygmunta Augusta, walka o najechane przez wielkich kniazów moskiewskich Inflanty. Najazd groził jednak nie tylko tej ziemi kresowej, zagrażał bowiem i Litwie, której oporność pod wpływem nowych stosunków politycznych musiała zmniejszać się wobec silnej organizacyi sąsiada. Tę oporność mogła zwiększyć unia religijna prawosławnych obywateli litewskich i ruskich z Kościołem katolickim polskim.

Dlatego niewątpliwie pisze Skarga „O jedności Kościoła Bożego“ (1577). Liczy na pomoc wołyńskiego magnata, kniazia Ostrońskiego, który sam zgłaszał się do słynnego pośrednika między Batorym a Iwanem Groźnym Possewina z zamiarami przeprowadzenia unii. Bogactwo argumentów, rozległość wiedzy, ciepły styl polemisty nie mija bez wrażenia, sieje popłoch wśród przeciwników unii, którzy palą dzieło jezuita. Ale król sprzyja katolicyzmowi, pomaga do założenia kolegiów zakonu w odzyskanym świeżo Połocku i w Rydze. Masy nie mają jednak lektury, skoro uczone traktaty teologiczne mogą czytać tylko najoświeceni. Trzeba dostarczyć im dzieła przystępnego, pełnego

duchowego obroku, obfitego we wskazówki jak odpierać wrogów wiary. Trzeba też wyrazić wdzięczność Batoremu za jego dobrodziejstwa dla zakonu, za jego czyny wojenne, które stawiają Rzeczpospolitą w rzędzie pierwszych państw Europy.

„Żywoty świętych“ (1579) są właśnie tą księgą dla mas i wyrazem wdzięczności dla króla. Siedem wydań za życia Skargi dowodzi wyraźnie jej potrzeby i popularności. Zawiera ona skarby nauk, celuje prostotą stylu, rośnie z każdym wydaniem, zwłaszcza w żywoty świętych polskich. I katolicyzm posuwa się naprzód, stanowisko zakonu, dzięki wpływowi Possewina, działalności praktycznej Skargi, umacnia się i potężnieje. Inni bracia zakonnymi, jak Turrianus, idą w pomoc polemiście, który nanowosciera się z wodzem litewskich kalwinów, Wolanem. Popiera go król, którego on ostrzega przed zgubnością dla państwa różnic w wierze. Zapał polemiczny rośnie, przepaść między różnowierstwem a katolicyzmem pogłębia się z roku na rok.

„Artes duodecim sacramentarium“ (1582) są nie tylko polemiką na tle dogmatycznym, ale i wyrażają radość z powodu wejścia króla do Inflant. Polemika zamienia się w kazanie polityczne, gdyż w przedmowie polemista podsuwa już Batoremu myśl religijnego zjednoczenia całego państwa. Dla użytku ogółu streszczał on swe wywody w osobnym dziele polskim. O tym ogóle myślał on ciągle, gdy przekładał nadto słynny traktat polemiczny jezuitę Kompiana. Były to rzeczy jednak mniej znaczące i gasły wobec poprzednich i następnych.

#### IV.

W r. 1584 wrócił Skarga do stolicy podwawelskiej. W cieniu wyniosłych murów kościoła parafialnego założył rezydencję zakonu przy kościółku cmentarnym św. Barbary. I teraz z ambony kościółka poczęły rozbrzmiewać słowa dotąd niesłyszane w stolicy. Kupił się koło niej lud miejski, kupiła się szlachta, po latach zjawiał się i dwór. Kaznodzieja nie przestawał jednak na słowach. Założeniem arcybractwa miłosierdzia stworzył w społeczeństwie krakowskim nowego ducha. Nazwał miłosierdzie matką dobrych uczynków, pomocą do zbawienia, ucieczką ubogich, nędzy ludzkiej gospodą, domowym szpitalem, pierwszą w królestwie skarbnicą, potrzebnych komorą. Najwięcej dbał o biednych wstydzających się żebrać, kazaniami o miłosierdziu przewyż-



szył wszystko, co kaznodziejstwo polskie dotąd wydało. W nich schodzimy niejako na dno tej wielkiej duszy, niemi przemawia też Skarga naj lepiej do serca współczesnych.

Bractwo miłosierdzia w Krakowie nie było jednak jedynym czynem kaznodziei. W czasie walki o tron między arcyksięciem Maksymilianem a Zygmuntem III kandydat rakuski zwracał się do superiora rezydencji św. Barbary z prośbą o poparcie. Otrzymał jednak w odpowiedzi milczenie, list arcyksięcia znalazł się zaś w rękach Zamoyskiego. Nic też dziwnego, że Zygmunt III obrał, wnet po przybyciu do stolicy, Skargę za swego kaznodzieję. Wystąpił on teraz w katedrze z kazaniem po zwycięstwie byczyńskim, by radować się z pogwałcenia najeźdźcy i zwycięstwa kandydata większości. Odtąd każde dzieło najwymowniejszego człowieka w Polsce będzie wypadkiem równym doniosłością zdarzeniom politycznym.

Jego zakon organizował walny bój z różnowierstwem. W tym boju przodował on zawsze, by zwalczać nienawistną sobie konfederację warszawską i wpływ różnowierców w senacie i sejmie. Jednocześnie w nowem wydaniu dzieła o jedności Kościoła nakłaniał pobożnego króla do przeprowadzenia dzieła unii. Sądził, że władza ma obowiązek bronić prawdy, że potężny sąsiad wschodni nie może nie mieć wpływu na prawosławnych obywateli Rzeczypospolitej, zwłaszcza, że wpływ patriarchy konstantynopolańskiego małał wtedy do zera. I unia przygotowywała się tajnie, choć jednocześnie z powodu tajnych układów króla z dworem wiedeńskim o następstwo tronu w Polsce, rosła nieufność do polityki królewskiej. Dzieło unii rozwijało się w czasie najmniej dla państwa pomyślnym. A jednak Skarga widzi w siostrzeńcu Zygmunta Augusta rękojmię utrzymania polityki Batorogo. Broni go przed zarzutami, podnosi znaczenie dla państwa ustroju monarchicznego.

W „Upominaniu do ewangelików“ (1592) występuje zaś ponownie przeciw wolności religijnej, która mnoży sekty i państwo mocy pozbawia. „Przeciwna też jest — mówi — i szkodliwa Policiej i Rzeczypospolitej ta to konfederacya, bo gdzie różne wiary i religie panują, tam musi być różne o rzeczach świeckich rozumienie i wspólnej miłości i zgody rozerwanie, i słabe posłuszeństwo, i szanowanie zwierzchności, bez czego Rzeczypospolita mdleje i umiera.“ W obronie różnowierstwa wystąpił przeciw tym poglądom historyk Orzelski. Polemika w tej sprawie przeciągnęła się zaś do końca wieku. Była ona przeważnie bezimienną, na zakon sypały się nadto pamflety jedne gwałtowniejsze od dru-



gich. W tej walce na pióra zastąpili jednak Skargę inni bracia zakonnici.

„Kazania na niedziele i święta“ (1595) były z kolei owocem trzydziestu dwu lat kaznodziejstwa. Choć miały charakter religijny, wołanie o poprawę dotyczyło także spraw świeckich. Przeważała w nich idea św. Augustyna o marności spraw ziemskich, odzywały się napomnienia do pełnienia obowiązków moralnych, występowało zalecanie prostoty, pokory, ufności w Boga. Stanowisko obywatelskie rysowało się w podkreśleniu potrzeby jedności religijnej, której bronił kaznodzieja całą potęgą uczucia, wszelkimi zasobami swej sztuki. Człowiek czynu objawiał się w jego wywodach nieustannie. Tęsknił do czynu, którym stała się teraz unia brzeska. Na synodzie w Brześciu Litewskim zjawiał się z braćmi zakonnymi Rabem i Laterną, by osobistym wpływem na kniazia Ostrogskiego i kazaniem do władyków, skłonnych do unii, dokonać dzieła epokowego.

Dokonał go tylko w części, by z kolei zająć się wydaniem kazań sejmowych (1597). Wyszły one przy nowem wydaniu poprzedniego zbioru i stały się odtąd przedmiotem podziwu jednych a gwałtownych ataków drugich. Teologowie zajmowali się od czasów św. Tomasza z Akwinu polityką, mógł zająć się nią i Skarga. Nie mógł też nie iść śladem Hozyusza, który zwracał pilną uwagę na sprawy państwa, śladem Górskiego, Sokołowskiego, Powodowskiego, którzy za Batorego wyliczali już choroby Rzplitej. Skarga stoi niejako przy boku Zygmunta III, by bronić jego polityki religijnej. Nie jest jednak dworakiem, stoi zdala od praktyk rakuskich, wyraża myśli przeciwne od rzucanych przez Zamoyskiego. Gdy kanclerz broni wolności szlacheckiej i widzi w królu tylko wykonawcę woli ogólnej, kaznodzieja królewski wylicza nietylko choroby społeczne, ale i wynosi wysoko pierwiastek monarchiczny.

Uważa monarchię za najlepszą formę rządu; program jedności religijnej wiąże się u niego najściślej z programem wzmocnienia nadwątlonej za poprzednich panowań władzy królewskiej. Gdyby na tronie siedział Batory, zwycięstwo jego byłoby zupełnem. Ale Zygmunt III podkopał zasadę monarchizmu niegodnymi praktykami, sprowadził ostateczny rozstrój, którego nie mógł wstrzymać znakomity wódz, ale słaby polityk, Zamoyski. Skarga piętnował tymczasem rządy królików, wyszydzał demokrację szlachecką, idącą za podszeptem ambitnych magnatów. Teolog objawiał się w nim, gdy żądał powrotu do dawnego ustroju średnio-wiecznego. Że potępił ustrój, stworzony za ostatnich panowań,

należy mu się wdzięczność niezaprzeczona. Nie był bowiem doktrynerem monarchizmu, nie dbał o względy królewskie, znał zaś stosunki wewnętrzne. Zamoyski opierał jednak władzę królewską na miłości, Skarga na bojaźni. Tej miłości Zygmunt III zdobyć nie umiał ani w Szwecyi, ani w Polsce; zostawała tylko bojaźń, której trudno było wmówić rozkochanej w wolnościach szlachcie.

Dwaj ludzie podzielili w ten sposób między siebie władzę nad społeczeństwem. Skarga miał za sobą tak zwanych regalistów; spadek po Zamoyskim objął znów w osławionym rokosz Zembrzydowski. Osoba króla znaczyła wtedy wiele. Skoro Batory umiał sobie pozyskać szlachtę, mimo swego obcego pochodzenia, mógł to uczynić i Zygmunt III. Doktryna Skargi sama tego dokonać nie potrafiła i musiała ustąpić innej. Ten obrót rzeczy nie zmniejszył jednak wartości kazań sejmowych. Ich charakter religijny objawia się na wstępie, w którym kaznodzieja, wzorem św. Augustyna, zachwala mądrość boską i radzi sejmującym nabywać jej jaknajwięcej. A potem wylicza niebezpieczeństwa koronne, radzi mnożyć w sobie miłość ojczyzny, rozbiera choroby tej ojczyzny. Potępia wzniośle niezgodę domową, niesprawiedliwe prawa, nieobronność granic, ucisk poddanych, opiera poprawę państwa na zgodzie, wierze, monarchii, prawach dobrych, polepszeniu obyczajów.

W około niego świat układał się jakby na modłę pogańską, skoro chłop stał się niewolnikiem równym starożytnemu. Skarga był zaś trybunem całego narodu, malował urzędzenia polskie w kolorach najczarniejszych, odkrywał obrazy stwierdzone dziś badaniami naukowemi. Państwo, w którym zasada prawem i lewem rządziła prawie wszechwładnie, uznał za blizkie upadku. Zaznaczał wprawdzie, że osobnego objawienia niema, ale naukę swą uważał za natchnioną duchem Bożym. Jak zaś zaznaczał Sokółowski, Kościół miał w pewnych chwilach dar prorokowania. On był właśnie ojcem Kościoła polskiego, szedł w swych prorocत्वach nie tylko za zwyczajem, ale i natchnieniem ducha intuicyjnego. Wszakże miewał widzenia jeszcze we Lwowie, rozmawiał w snach ze zmarłym bratem zakonnym Warszawickim, który przepowiadał mu w chorobie dłuższe życie. Były więc i owe prorocтва zapewne płodem ekstazy, wizyonera, człowieka wzniesionego nad doczesność, ziemskość, zmysłowość.

Dbął o obrazowość, zachowywał jednak miarę i powagę. Wszakże sprawiał poselstwo od Boga, by złości narodu ukazywać. A jednocześnie myślał o nędzarzach, kreślił zarysy ustawy



swego bractwa. Rozszerzał niejako swą organizację, od rzeczy wielkich zstępował do małych, które świadczyły przecież o wielkiem sercu. Tem jednym sercem naród postępował naprzód w ogólnej kulturze, zbliżał się do narodów zachodnich właśnie ową organizacją wzorowaną na włoskich i godną najwyższej uwagi.

## V.

I duch katolicki przeważył we wszystkich warstwach społecznych. Rozczytywano się w żywotach świętych, pożądanu cudów, nawet poezya, którą wyobraża wtedy Grochowski, stała się najbardziej prawowierną i opiewała tylko rzeczy święte. Jeżeli stan ten odpowiadał pragnieniom kaznodziei królewskiego, patrzył on jednak z boleścią na zjazdy różnowierców, którzy protestowali przeciw ograniczeniu religijnej wolności. Teraz i dyzunicy przyłączyli się do ich protestów, by w państwie, zdaniem właściwie na łaskę polityki sejmikowej, wprowadzać nieład i burzyć przeciw królowi. Sam Zygmunt III pogarszał nadto sprawę ślepe uleganiem radom matki pierwszej żony, która i w Austrii kierowała polityką wrogą różnowierstwu.

„Kazania o siedmiu sakramentach“ (1600) miały stanowić tedy nowy etap w walce z różnowierstwem, które w Zamoyskim upatrywało swego obrońcę, a w Skardze najwybitniejszego przeciwnika. Zwalczał on w nich na wstępie pogląd, jakoby jego zakon mieszał się do polityki, potępiał szemrania przeciw królowi, bronił dawnego stanowiska w sprawie konfederacji warszawskiej. W ten sposób sprowadzał na swą głowę burzę rokoszową, gdyż wszelkie błędy polityki królewskiej miały obrócić się i przeciw Skardze. Cisza obecna była bowiem pozorną, śmierć Zamoyskiego rozpełtała niebawem najbardziej anarchiczne żywioły i zagroziła nawet istnieniu zakonu w Polsce.

Kazania, ogłoszone na wstępie nowego wieku, były zaś tylko w części dogmatyczne. Po wywodach o siedmiu sakramentach w duchu ówczesnej teologii bellarminowskiej, następowały kazania przygodne. Wygłaszał je nieznużony działacz w czasie nabożeństwa czterdziestogodzinnego, wygłaszał też przy sposobności, którą dawały wypadki o charakterze świeckim. Wojna z Turcyą zbliżała się szybkim krokiem, była pożądaną nawet przez wszystkich zwolenników ligi państw chrześcijańskich przeciw muzułmanom. Więc kaznodzieja określał ideał żołnierza chrześ-



cijańskiego, by przygotować bohaterów Cecory i Chocimia, nawoływał do łagodzenia losu poddanych, budził instynkty społeczne. Jego polityka była przeniknięta nawskroś duchem religijnym. Ten duch nie kazał mu stać na stanowisku jednej warstwy, ten duch dbał o nadanie charakteru chrześcijańskiego każdej akcji wojennej, ten duch żądał odpogańszczenia ówczesnego świata.

Nadeszły wreszcie znaczące wypadki wojenne w Mołdawii. Tryumf rycerstwa polskiego, pod wodzą sędziwego Zamoyskiego, święcił oczywiście Skarga. Była w jego dziękowaniach kościelnych za zwycięstwo radość, była i nauka, stojąca godnie obok sejnowej. Jednocześnie rozpalala się wojna inflancka. Wybierał się na nią sam król, więc kaznodzieja piorunował w kazaniu, mianem w Wilnie, przeciw wrogowi wiary i kraju. Chodziło tu bowiem o stryja królewskiego, który zabrał synowcowi tron szwedzki i najechał zdobyte przez Batorego Inflanty. Energia stylu szła w parze z podniesieniem ducha, nastrój polemiczny podobnych wystąpień był taki, że wywoływał nawet odpowiedzi różnowierców. A jednak zwycięstwa nie mogły zakryć choroby wewnętrznej. Oto król, wbrew woli swego kaznodziei i senatu, poślubiał siostrę swej zmarłej żony, dawał ucho podszeptom polityki austriackiej, którą na dworze krakowskim wyobrażała słynna ochmistrzyni dzieci królewskich, Urszula Meyerin.

Skarga tęsknił teraz do cichego życia w celi zakonnej. Pograżał się w pracy nad dziejami kościoła powszechnego, tłumażył traktaty ascetyczne. Nie brał czynniejszego udziału w znanem nawróceniu Dymitra, który z arianina przeszedł na katolicyzm, a potem, osiadłszy na tronie, stanął w obronie prawosławia. Natomiast rozpoczął walkę z innym nieprzyjacielem. Oto arianie bróździli mu niegdyś w Wilnie w jego dążeniach apostoła katolicyzmu, szli na pomoc prawosławnym w czasie unii brzeskiej, najgłośniej występowali też przeciw polityce religijnej króla. Wystąpił teraz przeciw nim w sposób dość jednak łagodny, by iść w pomoc uczeńszemu od siebie teologowi zakonu, Smigleckiemu, który nie posiadał jednak jego swady i ciepła.

„Zawstydzenie Aryanów“ (1604) odpierał z teologów rakowskich Moskorzewski. Odpowiedział na nie Skarga, choć nie przekonał przeciwnika, a dowiódł tylko swego, nigdy nie starzejącego się talentu. Nim ożywił oschłe rozumowanie, w polemice przypominał raczej mówcę wzniosłego, barwnego, urozmaiconego. W kraju rosła tymczasem gwałtowna opozycja przeciw królowi. Wiódł ją spadkobierca polityki Zamoyskiego, Zebrzydowski, by zaprzeczyć swem wystąpieniem głoszonemu przez Skargę zdaniu,

że tylko katolicy mogą być dobrymi poddanymi. Pozornie sprawy szły najpomyślniej, gdyż zwycięstwo pod Kircholmem zlewało na panowanie Zygmunta III nowe blaski. Wistocie, tron jego był już na brzegu przepaści.

I znów Skarga odegrał rolę znaczącą. Jeszcze nie skończył swego mądrego traktatu o obowiązkach żołnierza, który nazwał nabożeństwem żołnierskiem, gdy rozpoczęła się tragedia rokoszowa. Rej wiedli wśród rokoszan kalwini, aryanie, dyzownicy, najgłośniej krzyczał zaś osławiony gwałtownik i wzgardziciel prawa, Stadnicki z Łańcuta. Słuszne zarzuty przeciw obcej narodowi polityce mieszały się z najbardziej dziwacznymi. Sprawa wolności religijnej podniecała gorączkę, kazała żądać rokoszantom wygnania zakonu przynajmniej z głównych miast, zniesienia unii brzeskiej, usunięcia nadużyć, w których obok istotnych szły najbardziej błahe i śmieszne. Na czele rokoszu stali ludzie pozbawieni inteligencji zmarłego wodza stronnictwa szlacheckiego, a pełni uraz osobistych do rządzącej na dworze kamarylli.

Nawet Dymitr, rządzący teraz w Moskwie, porozumiewał się z rokoszantami, dzieło Skargi groziło runięciem w całej rozciągłości. Dziesiątki broszur, wierszy, pamfletów zwracało się przeciw niemu właśnie, jego nazwisko figurowało najczęściej obok króla, któremu zarzucono nadto kazirodztwo z powodu poślubienia siostry zmarłej żony. Król okazywał zaś wobec rokoszan oględność godną pochwały. Ofiarowywał im pewne ustępstwa, przyjmował deputacje zjazdów, a tymczasem gromadził wojsko, które słuchało rozkazów wychowanka Zamoyskiego, hetmana polnego Żółkiewskiego. Rokosz niszczył sam siebie daniem głosu Stadnickiemu, gdy Zebrzydowski łagodniał w miarę zmieniających się przyjaznych okoliczności. Pierwszą z nich było zamordowanie Dymitra w Moskwie, drugą ustepliwość króla, przeciw któremu nie miał w rękę dość przekonywających dowodów zdrady interesów narodu i państwa. Jeżeli króla broniła jednak armia, nie miał jej zakon, napastowany zewsząd przez rokoszan.

Obroniła go odpowiedź „Na artykuł o Jezuitach zjazdu sędmierskiego“ (1606). Była ona raczej kazaniem, wypowiedzianem wobec dworu, senatu, rycerstwa wiernego królowi w Wiślicy. Protestowała przeciw posądzeniu jezuitów o mieszanie się do polityki, o tendencje monarchiczne, o podburzanie przeciw różnowerstwu. W rzeczywistości te posądzania miały słuszność zupełną, gdyż sprawy religijne wiązały się wtedy najściślej z politycznymi, monarchia była ideałem politycznym kaznodziei, kollegia jezuitskie wychowywały młodzież w duchu fanatyzmu, który rzu-



cał się na zbory i w różnowiercy widział odstępę wiary i ojczyzny.

Kazanie wiślickie broniło jednak ogromnych zasług zakonu dla katolicyzmu, podnosiło bezinteresowność jego członków, było wymownym dowodem patriotyzmu jego genialnego kaznodziei. Polotem stanęło obok sejmowych, popsuło też z pewnością sprawę rokoszom. Nie poprzestał na niem szermierz katolicyzmu, by w następnym roku wynieść jeszcze zasługi zakonu w całym świecie, omówić jego regułę, wskazać, że różnowiercy wiodą rej w całym ruchu i swą nienawiść wyznaniową wkładają w artykuły rokoszowe. Ufny w zwycięstwo sprawy królewskiej, nie oszczędzał i konfederacyi warszawskiej, by chwałę Boga postawić na pierwszym miejscu.

Tumulty stały się teraz rzeczą naturalną, skoro rokosz nie doprowadził do obwarowania konfederacyi warszawskiej, która wyprzedziła przecież edykt nantejski. Za nietolerancją religijną musiała pójść nienawiść wyznaniowa, której głośne echa poczęły budzić się w buntach ukraińskich. Kaznodzieja królewski nie przestawał zaś powtarzać, że najgłówniejszą chorobą państwa jest różnowierstwo, choć nie zapominał i o innych chorobach. Piętnował nierząd, wskazywał na znaki, poprzedzające upadek, bolał nad niekarnością i pogardą praw.

„Upominanie do pokuty“ (1609) powtarza niejako dawne myśli, w sposób godny poprzednich wystąpień. Ale zmiana stanowiska była przecież widoczną. Kaznodzieja usuwał z nowego wydania swych kazań przygodnych kazania o monarchii, gdyż raziło ono nawet katolików, ulegał niejako prądowi, godził się na myśl, że Rzeczpospolita stoi demokracją. Czynił to niewątpliwie wbrew własnemu przekonaniu; posłuszny woli zakonu, godził się ze stanem rzeczy, który stworzyły wypadki. Monarchista przedzierzgał się w republikanina, by utrwalić jedynie prawomyślność katolicką, bronić unii przeciw atakom dyzunitów, cieszyć się zwycięstwami, odnoszonymi przez Żółkiewskiego.

Tworzył teraz już rzeczy słabsze, gdy pragnął dać komentarz do listów św. Pawła, odpierał zarzuty dyzunitów Smotryckiego, wzywał do jedności religijnej, która stworzy jedność narodową. Cieszył się z pobożności króla, w zwycięstwach pod Kałuszynem i Smoleńskiem upatrywał przedewszystkiem zwycięstwo katolicyzmu nad inowierstwem. Zbliżał się koniec życia człowieka o wpływie ogromnym, wszechstronności wprost zdumiewającej, talencie pierwszorzędnym. Nikt z pisarzy nie osiągnął takiego wpływu, indywidualność Skargi przeczy rozpowszechnionemu dzi-



siaj zdaniu, jakoby pisarze jezuicy nie mieli cech odrębnych, własnych, osobistych. Skarga zakrył sobą poprzedników a nie stracił żywotności do dni naszych.

## VI.

Jako pisarz żywotów świętych stał się postacią najwięcej popularną w szerokich warstwach szlacheckich, przeszedł do warstw mieszczańskich i ludowych. A przecież tu właśnie był tylko popularyzatorem hagiografów zachodnich, w legendach o świętych polskich szedł za poprzednikami. Jego polemiki stanowią też echo tego, co pisze się za granicą, opierają się na teologach tej wielkości, co Bellarmin, Turrianus i inni. Stanowią nawet swym okolicznościowym charakterem najwięcej przestarzałą część dzieła. Wystąpienia przeciw różnowiercom, obrony zakonu rażą jednostronnością i fanatyzmem.

Ale homilie, kazania przygodne, nabożeństwo żołnierskie są klejnotem literatury, największym obok poezji Kochanowskiego. Wartość kazań o miłosierdziu zbliża do twórcy człowieka nawet najbardziej odległego poglądami i kierunkiem. Przez nie Skarga traci wszelkie pozory starożytności, jest człowiekiem najbardziej czułym na nędzę ze wszystkich może, którzy żyli przed rozbiarami, jest postacią nawskróś nowożytną i godną stanąć obok największych dobroczyńców ludzkości. W pamięci narodu zachował się on jednak głównie, jako kaznodzieja polityczny, jako nauczyciel miłości ojczyzny, jako prorok czasów przyszłych.

Tak pojął go Mickiewicz, gdy widział w nim wzór kapłana, patrioty, szermierza w obronie prawdy, podnosił jego odwagę, określał rodzaj jego miłości ojczyzny. Czynił z niego nawet meşyanistę, którym Skarga nie był, choć pragnął, by jego naród zachował wiarę ojców w pełni i stanął tą wiernością nad innymi. W wierze upatrywał jego obronę przeciw nieprzyjaciołom wewnętrznym i zewnętrznym, wzmocnił tę wiarę we wszystkich warstwach społecznych, by ją uczynić istotną obroną narodu w wiekach późniejszych. Tolerantem nie był, gdyż wierzył niezachwianie w tezę św. Augustyna o potrzebie jedności wiary w państwie i konieczności karania odstępców.

Między nim a Mickiewiczem było zaś pokrewieństwo nastroju niepospolite. Obaj kierowali się uczuciem, byli dogmatykami w swych wywodach, gardzili ziemskością i marzyli o urze-

czywistnieniu na ziemi augustyańskiego miasta Bożego. Augustyanizm jednego, towianizm drugiego były tylko odmiennymi formami ideału genialnych mistyków polskich. Obaj miewali widzenia, żyli życiem zaświatowem, umieli jednak oryentować się także w tem, co stanowiło ich świat otaczający. Obaj byli ludźmi czynu, choć działali głównie piórem, zaważyli też w dziejach narodu, jak nikt z jego polityków, mężów stanu, królów doby nowożytnej.

D-R TADEUSZ GRABOWSKI.



# Wspomnienia z niedawnej przeszłości.

## I.

Po zniesieniu uniwersytetu warszawskiego w r. 1832, nie było w Królestwie wyższej uczelni, któraby ześrodkowała młodzież, łaknącą nauki. Dla zaspokojenia niezbędnej potrzeby specjalistów: prawników i pedagogów, utworzono zrazu t. zw. *Kursa Dodatkowe*, <sup>1)</sup> dwuletnie, — ale i te niebawem zamknięto. Kto z kończących szkoły chciał się poświęcić specjalnie zawodowi: lekarza, prawnika czy pedagoga, szukać musiał wiedzy w jednym z uniwersytetów rosyjskich. Do nich przeniesiono nawet stypendya zniesionego uniwersytetu warszawskiego, do korzystania z których poddani Królestwa Polskiego mieli pierwszeństwo. Tam się też kształcili, a ukończywszy studia, obejmowali posady, przez rząd im wskazane, odslugując w ten sposób, w ciągu lat kilku, otrzymywane stypendya.

W roku 1860, kiedy kończyliśmy kurs gimnazjalny, istniały w Królestwie jedynie dwa *specyalne* zakłady naukowe: *Instytut Rolniczy i Leśny* (w Marymoncie)—dla rolników i leśników, oraz *Szkoła Sztuk Pięknych* (w Warszawie) — dla malarzy, rzeźbiarzy i architektów. Jakkolwiek jednak młodzież, kończąca szkoły, korzystała z tych instytucyi, nie można ich przecież zaliczać do kategorii wyższych zakładów naukowych, albowiem patent gimna-

---

<sup>1)</sup> Kursa dodatkowe miały 2 wydziały: prawny i pedagogiczny. Kończący pierwszy z nich obejmowali posady sądowne, obrońców sądowych (patronów) i t. p.; pedagodzy zapelniali luki, jakie powstawały w ciele nauczycielskiem gimnazjów, za rządów cesarza Mikołaja I zredukowanych co do liczby i otwartych — z małymi wyjątkami — jedynie dla szlachty.



zwalny nie był koniecznym dla otwarcia ich podwoi, a stąd i wykłady musiały się też liczyć z mniej przygotowanymi słuchaczami. Bądź co bądź jednak, młodzież pragnąca oddać się zajęciom zawodowym, dla których w tych zakładach zdobywała przygotowanie, chętnie do nich uczęszczała. Wykształceńsi, lepiej przygotowani koledzy, obcując ze słabszymi i dopełniając ich braki, oddziaływali na nich dodatnio i podnosili poziom umysłowy wychowañców tych zakładów naukowych.

Wstąpienie na tron cesarza Aleksandra II przyniosło w tym względzie zmianę na lepsze. W r. 1857 otworzono w Warszawie *Akademję medyko-chirurgiczną*, co ułatwiało studia młodzieży, pragnącej poświęcić się zawodowi lekarskiemu. Brakowało przecież w kraju wyższej szkoły dla prawników, matematyków i filologów. Musieli więc dążyć, podobnie jak ich poprzednicy, do któregoś z uniwersytetów cesarstwa.

W wyborze uniwersytetu nie było żadnej wytycznej. Ze względu jednak, że w Moskwie, a później i w Petersburgu, otworzono katedry prawa, obowiązującego w Królestwie, prawnicy przeważnie tam się kierowali. Medycy chętniej ciągnęli do Dorpatu, gdzie katedry tego wydziału były (jak utrzymywano) świetnie obsadzone — o ile znajomość języka niemieckiego, w którym odbywały się tu wykłady, na to im pozwalała. Zresztą, kierowano się tu raczej sympatjami i stosunkami z kimś ze starszych kolegów szkolnych, uczęszczających do tego lub owego uniwersytetu, niż rozgłosem profesorów przedmiotów, które studyować zamierzano, a to tem bardziej, że tych znakomitości w kraju naszym nie znano. Ojcowie zaś nasi, chłopców 16—18 letnich (w tym wieku bowiem zazwyczaj ze szkół wychodziliśmy), radzi byli, gdy wyjeżdżający znajdowali w odległym od kraju mieście opiekę znanych z dobrej strony starszych kolegów.

W początku czerwca, gdy ślęczeliśmy w najlepsze nad przygotowaniem do egzaminów *na patent*, jak się wówczas mówiło, przyjechali do Lublina studenci kijowscy, na wakacje, które w uniwersytetach rozpoczynają się o dużo wcześniej, niż w gimnazyach. Dla nas, gimnazystów, kołnierz niebieski (jaki zdobił mundur studentów, podobnie, jak obecnie), miał niewymowny powab i urok; był przedmiotem pożądań wielu z nas, pragnących mieć go jak najprędzej; studentów zaś uniwersytetów uważaliśmy za wyższe jakieś doskonałości, i na stanowisku, do jakiego wzdychaliśmy i dążyli dopiero. Studenci jednak zwykli byli spoglądać z góry na gimnazystów, noszących w ówczesnej gwarze studenckiej lekceważące miano *uczniaków*. Nic też dziwnego, że gdy student zbli-

żał się do nas i, trzymając się sam na stopie poufałej z nami, zachęcił nas do podobnej poufałej z nim równości, wszystkich nas ujmował dla siebie i podbijał od razu.

W kółko nasze, złożone z dziewięciu najwięcej do siebie zbliżonych, wpadł jeden z kijowiaków, były gimnazysta lubelski, Józef Męciński <sup>1)</sup>. Ożywiony, wesoły, mowny, pożądaný towarzysz w chwilach odpoczynku po ślęczeniu nad kursami, opowiadaniem o uniwersytecie kijowskim, o stosunkach, o życiu studentów tamtejszych, pociągnął nas za sobą i zdecydował o wyborze uniwersytetu. Jakoż, z wyjątkiem tych, których specjalność nie wymagała wyjazdu do uniwersytetów rosyjskich, wszyscyśmy wybrali Kijów, zanim jeszcze otrzymaliśmy patenty.

Wybór Kijowa podobał się i ojcom naszym. Uważali oni to miasto nie za obce zupełnie. Wiedziano, że koncentruje się tam życie prowincyi, której inteligencya była polską, a wiele rodzin polskich zamieszkiwało to miasto. Przytem i terytoryalnie Kijów był najbliższem od nas miastem uniwersyteckiem w cesarstwie, więc synowie mniej będą oddaleni, niż gdyby wyjechali do Petersburga lub Moskwy. A dróg żelaznych, ułatwiających dziś komunikację z odległemi miastami cesarstwa, nie było jeszcze w owe czasy. Podróż do Petersburga czy Moskwy wymagała całego tygodnia, gdy do Kijowa 2 do 3 dni wystarczały. Zmniejszało to również koszty podróży, co także było brane pod uwagę.

Pod koniec wakacyi trzeba było już być w Kijowie. Czas kilkotygodniowy wakacyi przeszedł na przygotowaniu wyprawy, niezbędnej dla wyjeżdżających na rok niemal cały.

Wyjazd nasz na studia przypadł w czasie, kiedy po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra II-go powiała swobodniejsza atmosfera we wszystkich dziedzinach życia w państwie. Odczuwaliśmy tę zmianę już w Królestwie. Korzystając z niej, chcieliśmy jaknajśpieszniej dać wyraz naszym aspiracyom — jak kto mógł i umiał. Dla nas, chłopców kilkunastoletnich, było niejako punktem honoru posiadać przynajmniej czamarkę, która za rządów poprzednich nietylko była zabroniona, ale i prześladowana. Mundur studencki nie był w owe czasy koniecznym; a zresztą nietrudno było, zmieniwszy gimnazyalny kołnierz czer-

---

<sup>1)</sup> W czasie powstania był adjutantem Czachowskiego, którego zasłaniając przed szablą dragońską, utracił rękę. Jako emigrant osiadł w Galicyi, gdzie posłował w sejmie.



wony na niebieski, a białe guziki (z herbem gubernii) na żółte (z herbem państwowym), mieć gotowy mundur studencki. Bielizna, pościel, obuwie—dopełniały wyprawy, którą włączano w wielki tłumok skórzany, należący dziś do zabytków, wówczas przecież używany powszechnie.

Umówiliśmy się z kolegą, Eugeniuszem Dziewulskim, odbyć podróż razem. Na dzień umówiony zjechaliśmy się też do Lublina, skąd mieliśmy się puścić w dalszą drogę.

Podróż tę trzeba było w owe czasy odbywać końmi—pocztą, albo najętym furmanem. Ze względu na drożyznę poczt w Królestwie i o połowę tańsze poczty w cesarstwie, zwyczajem było dojeżdżać najętą furmanką (żydowską) do Włodzimierza-Wołyńskiego, skąd, zaopatrzwszy się tam w odpowiednią kartę, upoważniającą do żądania koni na poczcie (tak zw. *podorożną*), resztę drogi odbywaliśmy pocztą.

Przestrzeń, z górą stumilową, dzielącą Lublin od Kijowa, przejechaliśmy bez noclegów—tchem jednym. Nic też dziwnego, że w drodze nas młodych sen morzył potężnie. Starszy odemnie o lat parę Eugeniusz Dziewulski był wytrzymalszy i na stacyach, przy przepręgu koni, przytomny. Pamiętał zawsze zapytać, ile sztuk z bryczki na bryczkę przełożono, i nieraz usłyszał odpowiedź: *z panyczom sześć*—co miało się odnosić do mnie, którego, jak tłumok, przenoszono na stacyach do zmienianych bryczek pocztowych—i nierzadko z tej mojej niewytrzymałości na bezsenność później żartował.

To niewyspanie czyniło nas nieczułymi na piękno okolic, przez które przejeżdżaliśmy; przemknęły się one przed oczami naszymi, jakbyśmy ich nie widzieli, i słabe zaledwie o nich pozostało wyobrażenie. Kto jedzie w dalsze strony, a pragnie obraz kraju zachować w pamięci, nie powinien podróżować nocami; dłuższa nieco (kosztowniejsza tem samym) podróż, wynagrodzi mu się pożytkiem, jaki z poznania cząstki jakiejś kraju wyniesie.

Ale nas gnała niecierpliwość. Koledzy nasi patentowi, którzy, według obowiązującego wówczas regulaminu, musieli byli składać egzamin wstępny do uniwersytetu, byli już od paru tygodni na miejscu; my dwaj jedynie mogliśmy wyjazd swój opóźnić, dzięki tylko co ogłoszonemu prawu, na którego mocy stopnie patentu, wyższe w przecięciu nad 4, dają prawo wstępu do uniwersytetu bez egzaminu. Koledzy znać dawali, że czas już i na nas, więc trzeba było śpieszyć.

Ujrzelśmy i Kijów. Była godzina popołudniowa — pogoda prześliczna. Przez bramę, misternie z drzewa ustawioną <sup>1)</sup>, wjeżdżamy do miasta szeroką, piękną aleją, złożoną z trzech obok siebie idących ulic, z których środkowa, przeznaczona dla pieszych, dwie boczne zaś do jazdy — wysadzone bujnie wyrosłymi włoskimi topolami. „To ulica Bulwarna“ — objaśnia woźnica. Po bokach jej zielenią się sady, z dworkami pośrodku, co robi wrażenie przedmieścia niż właściwego miasta.

Mając adres mieszkania kolegów, wcześniej od nas przybyłych, skręcamy na lewo i odnajdujemy je od razu.

Mieszkanie to mieściło się w parterowej oficynie dworku Marcinkowskich (ziemian tamtejszych, zamieszkałych w Kijowie dla kształcenia dzieci), przy ulicy „Bolnicznej“ (Szpitalnej), rzadka zabudowanej dworkami po jednej zaledwie stronie, po drugiej zaś, od strony miasta, mającej obszerny plac pusty. Całe niemal miasto, rozrzucone na kilku wzgórzach, tonęło w zieleni. Zgrupowane kamienice były tylko gdzieniegdzie. Nawet pryncypalna ulica miasta, „Kreszczatik“, nie stanowiła tu wyjątku.

Gmach uniwersytetu stał odosobniony, na płaskowzgórzu, i dominował rozmiarami swymi w tej części miasta, słabo jeszcze zabudowanej. Przed nim, a raczej u stóp jego, rozciągał się plac obszerny, schodzący ku głównej arterii miasta. Budynek dwupiętrowy, ciężki, ozdobiony od frontu portykiem o ośmiu olbrzymich kolumnach, pomalowany nieokreśloną czerwono-szarą barwą, co do której powtarzano tu legendę, że barwę tę dano gmachowi z rozkazu cesarza Mikołaja I, brzmiącego: „wykrasit' eto wołczje gnieздо na byczyj cwiet“ (wymalować to gniazdo wilcze na barwę wołową). Poza gmachem z tyłu ciągnął się uniwersytecki ogród botaniczny, poza którego znów murami ciągnęły się bądź czwartorzędne uliczki, zabudowane niskimi dworkami t. zw. „odnodorców“, bądź wprost place i wąwozy, zasypywane wywożonymi z miasta śmieciami i nawozem końskim.

Były jednak w mieście i cenne zabytki przeszłości. Szczątki historycznej złotej bramy, o którą nasz Chrobry miecz wyszczerbił, otoczone balustradą, wzmocnione żelaznymi ankrami, uświetniały jeden z placów starej dzielnicy miejskiej. Cerkiew św. Andrzeja na wzgórzu nad dolną częścią miasta, nawpół drewnianym „Padolem“ — mogła być ozdobą każdego miasta, nieubogiego nawet w piękne zabytki architektury. Imponowały nam

<sup>1)</sup> Brama ta pozostała z czasu odwiedzin Kijowa przez cesarza.



jeszcze bogate złocenia wewnątrz cerkwi, wspaniałe pająki i świeczniki ze złoczonego brązu, do jakich oko nasze w kościołach polskich nie przywykło. Ze wzgórzy, na jakich osiadło miasto, rozciągał się rozległy widok na nizinę lewego brzegu Dniepru. „Pieczersk,“ niegdyś „Pieczary“ zwany, ze słynącą na całą cerkiew wschodnią „Ławrą“ i obszernymi budynkami, mieszczącymi (jak mówiono) do kilku tysięcy mnichów, otoczony bastyonami, stanowił odrębną dzielnicę miasta.

To były pierwsze wrażenia pobieżnego rozejrzenia się po mieście.

Koledzy nasi z Lublina: starszy brat Eugeniusza Dziewulskiego—Saturnin, Horoszewicz, Horodeński, Sokulski, Sobieszczański i Zaręba — przybyli wcześniej do Kijowa, przeszedłszy już przez formalności wstępne zapisu w grono słuchaczy uniwersytetu, informacjami, jakich nam udzielili, ułatwili nasze pierwsze kroki w tem mieście. Stosownie do tych informacji, złożyliśmy dokumenty nasze właściwym dziekanom wraz z odpowiednimi podaniami o przyjęcie do uniwersytetu.

\*

\*

\*

Uniwersytet kijowski założony został w r. 1834, po zniesieniu wyższych uczelni polskich w guberniach zachodnich. Przeniesiono doń nietylko fundusze, biblioteki i zbiory liceum krzemienieckiego, a później i uniwersytetu wileńskiego, ale i grono profesorów, którym, dla nieznamomości języka rosyjskiego, dozwolono wykładać w innych językach, byle nie w polskim <sup>1)</sup>. Zadaniem jego miało być zbliżenie unysłowości polskiej i rosyjskiej <sup>2)</sup>. W pierwszych kilku latach istnienia tego uniwersytetu

<sup>1)</sup> Ikonnikow: „Biograficzeskij słowar' professorow i prepodawatielej Imp. Uniwersitietu Sw. Władimira“ (1834 — 1884). Kijów, 1884. Przy biografii profesorów zaznacza, w jakim języku wykładali; oraz Maryan Dubiecki: „Młodzież polska w uniwersytecie kijowskim przed rokiem 1863. Kijów, 1909, str. 18.

<sup>2)</sup> Idea ówczesnego ministra oświaty hr. Uwarowa (ob. Istorja Imperatorskaho Uniwersitietu Sw. Władimira, sost. Ord. Prof. Władimirskij-Budanow. Kijew, 1884).

większość profesorów i blisko  $\frac{2}{3}$  studentów należało do narodowości polskiej <sup>1)</sup>.

Ale z czasem inny zapanował kierunek. W sferach decydujących wyrabiać się zaczęło przekonanie, że uniwersytet kijowski winien wychowywać młodzież polską „w duchu rosyjskim.“ Dla braku jednak odpowiednich kandydatów narodowości rosyjskiej do objęcia katedr po usuniętych Polakach, trzeba było obsadzać je Niemcami. Krzewicielami więc ducha rosyjskiego mieli być Niemcy, jak za moich czasów: rektor Bunge, późniejszy minister skarbu; jak dziekan wydziału fil.-historycznego — Najkirch; jak wybitniejsi profesorowie medycyny — Walter lub Meryng; jak v. Hübbenet, Macon, Mirem, Neere; jak Kessler, Dellen i Eisman — nie mówiąc już o lektorze języka niemieckiego (Krause) <sup>2)</sup>.

Nie wiem, czy ci Niemcy mogli wpływać na wychowanie młodzieży w duchu rosyjskim. Przypuszczać raczej można, że sami nie będąc przejęci pietyzmem dla tego ducha, nie mogliby go wszczepić w wychowawców uniwersytetu, gdyby nawet zbliżyli się do nich. Ale tu zbliżenia tego nie było <sup>3)</sup>. Studenci

<sup>1)</sup> Z Polaków, byłych profesorów liceum krzemienieckiego, oraz późniejszych — profesorów uniwersytetu wileńskiego, przeniesiono na katedry uniwersytetu kijowskiego: Abramowicza (1834—37), Andrzejewskiego (1834—39), Bessera (1834—37), Daniłowicza (1835—39), Fonberga (1840—59), Hreczynę (1834—38), Jakubowicza (1834—39), Korzeniowskiego Józefa (1834—38), Mickiewicza Aleksandra (brat Adama, 1834—39), Miechowicza (1834—39) i Zenowicza (1834—39) — ogółem 12 profesorów (Ikonnikow: Biograficzeskij Słowar' Imp. Uniw. Sw. Władimira), o których rosyjscy historycy uniwersytetu dają jaknajpochlebniejsze opinie. Wykładali niektórzy z nich po łacinie, dla nieznamomości języka rosyjskiego, lub zlepkiem języków miejscowych. Najdłużej, bo do r. 1859 wykładał tu Fonberg. Zastaliśmy jeszcze jego uczniów i żywą, sympatyczną o nim tradycję. Wraz z nim trzymał się długo stróż laboratorium chemicznego, stary Andrzej, chęlny się przed studentami, że z uniwersytetu wileńskiego jest tu ich dwóch tylko: „Fonberg i ja!“ Opowiadano, że gdy spirytus, dostarczony do doświadczeń, zbyt szybko wychodził, a prof. Fonberg zapytywał, gdzie się podział, — stary Andrzej miał zawsze w pogotowiu odpowiedź, że się ulotnił („uletuczyłsia, Wasze Prewoschoditelstwo!“).

<sup>2)</sup> „Chodzą po uniwersytecie krzewiciele narodowości rosyjskiej: pomocnik kuratora — *Hinzel*, inspektor studentów — *Hingling*, pomocnik jego — *Rutenberg*“ — żartuje z tej rusyfikacji uniwersytetu autor rosyjski, Czajew (przytoczone z Rusk. Arch. w wymienionem powyżej dziele: Istorja Imp. Uniwer. Sw. Władimira, str. 173).

<sup>3)</sup> Była to niemal konieczna ostrożność ze strony profesorów, oparta na podejrzliwości władz względem profesorów, wchodzących w bliższe stosunki ze studentami (Ist. Imp. Uniw. Sw. Władimira, str. 173).



i profesorowie tworzyli dwa odrębne światy, poza audytoryami nie znajdujące się pomiędzy sobą, a stąd i nie oddziaływające na siebie. Ci Niemcy, byli to przeważnie ludzie uczciwi i spokojni, zajęci jedynie nauką i nie wdający się w politykę; idea wielkoniemiecka jeszcze się była nie zrodziła; Niemiec z innych granic państwowych nie poczuwał się jeszcze do obowiązku służenia królowi pruskiemu, nie było więc z ich strony intryg i podszczuwań jednej narodowości przeciw drugiej. Ale poza tem, Niemcy wykonywali swe obowiązki — jak płatną robotę — podobnie rzemieślnikowi, który, odniósłszy ją i otrzymawszy za nią zapłatę, kończy z klientem swym stosunek. Więcej daleko starali się o zjednanie sympatyi młodzieży niektórzy profesorowie Rosyanie.

Wykłady wszystkie — prócz teologii katolickiej, wykładanej po polsku — odbywały się z zasady w języku rosyjskim. Ale niektórzy profesorowie Niemcy językiem tym nie władali dostatecznie, zaś przedmiot ich, greka i łacina, pozwalał na wykład w języku łacińskim. Nie wiele było z tego pożytku, bo kiedy my, koroniarze, lepiej w łacinie przygotowani, rozumieliśmy zaledwie piąte przez dziesiąte, cóż mówić o byłych gimnazystach z cesarstwa, gdzie w szkołach języki starożytne stały o wiele niżej, niż w Królestwie. Do jakiego zaś stopnia ci profesorowie nie znali języka rosyjskiego, dość przytoczyć, że gdy potrzeba było wytłumaczyć coś dokładniej, czego słuchacze — nie będąc odpowiednio przygotowani — nie zrozumieli po łacinie, uciekali się ciż profesorowie do języka niemieckiego, który dla wielu słuchaczy był dostępniejszym, niż łaciński.

Nas, koroniarzy, mających pretensję do lepszej znajomości języka łacińskiego i do poprawnego wymawiania, tradycyjalnie przechodzącego z pokolenia na pokolenie — raziło jeszcze nieznane nam dotąd wymawianie łacińskie z niemiecka, gdzie s brzmiało jak z (*zunt* zamiast *sunt*, *zibi* zamiast *sibi*, *zemper* zamiast *semper* i t. d.), gdy znów profesorowie narodowości rosyjskiej miękczyli e, wymawiając takowe jak *je* (*jest'* zamiast *est*).

Głośniejszych profesorów było niewiele. Najlepiej jak twierdzono, obsadzony był wydział medyczny, a imiona doktorów: Merynga i Waltera, powtarzane były przez kolegów naszych (medyków) z uznaniem. Prof. Szulgin uchodził za znakomitość, jako profesor historii. Słuchając jego wykładów, nie umieliśmy może ocenić jeszcze ani głębokości studyów, ani trafności poglądów; ale zaprzeczyć się nie da, że wykłady jego były niezwykle interesujące. Zjawiska dziejowe ilustrował on bogato opowiadaniem z życia domowego ludzi tej epoki, którą brał za przedmiot wy-

kładow, co nietylko przykuwało uwagę słuchaczy, ale rzeczywiście rzucało światło na daną epokę, na stopień cywilizacji społeczeństwa, o którym opowiadał, na jego zwyczaje, obyczaje, wierzenia i przesady.

Ulubieńcem studentów był prof. Selin. Wielbiciel cywilizacji zachodniej, rozkochany w Mickiewiczu i Krasińskim, których podobno przekładał wówczas na język rosyjski, umiał zawsze coś takiego znaleźć do powiedzenia, co chwyciło młodzież za serce. Rzadko też kiedy wykłady jego nie kończyły się hucznymi oklaskami, pomimo, że te były zabronione.

Nie tak obrazowym był wykład historii powszechnej prof. Stawrowskiego. Ten, w starszym będąc już wieku, pod koniec roku 1860 miał nadto narzuconą sobie katedrę historii Rosyi, wakującą wówczas, a opróżnioną od jakiegoś czasu z powodu przeniesienia jego poprzednika, Pawłowa, do Petersburga. Pawłowa zabrano stąd jakoby z powodu zbyt liberalnych jego poglądów; Stawrowskiemu też przysłano program i pewne wskazówki. Czuł on, że do audytorium, pamiętającego Pawłowa, niepodobna przemawiać według narzuconego planu, i zaraz na pierwszej prelekcji tłómaczył się, że jest skrępowany i nie może mówić zupełnie swobodnie.

Oprócz tych wymienionych wyżej profesorów, popularnym był bardzo Fedotow, starszy już, blisko 60-letni, profesor prawa cywilnego. Na wykłady jego schodzili się studenci z innych wydziałów. Przystępny, gawędziarz, uprzystępniając zrozumienie prawa, często odwoływał się do wyjaśnień na przykładach, do czego mieszał słuchaczy, jako strony — z czego wychodziły niekiedy drażliwe sytuacje. Ostrzeżony przez studentów, że nie życzą sobie tego i niech sobie profesor szuka osób w bliższem otoczeniu — powoływał się odtąd na sytuacje, jak gdyby zachodzące w jego rodzinie, co następnie było powodem do licznych, krążących wśród studenteryi i po mieście zabawnych nieraz anegdot, tyczących się jego stosunków rodzinnych.

\*

\*

\*



Sądzę, że współczesnego czytelnika polskiego mniej zajmie sprawozdanie o katedrach uniwersyteckich, o wykładach specjalnych, lub o ich wartości — sprawozdanie, choćby dokładne co do nazwisk i katedr, lecz nie zawsze dokładne co do oceny, niemożliwej dla umysłu 17—18 letniego. Mniej zajmie może i dlatego, że dorobek umysłowy uniwersytetu kijowskiego nie jest dorobkiem naszym; o ile zaś ma wartość dla nauki rosyjskiej, zajęli się nim uczeni rosyjscy, gdzie ciekawi znajdą dużo wiadomości, dotyczących tego uniwersytetu. Poprzestaną więc na rysach ogólnych, a natomiast powiem nieco o życiu i stosunkach pomiędzy młodzieżą ówczesną, której nieliczne zaledwie szczątki los zachował jeszcze przy życiu. Również nie wyczerpię przedmiotu; ktoś inny znów coś dopowie; ale zawsze i te parę kart będą przyczynkiem, jeżeli nie do dziejów polskiej młodzieży kijowskiej, to przynajmniej uzupełnieniem do dziejów ich przekonań, pragnień i działalności czasów owych.

\*

\*

\*

Studia uniwersyteckie przed 50 laty nie były tak spopularyzowane, jak obecnie, gdzie jeden uniwersytet liczy po kilka tysięcy studentów. Ponieważ jedynie gimnazya dawały wstęp do tych uczelni, gimnazya zaś były dostępne dla szlachty jedynie, z nielicznymi zaledwie wyjątkami dla sfer innych, stąd też i kontyngens młodzieży uniwersyteckiej odpowiadał tym ciasnym ramkom. W Kijowie liczyliśny około półtora tysiąca słuchaczy, z których 800 — 900 Polaków, a reszta, czyli mniejszość, Rosyan i Małorusów.

Naturalnie, że młodzież grupowała się głównie podług narodowości; ściślejsze kółka tworzyły różne prowincye obszernego państwa, a jeszcze ściślejsze—wspólne gimnazya, gdzie młodzież nie tylko dawniej znała się pomiędzy sobą, ale związana była wspomnieniami, sąsiedztwem, pokrewieństwem, lub stosunkami rodzinnymi.

Młodzież polska grupowała się tu według prowincyi. Najwięcej było jej z Litwy i Bałorusi, z górą 300, potem z Wołynia, przeszło 200 młodzieży, mało co mniej z Podola i Ukrainy i około

100 z Królestwa Polskiego. Wszystkie ta młodzież tworzyła jedną korporację, podzieloną na *gminy*, odpowiadające 5 prowincjom: *Litwy, Wołynia, Podola, Ukrainy* i *Korony*. Młodzież rosyjska i małoruska tworzyły samoistne grupy.

Wchodząc w koło studentów, niepodobna było pozostawać poza grupami. Jakkolwiek zaś pierwszoletni, zanim dali się poznać kolegom, nie byli dopuszczani do korporacji gmin, to jednakże wspólne mieszkanie, bliższe stosunki ze starszymi kolegami z tych samych gimnazyów, zacierają te różnice z jedynem ograniczeniem — co do udziału i zabierania głosu w zebraniach gmin. W półroczu, w którym myśmy przybyli, i to ograniczenie zniesiono.

Oprócz studentów, niekiedy należeli do korporacji i tacy, którzy już uniwersytet ukończyli i zajmowali samodzielne stanowiska. Do tych należeli zwykle wybitniejsi z kolegów, którzy, pomimo, że studia ukończyli, pozostawali w związku dalszym z młodzieżą<sup>1)</sup>. Nie odmawiano prawa uczestniczenia w kołach i wolnym słuchaczom, którzy wśród nas się obracali — i często nie wiedzieliśmy nawet, czy ten lub ów kolega jest studentem, czy wolnym słuchaczem. Dozwolony studentom ubiór cywilny, a z drugiej strony nie kwestyonowana przez nikogo czapka studencka na głowie wolnego słuchacza, zacierają różnice pomiędzy jednymi i drugimi.

Każda z 5-iu gmin korporacji polskiej większością głosów wybierała swego *reprezentanta*<sup>2)</sup>, prezydującego na zebraniach gminy, a zarazem będącego jej przedstawicielem wobec gmin innych. Miano reprezentanta było usprawiedliwione z tego względu jeszcze, że w sprawach, obchodzących całą ogół, gdzie trudno byłoby omawiać rzecz w zbyt licznej kole wszystkich, oraz w wypadkach, gdy trzeba było przedstawić pod głosowanie jakiś wniosek ogólniejszej natury, przedstawiciele gmin naradzali się po-

<sup>1)</sup> Jak Antonowicz, Henszel i inni.

<sup>2)</sup> W tym czasie reprezentantami gmin byli: gminy Korony: Gustaw Wasilewski (zginął w r. 1863) po Leonie Głowackim (czł. Rz. Nar. 1863), który ukończył studia; gminy Litewskiej: Henszel i Wilczkowski współrzędnie; gminy Wołyńskiej: Antoni Chamiec (późniejszy dygnitarz galicyjski); gminy Podolskiej: Jaroszyński; gminy Ukrainskiej: Tadeusz Rylski, po Antonowiczu, który był jego mistrzem, Rylski zaś adjutantował Antonowiczowi i był mu duszą całą oddany.



przednio pomiędzy sobą i uchwalone przez siebie wnioski pod rozstrzygnięcie gmin poszczególnych oddawali. W razie rozbieżności zdań w uchwałach gmin oddzielnych, gdy potrzeba zgody wszystkich na jakąś decyzję, uczestniczyli w ogólnem zebraniu reprezentantów gmin jeszcze dodani im specyjalni od tych gmin delegaci ze specyjalnemi od swych mocodawców instrukcjami—po kilku z każdej gminy. Decyzye tego zebrania ogólnego były obowiązujące dla wszystkich.

Okazało się przecież, że kwestyonowano niekiedy i uchwały zebrań ogólnych. Zdarzyło się w czasie jesiennego semestru 1860 r., wkrótce po przybyciu naszym do Kijowa, że w gminie litewskiej powstał rozłam na dwie zwalczające się wzajemnie partye. Jedna chciała utrzymać na stanowisku reprezentanta gminy dotychczasowego jej przedstawiciela—Henszla, który tylko co ukończył uniwersytet i był asystentem któregoś z profesorów wydziału matematyczno-fizycznego; druga uznać go nie chciała i wybrała nowego, z młodszych kursów (jeżeli się nie mylę, W.). Obie partye były niemal równe liczbą, a każda przyznawała sobie prawo legalności. W ten sposób powstały dwie równorzędne gminy, reprezentujące Litwę, oskarżające się wzajemnie o uzurpacye przedstawicielstwa. Nie wiadomo było, którą z nich uznać za legalną. Spór rozstrzygnąć miał sąd ogółu. Reprezentanci gmin, uważając się za taki areopag, rozstrzygnęli spór na korzyść Henszla, czemu przeciwnicy jego poddać się nie chcieli i odwołali się do szerszego ogółu studentów, należących do korporacyi polskiej. Zawrzało, jak w ulu. Jedni uważali decyzję reprezentantów za obowiązującą, inni podnosili *kompetencyę sądu ogółu* ponad tę decyzję. Wreszcie stanęło na tem, że gminy, wybrawszy specyjalnych delegatów ad hoc w podwójnym komplecie, wydadzą decyzję prawomocną. Jakoś w końcu sprawa ta uciszyła się—bodaj, czy nie zrzeczeniem się przez Henszla piastowanej godności, a potem nowymi wyborami, czego w tej chwili nie pamiętam dokładnie.

Prócz zebrań liczniejszych — gminami, co zdarzało się rzadziej, zbieraliśmy się dość często mniejszemi gromadkami, w ciałniejszych kółkach studenckich, z okazji imienin któregoś z kolegów, czy zaproszenia z powodu jakiejś rocznicy, czy choćby z okazji odebrania z poczty pieniędzy—co uprzyjemniano sobie wspólną *bibką* — jak się to nazywało w gwarze studenckiej. Przyjęcie skromne: herbata, nieco wódki zwyczajnej, serdelki, bułki i tytoń. W zadymionej od fajek stancyjce gwarzono, omawiając przeważnie sprawy, interesujące wszystkich. Debaty, jakie się wywiązy-

wały przy roztrząsaniu zagadnień społecznych i publicznych, dopełniały specjalnych studyów w tym kierunku, gdy filozofia była z programów uniwersyteckich wygnana jeszcze przez cesarza Mikołaja I („nie filozofstwowat'!“). Po wyczerpaniu dyskusyi następował śpiew chóralny. Z naszego kółka — koroniarzy — najlepiej prowadzili chóry: Żuliński Józef <sup>1)</sup> i Trąbczyński Tomasz <sup>2)</sup>. Przewodnictwo w śpiewach wpłynęło na późniejsze losy tego ostatniego, bo wzięto go za naczelnika demonstracyi, jakie później w Kijowie miały miejsce.

W gwarze studenckiej Trąbczyńskiego zwano „Trąbą.“ Gdy przewodniczył chórom, a śpiewano piosnkę, której każda zwrotka kończy się wierszem:

Trąbo nasza wrogom grzmij!

na niego zwracały się oczy wszystkich. Uznano go, dzięki zapewne plotce jakiejś, za niebezpiecznego i miano zesać „w sołdaty,“ gdy on, powolny zawsze, chłodno, z zimną krwią, przedstawił sędziom, że, oddając go w szeregi żołnierskie, skrzywdzą skarb, który na jego studia około 1,000 rubli już wydał (był na koszcie rządowym), że on gotów służyć w szeregach armii, ale ażeby skarb strat nie poniósł, potrzeba, ażeby mógł skończyć wydział medyczny, do czego mu już niewiele brakowało i, jako lekarz, odslużiwać w wojsku. To przedstawienie trafiło do przekonania sędziów, wysłano go do uniwersytetu charkowskiego <sup>3)</sup>, gdzie uzyskał dyplom lekarski, a później wyznaczono go, jako lekarza wojskowego, na Kaukaz.

---

<sup>1)</sup> Żuliński Józef, jeden z kilku braci, wyróżniających się, nawet między młodzieżą, niezwykłą i gorącą miłością kraju. Wskutek wypadków 1863 roku emigrował do Galicyi, gdzie we Lwowie pracował na niwie pedagogicznej i gdzie zostawił dobrą po sobie pamięć. Tamże wielkie zasługi położył brat jego, Tadeusz, lekarz, którego wdzięczny Lwów uczcił nazwą jednej z ulic jego nazwiskiem.

<sup>2)</sup> Trąbczyński Tomasz dosłużył się stopnia pułkownikowskiego i powrócił do kraju.

<sup>3)</sup> Uniwersytet charkowski był niemal miejscem deportacyi dla studentów innych uniwersytetów, uznanych za duchy niespokojne i miał złą opinię u władz. Za karę w jakiejś sprawie odebrano tu studentom guziki złoczone, jakie nosili studenci wszystkich uniwersytetów rosyjskich, i dano im białe — za rządów jeszcze cesarza Mikołaja I.



Zapisuję ten epizod, jako charakterystyczny, odzwierciedlający ówczesną epokę i ludzi owych czasów.

Powracając do zebrzań koleżeńskich i śpiewów, uważanych wówczas za „nieprawomyślne”—najpospoliciej śpiewano zaczynające się od słów:

Wesoło żeglujemy, wesoło,  
W pożycia burzliwym potoku...

lub:

Zgasły dla nas nadziei promienie,  
Ani zorza nie świeci nam błada...

albo:

Gdy naród na pole wystąpił z orężem,  
Panowie na sejmach radzili...

Przeplatały się one tęskniami, rzewnemi melodyami dumek ukraińskich, czerpanych przeważnie ze zbioru Tymka Padury, lub zasłyszanych bezpośrednio z ust ludu tamtejszego, z którym braterstwo tak wymownie propagował Czajkowski w wyrywanej sobie z rąk do rąk powieści historycznej „Wernyhora,” co znów przyczyniało się do spopularyzowania wśród nas piosenki na cześć autora „Wernyhory,” wodza kozaków tureckich, gdzie zwrotki kończą się strofką:

Więc gdy czasza nie dolana,  
Dolewajmy czaszy,  
Pijmy za zdrowie Sultana  
I Sadyka paszy!

Nie mniej popularne były piosenki w takt skoczego mazura, jak:

Hej mazury, hejże ha!

lub:

Chociaż trzeszczy na łbie skóra,  
Darł ją . . . . pazur,  
Ale Polak szedł mazura,  
Bo nie masz, jak mazur!

Dla nas, przybyłych tu z Królestwa, nie mających tu ani krewnych, ani znajomych, zebrania takie zastępować musiały wszelkie inne stosunki towarzyskie. Na nich też zazwyczaj po-

przestawaliśmy. Później, w miarę rozszerzania się koła znajomych, wchodzili niektórzy z nas w bliższe stosunki z rodzinami miejscowemi. Zbliżenie następowało niejednokrotnie przez poznanie się na ławie uniwersyteckiej przy wspólnych studiach, lub przez objęcie posady nauczyciela domowego czy korepetytora.

\*

\*

\*

Regulamin uniwersytecki nie był krepujący. Egzaminy składać można było bądź z kursu, ukończonego w danym roku, bądź z całego zakresu studyów danego fakultetu — jak komu było dogodniej. Ta swoboda pozwalała uboższym studentom wyjeżdżać na wieś na t. zw. *guwernerkę*, a z pomocą zarobionego grosza mieć możność przesiedzieć w Kijowie ostatnie lata kursów i ukończyć studia. Wielu też korzystało z tego sposobu zdobycia niezbędnych do ukończenia uniwersytetu funduszków—albo w początkowych latach studyów, albo wyjeżdżając co rok drugi. Przeważnie jednak korzystali z tego prawnicy; dla innych wydziałów, zwłaszcza gdzie niezbędnymi były studia eksperymentalne, wyjazd każdy trzeba było okupywać utratą danego roku.

Cechą charakterystyczną studentów kijowskich było rozwinięte do najszerszych granic koleżeństwo. Nie było, zdaje się, rzeczy „mojej“ i „twojej“, za wyłączeniem może papierośnicy — wszystko było „nasze.“ Ileż to razy, gdy student zastawił zimowy przyodziewek (niekoniecznie nawet na niezbędne potrzeby) — całą zimę przechodził w płaszczu kolegi, który sam zadawałniał się lżejszym paltocikiem, pomimo mrozów, jakie w Kijowie dają się nieraz we znaki, i z całą delikatnością wymawiał się od potrzeby odebrania płaszcza, dopóki pora chłódów nie minęła. Wyjeżdżających na wieś, dla objęcia „guwernerki“, ekwipowali koledzy we własne ubranie, byle jeden z ich grona nie okazał się w zamożniejszym domu tamtejszego obywatelstwa biedakiem i nie był narażony na lekceważenie czy to ze strony chlebowców, czy też przez ich służbę. To rozwinięte koleżeństwo pozostało dla wielu „kijowiaków“ charakterystyczną cechą w dalszym życiu—altruizm, posunięty do zapomnienia o sobie. Typowym przedstawicielem tego altruizmu, z liczby bliżej mi znanych kolegów,



był zmarły zbyt wcześnie nieodżałowany Jan Janiszewski, adwokat w Lublinie; podobne mu wspomnienia zostawili po sobie: d-r Kołędowski w Grabowcu (w gub. lubelskiej), bracia Tadeusz i Józef Żulińscy, zasłużeni działacze społeczni we Lwowie, i bardzo wielu innych, których ciche czyny nie przedostały się do wiadomości poza obręb tego ciaśniejszego kółka, w którego pamięci wdzięcznie się zapisali.

Tenże sam wysoko rozwinięty wśród młodzieży uniwersyteckiej altruizm zrodził wśród niej *chłopomanów*.

Kwestya włościańska była jedną z najważniejszych, jakie się podówczas naprzód wysuwały. Władze naczelne w Petersburgu pracowały nad redakcją ukazu o oswobodzeniu włościan (ogłoszonego w początku 1861 r.), a poczucie potrzeby tego oswobodzenia było w powietrzu. Nie potrzebuję powtarzać, że młodzież polska całą duszą była za zniesieniem dotychczasowej niewoli. Dla nas, koroniarzy, stosunki, panujące dotychczas w cesarstwie, były czemś niepojętem, gdyż u nas zależności podobnej włościanina od pana — nie było. Nie mogliśmy zrozumieć, jak można sprzedać człowieka, który ma przecież własną wolę; nie mogliśmy pogodzić się z samą myślą takiego niewolnictwa. Ale nie wiedzieliśmy również, że ten stan wprowadziły tu późniejsze dopiero porządki, za co przeszłości naszej winić nie można.

Współczucie dla włościan poddanych, których panowie sprzedawać mogli, jak swoje stado—z pewnemi ograniczeniami po tej stronie Dniepru (razem z ziemią), albo i bez żadnych ograniczeń za Dnieprem—wywołało, przez odbicie, pewną niechęć młodzieży uniwersyteckiej do warstw uprzywilejowanych, owych *moszrodziejów*, jak w gwarze studenckiej posesyonatów nazywano. Studenci, przeważnie synowie tych samych „moszrodziejów,” powiększali koła chłopomanów, tu na gruncie ukraińskim, z ruska *chochtomanami* zwanych. Rekrutowali się oni z młodzieży polskiej kresowej, urodzonej i wychowanej wśród Rusinów; manifestowali się na zewnątrz *świtkami* z grubego sukna, jakiego chłopci miejscowi na odzież używają i podobnym do ich odzieży krojem, i nieodłącznym do tego kostyumu krótkim cybuszkiem z fajeczką—na sposób ukraiński. Najcierwieńsi między nimi szli w swoich aspiracjach za daleko—nawet w oczach współkolegów—za co ochrzczeni zostali przydomkami takimi, jak „Żeleźniak,” „Gonta” i t. p.

Przyznać trzeba, że i tu my, „koroniarze,” nie zawsze umieliśmy przejąć się uczuciami naszych kresowych współrodaków. Wychowani wśród ludu twardego, mało poetycznego i mniej uczuciowego, nie umieliśmy przejąć się do niego tą miłością, jaką

wyróżniała się młodzież nasza z Rusi. Poczowała się ona do obowiązku nietylko podniesienia tego ludu, ale i do podzielenia się z nim tem wszystkiem, co, dzięki losom, sama otrzymała. Jakiś serdeczny węzeł tajemny zespałał ją z potrzebami, wierzeniami i marzeniami Rusina, a pieśni ruskie ludowe były w takiej czci dla nich, jak nasze narodowe dla nas. Czy stosunek ten stworzył miękki i łagodny charakter Rusina, czy wrodzona szlachetność warstwy panującej, czy jedno i drugie razem—dość, że trudno było znaleźć w Królestwie w owe czasy równą miłość młodzieży szlacheckiej do ludu, jak tu na Rusi. W Królestwie zadośćuczynienie potrzebom ludu miało za motyw wyrozumowane zasady — na Rusi pędziło do tego bezwiedne uczucie.

Młodzież kijowska przeniosła chłopomanstwo i nad Wisłę. Grunt jednak mniej tu był podatny, bo i mniej było podstaw do jego rozwoju. Zależność jednej warstwy od drugiej była oparta jedynie na stosunku majątkowym, do którego utrzymania ze strony dworu zmuszały (ułożone na kilkanaście lat wstecz) tabele t. zw. prestacyjne, nie krępujące jednak włościan, jeżeli ci nie chcieli korzystać z gruntów, jakie mieli oddane w posiadanie i użytkowanie. Pomimo jednak braku podstawy do podobnego chłopomanstwa, rozwijało się ono w Królestwie dzięki wpływowi doktryn Mierosławskiego, który dla ówczesnej młodzieży polskiej był bożyszczem.

Do tego wysokiego stanowiska podniosła go cenzura drukowanego słowa. Powiedziałem w innem miejscu, co i tu powtórzyć się godzi, że gdyby nie ścieśnienia cenzuralne, które nawet imienia Mierosławskiego nie przepuszczały w druku, mogła się być wytworzyć polemika co do działalności jego żołnierskiej i obywatelskiej; mogłaby krytyka zarówno zasługi jego jak i błędy wystawić we właściwem świetle i otworzyć nam oczy. Ale że pisać o nim nie pozwolono, podobnie jak nie pozwolono wymienić wielu nazwisk, które myślny wciąż otaczali, — wszedł on przez to już samo w plejadę tych, o których w sekrecie tylko wiadomości z ust do ust sobie podawano. Nieznany, podobnie tajemniczy nieznaney, rósł w oczach i umysłach tych, którzy go poznać nie mogli. Słowa jego uważano za nieomyślne, a rzucone przezeń hasło:

„Precz z tytułami: książę i pan!“

było hasłem młodzieży. Starsze pokolenie, które nie podzielało tego jej entuzjazmu, już tem samem dyskredytowało się w jej



oczach i traciło na nią wpływ, w czasach tych, jakie niebawem nastąpić miały, taki niezbędny, tak niczem niezastąpiony!

Kółko chochłomanów w uniwersytecie było przecież więcej skupione. Przewodził mu Włodzimierz Antonowicz <sup>1)</sup>, niedawny student uniwersytetu kijowskiego, w owej porze aspirujący do posady nauczyciela w którymś z gimnazyów kijowskich. Miano go za Polaka (syn Bonifacego), co ułatwiało mu stosunki z młodzieżą polską. W dążeniach swoich ku poprawie bytu ludu miejscowego jednał sobie adeptów wśród synów ziemian tamtejszych i miał z nich najgorliwszych rzeczników tej sprawy <sup>2)</sup>, co mu pozwalało tem skuteczniej pracować dla dobra Małorusów. Te znów zasługi jednały mu młodzież małoruską.

Jednanie sobie serc ludu małoruskiego leżało również w widokach młodzieży polskiej. Małorus — samoistna czy nie — zawżyć musi na losach sprawy polsko-rosyjskiej. Stanowi ona największą kość niezgody polsko-rosyjskiej, będzie więc zawsze ważnym dla niej czynnikiem. Nietylko nie leży w naszym interesie walka z Małorusią, ale przeciwnie — zjednanie jej życzliwości, świadomej własnego interesu. Młodzież polska, rozumiejąc tę potrzebę, chętnie nietylko wchodziła w stosunki z Małorusami, ale szeregi ich powiększała, pracując wspólnie z nimi w sprawie i w interesie ludu małoruskiego. To tłumaczy liczny udział młodzieży polskiej wśród najzagorzalszych chochłomanów ukraińskich.

Jedność wszakże religii, wpływ duchowieństwa prawosławnego, zarządzenia administracyjne, język urzędowy wszędzie i szkoła rosyjska, dawały nadzieje, że serca małorosyjskie skierują się wyłącznie ku wielkiej ojczyźnie rosyjskiej, że utoną one w tem wielkiem morzu, gdzie zlać się miały wszystkie rzeki słowiańskie.

---

<sup>1)</sup> Antonowicz (Włodzimierz syn Bonifacego) uważany był przez młodzież polską za Polaka, oddanego sprawie ludu małorosyjskiego. Za czasów uniwersyteckich był nawet obrany przez kolegów-Polaków na reprezentanta polskiej gminy ukraińskiej. Jak życzliwie młodzież ta odnosiła się do sprawy małoruskiej, służyć może za dowód, że następcą Antonowicza w godności reprezentanta tejże gminy był Tadeusz Rylski, jeden z najgorliwszych apostołów zasad Antonowicza w kwestyi małoruskiej. Czy Włodz. Antonowicz był już wtedy prawosławnym, czy też później dopiero przyjął to wyznanie — nie wiem. W katalogu profesorów kijowskich (z r. 1884) figuruje, jako prawosławny.

<sup>2)</sup> Jak bracia Rylscy, Abramowicz, Popowski i wielu synów zamożniejszego ziemiaństwa polskiego na Ukrainie.

Cichy i potulny lud małoruski nie protestował przeciw tym dążeniom; inteligencja jego chętnie przyjmuje kulturę wielkorozyjską. Część więc tych nadziei ziszcza się powoli. Ale w owe czasy, w czasy... wiosny ludów państwa rosyjskiego, inny nieco wśród małoruskiej młodzieży uniwersyteckiej panował nastrój. Nie Antonowicz jeden tylko marzył o Ukrainie, wolnej zarówno od Polaków, jak i od Rosyan.

Nie znałem bliżej chochlomanów ukraińskich — nie mógłbym dać przeto czytelnikowi obrazu ich myśli i dążeń na podstawie osobistych obserwacji. Skorzystam więc z pamiętników <sup>1)</sup> współczesnych mojemu pobytowi w uniwersytecie kijowskim, ten chętniej, że sądząc z opisów tych epizodów, które są mi lepiej wiadome, rzecz jest dość bezstronnie opowiedziana przez naoczego świadka, a prawdopodobnie i uczestnika rozmów, które opisuje.

Autor pamiętników wprowadza nas bezpośrednio w kółko studenckie Małorusów, wśród którego wielką cieszy się powagą Włodzimierz Antonowicz <sup>2)</sup>. Rozmowa toczy się o sprawach małoruskich.

„Taki już nieszczęśliwy naród nasz ukraiński — powiada jeden — że wiecznie ciągną go to w jedną, to w drugą stronę; nie ma spokoju, i tyle. Jak o łakomy kęsek, biją się o niego dwaj sąsiedzi — i musi mieć ciągle do czynienia nie z tym, to z drugim. Zmoże jednego, to zaraz drugi rękę nań wyciąga.“

„Załatwiwszy się z Polakami, weźmiemy się i do Moskwy“ — mówi drugi.

„Z Polakami załatwić się nietrudno — powiada trzeci — załatwią się z nimi i pomimo nas; ale czy dobrze robimy, że wzmacniamy wroga i tak już silnego?“

Na to odpowiada Antonowicz, wystawiony tu pod nazwą Antipowicza: „Wróg silny — ma tylko fizyczną siłę; Polacy zaś mają siłę inteligencji, która jest dla nas niebezpieczniejszą. Patrzcie, jak wszystko pochwycili w swe ręce — jak wpływy ich uwidoczniają się od góry do dołu.“ „...Moskwa dopiero zaczyna myśleć o szkołach, a patrzcie, co się dzieje po wsiach; w każdym powiecie jest po kilka szkół, gdzie szlacheccy nauczyciele i księ-

<sup>1)</sup> W. M. Józefowicz: „Tridecat' let tomu nazad. Oczerk iz studenczeskoj żizni.“ Kijów 1898, str. 72 (dziełko napisane w języku rosyjskim).

<sup>2)</sup> Patrz o nim wyżej.



ża, pod nosem administracyi, uczą z polskich elementarzy i zasadami swemi deprawują lud. Widziałem ludzi, wychodzących z tych szkół — zapominają oni mówić po małoprusku. Moskwa przynajmniej nie prowadzi propagandy... dobre i to; koniec końcem, Ukraina Ukrainą pozostanie. Ale jeżeli nie będziemy zwalczali Polaków, to spolszczą oni lud, jak spolszczyli już swoją służbę.“

„Dziwna rzecz—odpowiada inny—jak wy wszyscy, panowie prawobocznicy<sup>1)</sup>, zapatrujecie się na tę sprawę...; ale zobaczcie, co się dzieje z ludem u nas, za Dnieprem; rozumie się, że z Ukrainca nie tak łatwo zrobią Wielkorusa, chociażby tysiące szkół założono i Aksakowa postawiono na czele... tu siła i żywotność samoistnego typu, z którym nie poradzi ani Moskwa, ani Polska... Ale ta siła i żywotność w obecnym ludzie ukraińskim, to siła bierna, pozbawiona samowiedzy; jest to jakiś stan apatyj i obojętności, które dają się widzieć nietylko w byłych poddanych, ale i wśród swobodnego stanu kozackiego... czyż nie boli serce, gdy obok niesłychanie tkliwej i głębokiej pieśni ludowej słyszysz przyniesioną przez żołnierza jakąś gadkę... myślę, że żołnierz jest niebezpieczniejszy od Polaka... W Polaku bowiem lud widzi przedewszystkiem pana, i już dla tego samego nienawidzi go, że jest to pan...; żołnierz zaś, to swojak, nie obcy; moskiewska więc propaganda, drogą poboru wojskowego, działa skuteczniej, niż gdyby zakładała szkoły...“

Rozmowa ta odślania mniej więcej duszę młodzieży małopruskiej, z którą bratała się młodzież polska — w tem przekonaniu, że cele ich są wspólne. Czy przywódca tego ruchu, Antonowicz, grał z jednymi i drugimi komedję, mając swoje odrębne jakieś cele i środki osobiste, czy też działał w dobrej zrazu wierze, a później zmienił przekonania i poglądy na sprawy, których był rzecznikiem—przyszłość to kiedyś odśloni. Zaznaczyć tu jednak musimy, że tenże Antonowicz, za czasów swoich studenckich mający się za Polaka, obdarzony zaufaniem i szacunkiem polskich swych kolegów do tego stopnia, że został ich reprezentantem (gminy ukraińskiej)—później, po latach kilku, staje w obozie przeciwnym i niepoślednią swą czynność przeciw Polakom zwraca.

Do kółka, zbliżonego do Antonowicza, należał również współczesny mu Leonard Sowiński, który, zdaje się, jednocześnie z tym w r. 1860 ukończył studia uniwersyteckie w Kijowie i wkrót-

<sup>1)</sup> Prawobocznicy — mieszkańcy prawego brzegu Dniepru.

ce otrzymał posadę nauczyciela języka polskiego (tylko co wówczas utworzoną) w jednym z gimnazyów wołyńskich. Zainteresowanie Małorusią i chęć obudzenia tego interesu w szerszych kołach społeczeństwa polskiego upamiętnił on ciekawą dla nas broszurą p. t. „Studia nad ukraińską literaturą dzisiejszą,“ gdzie zaznajamiał czytelników polskich z głośnym na owe czasy i sympatycznym poetą małoruskim — Szewczenką. Odzwierciedlenie zaś uczuć i przekonań młodzieży polskiej ówczesnej, w stosunku do ludu ukraińskiego w poemacie jego „Na Ukrainie“ (epizod z r. 1863), pozostanie na wsze czasy dokumentem, świadczącym, że młodzież polska, nawiązując stosunki z elementem małoruskim, działała w dobrej wierze i na zmiany, jakie zaszły później w przekonaniach pioniera sprawy małoruskiej, nie była przygotowana. Do jakiego zaś stopnia idea braterstwa z Małorusami była popularna między młodzieżą polską, dość przytoczyć, że po opuszczeniu uniwersytetu przez Antonowicza, reprezentantem gminy ukraińskiej wybiera Tadeusza Ryłskiego, jego adepta i pomocnika. Z dyalogów, przytoczonych przez pamiętnikarza rosyjskiego, widać przecie, że idea tego braterstwa była jednym więcej złudzeniem owej epoki.

Omawiana gorąco broszura Sowińskiego, stała się najniespodziewanej przyczyną pojedynku. Mieliśmy wśród kolegów osobniki, które nie wiele pracowały, nie wiele czytały, ale pragnąc uchodzić za odczytanych, wstydziły się przyznać, że czegoś nowego nie znają, że nie zdążyły przeczytać. Trzeba było im wszakże chwytać wiadomości, bodaj z drugiego źródła, od kolegów, którzy to i owo czytali i temi zapożyczonymi informacjami manewrować tak, żeby się na tej ich manipulacji inni koledzy nie poznali.

Do takich chełpliwych ze znajomości tego i owego dzieła należał Kazio M. z Hrubieszowskiego. Brano go na kawały i opowiadano mu androny i bajki o treści bardziej poczytnych książek, a gdy on w dobrej wierze te bajki powtarzał, stawał się przedmiotem żartów. Dziełko Sowińskiego posłużyło za pretekst do żartów podobnych, tem więcej, że było ono popularnem i łatwo było każdemu z niem się zapoznać bezpośrednio. Któryś z żartownisiów powiedział był Kaziowi, że Sowiński w dziełku tem podburza do rzezi szlachty. Kazio, nie sprawdzwszy sam, zaczął to w kurs puszcząć. Niedosć na tem, siedząc w restauracyi studenckiej (Najmyca), głośno i publicznie wypowiedział swoje oburzenie z tego powodu, dodając do nazwiska autora mniej pochlebne dlań epitety. Wstaje wtedy Bobrowski, jeden z przyjaciół Sowińskiego i zapytuje seryo, gdzie on to wyczytał. Kazio, nie



chcąc się wydać z nieświadomością, wymyśla pierwszą lepszą stronicę, na której ma się znajdować inkryminowany ustęp, w nadziei, że takie kategoryczne wskazanie wystarczy do zakończenia dyskusyi.

Tymczasem trafił inaczej. B. zażądał, ażeby Kazio odwołał swoje oskarżenie. Kazio odmówił. Sprowadzono książkę z czytelnictwa studenckiej (prywatnej), w tym samym domu mieszczącej się; zaczęto ją przeglądać. Okazało się, że metylko na wskazanej przez Kazia stronicy, ale nigdzie, w całej broszurze, nie podobnego (ku wielkiemu zdumieniu oskarżyciela) nie było.

Bobrowski wyzwał Kazia na pojedynek. Sowiński, dowiedziawszy się o wszystkim, wpadł do Kijowa, nie pozwolił Bobrowskiemu zastąpić się w obronie czci własnej i sam do pojedynku stanął. Już na placu, sekundanci stron wiedząc, że wina Kazia nie pochodziła ze złośliwości, bo miękkiego i dobrego był serca, co nieraz nawet wyzyskiwano; że cała wina była raczej wynikiem chępliwości, wpłynęli na strony pojednawczo. Pojedynek zapito szampanem, na co kieszeń Kazia wystarczała.

Za czasów moich nastrój młodzieży uniwersyteckiej był poważny. Zastaliśmy jedynie tradycje o dawniejszych wybrykach, jak zajście z pułkownikiem Brinkenem, jakie stało się powodem procesu i dało jednemu z kolegów pochop do napisania „Brinkeniady,” studenckiej epepei komicznej; jak zawieszenie szyldu na domu znanego uczonego i krytyka polskiego — Michała Grabowskiego z napisem: „Ecole cosmopolitique M. Grabowski” i wiele innych.

Niemniej atmosferę ówczesną studencką cechowała swoboda myśli. Prądy, jakie zaczęły się objawiać naprzód w Petersburgu, a od niego promieniowały dalej, zaznaczały się tu wyraźnie. Dziś po latach 50, przechodząc myślą do czasów owych, można łatwiej zrozumieć, niż to rozumieeli współcześni, znamiennejsze zjawiska chwili.

Że ze wstąpieniem na tron cesarza Aleksandra II mieszkańcy państwa rosyjskiego zyskali pewną swobodę słowa, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Rozpoczęła się krytyka dawnych urzędzeń, a prąd cywilizacyjny ogarniał większość inteligencji rosyjskiej. Ale swoboda krytyki przeszłości, a nawet teraźniejszości, w kierunku postępu, uprawniała jednocześnie krytykę reform, a tem samem opozycyi, reformom tym niechętniej, dała broń do ręki. Stąd też, obok słów potępienia dla zniesionego tylko co niewolnictwa ludu rosyjskiego (19 lutego 1861 r.), spotykano ostrą kry-

tykę nowych zarządzeń. Niedosć na tem. Usunięcie od udziału w rządzie zacofańców i karyerowiczów, powołanie na ich miejsce przez cesarza do współpracownictwa lepszych jednostek z rdzennej arystokracji rosyjskiej, zrodziły antagonizm względem korony tych wszystkich zwolenników starego porządku, którzy stanowiska, jakie przedtem zajmowali, przywykli uważać za niepodzielną i dziedziczną własność swej koteryi. Niechęć, jaka nurtowała w sercach zwolenników starego porządku, wybuchała często złośliwym epitetem pod adresem cesarza. Stąd też nietylko pobłażliwości, wynikające u przedstawicieli władzy z pobudek biegunowo przeciwnych, ale nadto ciche, tajemne sprzyjanie najjaśkrawszym nawet wybuchom i nadużyciom swobody, ażeby samą myśl tej zapowiadającej się swobody skompromitować należyście, przed samem jej narodzeniem; wykazać cały absurd tej swobody w Rosyi i zdobyć na potwierdzenie tego dowody. Że zaś najłatwiej użyć w tym celu niedoświadczonej a ambitnej młodzieży, działalność nieprzyjaciół postępu i cesarza, apostołującego ten postępek, zwróciła swe oczy na uniwersytety.

Zaczęły się też na całej przestrzeni państwa rosyjskiego zamieszania studenckie. W Kijowie przybrały one odrębny od innych uniwersytetów charakter.

Jak widzieliśmy, większość studentów uniwersytetu kijowskiego stanowili Polacy. Pod wpływem wypadków warszawskich w początku 1861 r., żywiej poruszyła się tu młodzież polska, żywiej zabiły serca nadzieją zmian na lepsze. Nadzieje te sięgały zresztą niezbyt daleko; poza ulgi dla języka polskiego, poza pewne równouprawnienie językowe lub przynajmniej uwzględnienie języka, stanowiącego język macierzysty całej niemal ówczesnej inteligencji tamtejszego kraju—nie przechodziły. Prócz zebrań w salach uniwersyteckich, gdzie te sprawy były omawiane (a przy tysiącnym niemal tłumie nic dziwnego, że hałaśliwych), zamieszania te dalej nie przechodziły. W celu poparcia tych dążeń przez obywatelstwo Królestwa Polskiego, które uzyskało wówczas niejaki przedstawicielstwo już to w Towarzystwie Rolniczem, już w Delegacyi miejskiej m. Warszawy, korporacja studentów Polaków wysłała do Warszawy 3 swoich delegatów dla przedstawienia dezzyderatów uniwersytetu na posiedzeniu Towarzystwa Rolniczego i uzyskania z jego strony poparcia. Wysłano od Korony Gustawa Wasilewskiego, w imieniu Litwinów kto pojechał—nie pamiętam, a od Rusi—ukraińca Paszkowskiego. Na tem ograniczyły się polityczne agitacye i demonstracye młodzieży polskiej w pierwszej połowie 1861 r.



Więcej może hałaśliwymi, niż burzliwymi były spory w gronie samych studentów. Studenci Polacy pragnęli uwzględnienia przez władze państwowe języka większości studentów uniwersytetu, co już samo oburzało młodzież ruską. To też, gdy we wszystkich uniwersytetach cesarstwa studenci Rosyanie domagali się rozszerzenia praw studentów, tu w Kijowie tworzyli oni obóz niemal reakcyjny a (z nielicznymi wyjątkami <sup>1)</sup>) dla elementu polskiego nieprzychylny. Rosyanie i Małorusini podali sobie ręce w celu zwalczania Polaków. Poszli dalej nawet, żądając usunięcia z uniwersytetu Polaków, jako przeszkadzających im w odbywaniu studyów. Każde odezwanie się o równości praw wszystkich studentów, bez względu na narodowość, oburzało ten obóz. Gdy raz w dyskusyi, odbywającej się w wielkiej sali uniwersytetu, jeden ze studentów, Żyd, wypowiedział, że tu niema ani Polaków, ani Rosyan, ale tylko studenci, przyskoczył do niego jakiś zaperzony kolega i ująwszy się pod boki, zakrzyknął mu: „a kto to panu powiedział, że Żyd i Małorus to jedno!“ (a wam kto skazał, czto Żyd i Małoros to wsio rawno).

I tu, jak wszędzie zresztą w ówczesnych wypadkach, nie obeszło się bez współpracownictwa prowokatorów, wysługujących się reakcyi. Ich dziełem było zdzieranie okólników władzy uniwersyteckiej; ich dziełem były wykrzyki niby to przez młodzież polską czynione: „to nasz uniwersytet!“ o czem wzmiankują rosyjscy historycy tej chwili.

W zebraniach tych brałem udział, nie należałem do lękliwych, ale ani mnie, ani żadnemu z tych, z którymi się stykałem, nie przyszło nawet na myśl zarówno zrywanie cyrkularzy, jak i pretensye do wyłącznego prawa do uniwersytetu w Kijowie. Znając sferę, wśród której się obracałem, mogę stwierdzić, że jedno i drugie było dziełem osobników z poza naszego grona, i bynajmniej przez korporacyę studencką polską do tego nietylko nie upoważnionych, ale nawet nie zachęcanych.

Przypuszczać można, że władze naukowe, zarówno kurator Pirogow, jak i rektor Bunge, ludzie trzeźwi i uczciwi, musieli się również domyślać zakulisowej jakiejś roboty, skoro takie, na pozór krzyczące nadużycia, nie wywołały śledztw i sądów nad

<sup>1)</sup> Do tych wyjątków należeli dwaj bracia Kryłowscy—Małorusini, z których jeden emigrował, drugi przyjaźni dla Polaków przyplacił wygnaniem na Syberję.

studentami. Ale reakcja i tak dopięła swego. Zaczny Pirogow, którego powaga wśród studentów dużo wpłynąć mogła na uspokojenie umysłów i była w takich chwilach bardzo pożądaną, został odwołany ze stanowiska. Usunięto dygnitarza liberalnego. Zupełnie też trafnem jest spostrzeżenie, wypowiedziane w pamiętniku W. M. Józefowicza,<sup>1)</sup> że „zaburzenia uniwersyteckie wywoływali ludzie postronni, nie w interesie młodzieży, nawet nie w celach przeprowadzenia utopii politycznych, lecz jedynie w celach intrygi, uknutej według ścisłego i dojrzałe obmyślonego programu, w który wchodził zamiar: zmusić rząd do niepopularnych zarządzeń represyi, przez te zaś represye ludzie, sięjący zamęt i niepokój, spodziewali się obudzić ogólne niezadowolenie i w tym duchu oczekiwali szczególniejsz pożądanym dla siebie rezultatów z zamknięcia uniwersytetów, jakie spodziewali się osiągnąć przez wywołanie zamieszek wśród studentów...”

To spostrzeżenie dotąd zupełnie trafne i słuszne. Niesłusznie tylko dopatruje się wydawca pamiętników inicjatywy tych nieporządków w obozie polskim. Prawda, że w chwili, gdy te pamiętniki wydawał, t. j. w r. 1894, działalność zakulisowa różnych Haponów i Azefów, nie była ogółowi znana; ludzie prostego serca nie domyślali się jej może nawet. Obecnie jednak naiwność taka w opowiadaniu wydarzeń minionych, byłaby grzesznym anachronizmem.

Specjalnie z wypadków kijowskich, oraz z tego, czego byliśmy świadkami, wynieśćbyśmy mogli inne zgoła wnioski. Potrzebnych policyi agentów wśród grona studentów nie tak łatwo było rekrutować, jak dzisiaj; raz dlatego, że pewne ograniczone dość koło wchodziło do tego grona; powtóre, że wchodziłi do tego grona ci tylko, którzy nietylko wzajemnie zapoznali się ze sobą w gimnazyach, ale mniej więcej znali stosunki, w jakich się koledzy ich w domu obracali. Gdyby więc była niepewność co do którego z młodzieży, już zanimby przyjechał, ostrzeżonoby o nim koła uniwersyteckie.

Dla wpuszczenia też tego innego żywiołu w koła studenckie na oścież otwarto podwoje dla wolnych słuchaczy. Co byli oni za jedni, skąd przychodzili, nikt zwykle nie wiedział, tem więcej, że nie potrzebowali legitymować się żadnym egzaminem lub świadectwem szkolnem. W tych warunkach, współrzędnie z najzac-

<sup>1)</sup> Józefowicz: Tridcat' let tomu nazad. 1898. Str. 3—4.



niejszą młodzieżą, wchodzili do grona słuchaczy i wyrzutki społeczne. Skandalem byłoby dla młodzieży badać takiego kolegę, czy jest studentem, czy wolnym słuchaczem, co on zacz, skąd przybywa i t. p. Wstęp do uniwersytetu legalnie otrzymany otwierał wstęp tem samem i do kół, i kółek studenckich. Po niewczasie dopiero i o wiele już później, dowiadaliśmy się, że ten lub ów mniemany nasz kolega był agentem tajnej policyi, a może i prowokatorem. Przy tej nieopatrzności i idącej za nią nieostrożności, jaka wśród nas była zwykłą, dziwić się nie można, że uniwersytet kijowski dał obfite żniwo komisjom śledczym nie tylko z polskiej, ale i z ruskiej młodzieży.

\*

\*

\*

Jakkolwiek udział młodzieży kijowskiej w powstaniu 1863 r. był wybitny, a poniekąd była ona jedną z główniejszych jego sprężyn, to przecież samo powstanie, jako już późniejsze i odbywające się na innym terenie, nie wchodzi w skład tego opowiadania. Wybitni działacze 1863 r. nie występowali wówczas z hasłami walki orężnej. Leon Głowacki, Stefan Bobrowski, bracia Żulińscy, Gustaw Wasilewski, Burzyński i inni, mniej głośni, znani byli jako dobrzy patryoci i przez ogół młodzieży wysoko cenieni. Ignacy Chmieliński nie wybił się był wówczas na stanowisko, wyróżniające go czemkolwiek wśród kolegów. Starszy wiekiem od nas, był małym ównym obserwatorem raczej i nic nie zapowiadało późniejszego jego stanowiska—najczerwieńszego wśród czerwonych.

Zaprzeczyć się jednak nie da, że młodzież polska w Kijowie wynosiła stąd wielką miłość ojczyzny, gotowość do poświęceń i oddania za nią wszystkiego w ofierze. Te strony duszy postawiły ją niebawem w pierwszych szeregach walczących. Ale niesłusznym jest zarzut, czyniony jej przez pamiętnikarzy rosyjskich owej epoki, jakoby przywłaszczała ona sobie przywilej wyłącznego decydowania o losie ziem ruskich, czy wyłącznego nad nimi panowania. Jeżeli podobne bajki rozpuszczano w czasie walki orężnej, dla uzbrojenia przeciw polskim powstańcom ruskiej opinii

publicznej, oraz mas ludowych, przywiązanych do swej odrębności narodowej i religijnej, a obawą zamachu na nie, lud ten przeciw „Lachom“ poruszono,—to obecnie, gdy ta walka należy do przeszłości, byłoby nieuczciwością nie prostować tych wymysłów.

\*

\*

\*

Dobiegał do końca 2-gi semestr roku akademickiego 1860/1. Ostatnich dni kwietnia młodzież zaczęła się rozjeżdżać na wakacje.

Przed wyjazdem chcieliśmy zwiedzić słynne pieczary kijowskie. Wyjechać stąd, nie zobaczywszy pieczar, byłoby tyle, co być w Rzymie, a papieża nie widzieć. Pojechaliliśmy na Peczersk.

Mieszkańcy miejscowi są przekonania, że samemu lub w małym towarzystwie, niebezpiecznie zwiedzać pieczary. Stosując się do tej wskazówki, zebrało się nas coś około dziesięciu razem je zwiedzających. Zajechaliśmy na dziedziniec klasztorny, zwiedzili wspaniale uzłożoną wewnątrz „ławrę“, a opowiedziawszy cel przybycia, weszliśmy do mniejszej kaplicy; tu zalecono nam kupno świeczek woskowych, przy których świetle zwiedzanie pieczar się odbywa.

Przez drzwi kaplicy, prowadzeni przez mnicha, również ze świeczką w ręku, wchodzimy pojedynczo do ciemnego kurytarza, który się wiję i ciągnie pod ziemią, zda się bez końca; jest w wielu miejscach tak wązki, że tylko jeden człowiek iść może, a dla minięcia się trzeba się wykręcać bokiem. Ciemny już dziś i prawie czarny,—wykuty, albo ściślej mówiąc, wykopany w głębi gliniastego wzgórza, idącego nad Dnieprem, był może przed wiekami schroniskiem czy też ulicą jakiejś osady podziemnej, jakie podobno istniały do niedawna w Bretanii francuskiej, a może i dotąd istnieją. Po obu bokach tego kurytarza są wgłębienia (nisze), w których stoją śmiertelne szczątki świętych, błogosławionych, książąt i ludzi sławniejszych, wszystkie nakryte całunami, z wyszytym na nich krzyżem.

Oprócz tych wgłębień, pokazano nam jeszcze parę, jakby kaplic czworobocznych; w jednej mieściły się trumny braci (śpiących) obok siebie ustawione; w drugiej—głowa św. Jana w oleju na metalowej, jakby srebrnej tacy, pełnej niemal oleju, który są-



czy się z głowy. Stojący obok duchowny mówił do każdego: „prikłoniś k gołowkie“ (nachyl się ku głowie) i metalowym pręcikiem, umaczanym w tymże oleju, kreslił krzyż na czole.

Sądząc po czasie, który spędziliśmy w podziemiach owych, musieliśmy przejść kurytarzami tymi wiorst parę. Były miejsca, przez które przechodziliśmy, nie zatrzymując się wcale; przechodząc zaś, widzieliśmy kraty, odgradzające kurytarz główny od bocznych, dalszych jakichś, które jednak nie są przeznaczone do oglądania. Tu i owdzie pokazywano nam małe, okrągłe okienka w ścianie kurytarza; za niemi mają spoczywać ciała błogosławionych, którzy za życia zamknęli się tu i tu życia dokonali; w innych miejscach ponad płaszczyznę, po której stąpamy, wystają jakby pieńki jakie, pokryte całunami. To mają być szczątki śmiertelne „zakopników,“ którzy się za życia zakopali, zrazu po pas, a teraz zapadają się coraz głębiej, gdy się zapadną, będzie koniec świata.

Bądź co bądź pieczary są ciekawym zabytkiem dawno mionej przeszłości.

\*

\*

\*

Kiedy już wyjeżdżać mamy, władze uniwersyteckie oświadczają, że wobec niepokoju w Królestwie, urlopów na wyjazd nie otrzymamy; wszędzie gdzieindziej urlopy będą dane,—byle nie do Królestwa. Nie mając stosunków w tej dzielnicy, tem mniej zostawać tu możemy. Na skutek nalegania o urlopy, poddano nam myśl, ażeby wziąć zupełne uwolnienie z uniwersytetu, co wprawdzie pociąga za sobą utratę roku, ale wobec naszych lat młodych, nie zaważy zbyt ciężką stratą; uwolnienie zaś będzie umotywowane nieopłaceniem wpisu za 2-gie półrocze. Cała nasza tegoroczna gromadka lubelska skorzystała z tej rady i ruszyła ku Lublinowi. Starsi, którzy więcej lat mieli do stracenia, pozostali w Kijowie lub postarali się o jakieś czasowe umieszczenie w tamtejszej prowincyi.

Granice Królestwa, Bug, przejechaliśmy wczesnym rankiem 3 maja; zrazu śnieg pruszył, w czas jakiś wyrzało słońko i powietrze się ociepliło. Za Bugiem, z prawej strony, natura drzeła jeszcze, tu, po stronie Królestwa, zieleniły się już świeżo,

nawpół dopiero rozwinięte listki krzewów leśnych. Przyroda budziła się z uśpienia.

Współcześnie z wiosną w naturze, wiosna nadziei tryskała z oczu spotykanych tu mieszkańców. Pod wrażeniem tych samych nadziei, wracaliśmy w progi ojczyste, z troską wszakże, co będziemy robili ze sobą, gdy miną wakacje, skoro uniwersytety będą rok cały dla nas zamknięte.

Tymczasem każdy się oddał zajęciom, na jakie położenie jego w rodzinie skazywało.

## II.

Przybyliśmy do Lublina w pierwszych dniach maja i stąd rozjechaliśmy się, każdy do swego domu.

Zastaliśmy nieznanne przedtem w kraju ożywienie. Myśl i pragnienie, które, jak nam się zdawało, były udziałem jedynie polskiej młodzieży uniwersyteckiej, objęły całe społeczeństwo, a przynajmniej całą myślącą i czującą jego warstwę. Każdy manifestował swoje myśli i uczucia, jak umiał, każdy chciał się okazać nie gorszym od innych w tym względzie. Czamary z naszymi, t. zw. „potrzebami,“ zastąpiły miejsce tużurków; barwne żupaniki — miejsce kamizelek. Po kościołach rozlegały się nieznanne przedtem śpiewy, w których brał udział cały lud w nich zebrany, przy dźwiękach organów, wytwarzając wzniosły nastrój powszechny.

Nadzieje, jakie społeczeństwo polskie pokładało w szlachetności cesarza Aleksandra II, zmrożone słowami monarchy: „point de réveries,“ wytworzyło tu w umysłach jednych jakby żal do niego za doznany zawód; w innych — chęć zdobycia siłą tego, co nie może być otrzymane drogą ustępstw legalnych. Stan rzeczy bowiem w Królestwie Polskiem, od r. 1831 począwszy, istniał nielegalny; nietylko zniesioną została konstytucya, nadana krajowi przy wcieleniu do państwa rosyjskiego, ale nawet i „Statut organiczny,“ który jej miejsce miał zastąpić przez cały przeciąg czasu lat 30, jakie od rewolucyi 1830 r. upłynęły, nie wszedł w wykonanie. Domaganie się przeto pewnych ustępstw było oparte na prawach zasadniczych, w teorii nawet przez rząd rosyjski nie kwestyonowanych, lecz jedynie faktycznie nie wprowadzonych w życie.



Nic dziwnego, że świeże powodzenie oręża, podniesionego w imię zjednoczenia Włoch, podobnie jak Polska, rozdzielonych na części, ożywić musiało pragnienie i nadzieje społeczeństwa polskiego. Małe kółka patryotów rozszerzały się coraz silniej i niebawem objęły szerokie warstwy społeczeństwa polskiego. Kółka te poczęły się organizować w stronnictwa i skupiły się w dwóch wybitnych typach: „białych,” do którego należało całe niemal ziemiaństwo, oraz wytrawniejsi z pośród dojrzałych wiekiem jednostek inteligencji miejskiej—i „czerwonych,” które tworzyła młodzież uniwersytecka, urzędnicza, miejska, rzemieślnicza, młodzież szlachecka wreszcie i oficjaliści prywatni. Pierwsza pragnęła wyjednać lepsze dla kraju warunki istnienia drogą legalną; druga pragnęła je wywalczyć bronią. Autorytetem dla pierwszej był hr. Andrzej Zamoyski, dla drugiej—Ludwik Mierosławski. Teorye tego ostatniego i groźby jego pod adresem szlachty, respective ziemiaństwa, stawiały te dwa obozy na przeciwnych krańcach, nie mówiąc już o metodzie działania, która je wybitnie różniła. To było przyczyną pewnego rozdzwisku między młodzieżą, zwłaszcza kijowską, gdzie kult Mierosławskiego panował wszechładnie, a ich ojcami, którzy byli wpatrzeni w hr. Andrzeja. Ze jednak ojcowie nie zapomnieli, iż będąc młodymi, śpieszyli do szeregów, więc to rwanie się synów do czynu traktowali pobłaźliwie, w sposobie rad i ostrzeżeń jedynie.

W owym jednak czasie nie uważano ruchu zbrojnego za rzecz blizką, nawet w pośród czerwonych. I w tym obozie znalazły się umysły, liczące się z warunkami życia, które widziały, że powstanie zbrojne nie dojrzało. Nietylko bowiem brakło niezbędnej dla tego broni (władze odebrały broń palną prawie wszystkim mieszkańcom), ale brakło nawet i ludzi. Poza inteligencją i mieszczaństwem nie można było liczyć na zapełnienie szeregów, gdyż lud wiejski, w całej swej masie, zachowywał się biernie, niekiedy nawet podejrzliwie. Nie uświadomiony politycznie, nie biorący nigdy udziału w życiu politycznym, niepiśmienny zupełnie, a przeważnie i nieczytelny, nie znający ani dziejów narodowych, które dla niego były obce, zarówno z powodu jego ciemnoty, jak i z powodu braku tradycyi ustnej w jego otoczeniu, bynajmniej nie rozumiał o co idzie; to bowiem, co się dokoła niego działo, nie rozwiązywało zadania, czy sól stanieje? a to przecież zdawało się stanowić najgłówniejszą jego troskę życiową. Brak poczucia narodowego był u niego tak wielki, że przez miano „Polaka” rozumiał synonim „ślachcica”; on zaś do polskości się nie przyznawał. Był „chłopem i tyła!” W czasie powstania

jeszcze odróżniał walczących nazwą: „polskie moskole“ i „ruskie moskole“, pierwszym mianem nazywając powstańców, drugim wojska rosyjskie.

Wiedziano przecież, że żaden ruch zbrojny nie może mieć powodzenia, o ile lud wiejski nie weźmie w niem udziału. W tym celu rozpoczęła się propaganda—powiedzmy prawdę—mało pożyteczna. Młodzież ze sfer inteligentnych w usiłowaniach swych propagatorskich spotykała się z niedowierzaniem. Nawet przebieganie się w sukmany nie odnosiło skutku. Pod sukmaną chłopci poznali człowieka z innej sfery; i jeżeli mówił im o sprawie narodowej, widzieli w nim agenta panów, bo panów tylko sprawa ta obchodzić może; jeżeli zaś robił im jakieś obietnice zniesienia pańszczyzny — na wypadek urzeczywistnienia się pragnień narodowych — widzieli w nim awanturnika, który obiecuje gruszki na wierzbie—i jeszcze do tego na cudzej wierzbie.

Rzucono się przytem do uczenia dziatwy wiejskiej czytania i pisania. Szczególną pilność w tem okazało młode pokolenie, a przedewszystkiem panienki—córki i kuzynki właścicieli i dzierżawców majątków ziemskich. Do niedawna, od czasu gdy nie stało dworu Czartoryskich, prawie nie pomyślano tu o tem. Dwór w Woli Gałęzowskiej (już w powiecie lubelskim) stanowił bodaj, że jedyny wyjątek, gdzie właścicielka <sup>1)</sup> starała się o oświatę ludu. Ogół ziemiański zapatrywał się na taką naukę niechętnie. „Będę go uczył pisać, żeby potem pisał na mnie skargi!“—odpowiadano zwykle, gdy ktoś podniósł sprawę oświaty ludowej.

Nagły ten przecież zwrot w pojęciach i bezinteresowna praca dworów spotykała się zwykle z obojętnością ludu; dzieci trzeba było zwabiać do książki podarunkami; starsi widzieli w nauce doraźną stratę dla siebie, bo nauka odrywała im dziatwę od pasienia gęsi, czy pasienia bydła, a przeto ci starsi swoim czasem nadkładać musieli, ażeby zająć opuszczone przez dziatwę stanowisko w gospodarstwie.

Pomimo te wszystkie objawy ludzono się przecież, że propaganda nie tą, to inną drogą, przyniesie pożądane owoce. Nie pomijano też żadnej sposobności, ażeby lud dostroić odpowiednio do wymagań chwili. Trzeba się było zbliżyć do niego.

Nadarzała się ku temu sposobność przy stawianiu po wsiach figur (krzyżów) na pamiątkę poległych na ulicach Warszawy.

<sup>1)</sup> Inicytorką tą była pani Zofia Przewłocka (z Koźmianów) matka znanej autorki—Zofii Kowerskiej.



Krzyże te odmiennego od zwykłych figur stylu, okrągłe, z sękami, z zawieszoną na skrzyżowaniu ramion cierniową koroną,<sup>1)</sup> tu i owdzie dotąd przetrwały i po ich postaci rozpoznać je można. Na ich poświęcenie szły procesyje z chorągwiami wziętymi z bliższych kościołów, zbierała się ludność sąsiedniego miasteczka, właściciele sąsiednich majątków, ich oficjaliści i lud okoliczny. Dwór miejscowy podejmował całą tę kompanię, gdzie za stołem siedzący współbiednicy mieli pole do rzucenia tu i owdzie jakiegoś słowa, któreby nie pozostało bez wpływu.

Ale tego wpływu nie było w istocie. Nie podobna nawet żądać, ażeby w ciągu kilku czy kilkunastu miesięcy wpoić uczucia obywatelskie tam, gdzie grunt nie był jeszcze dostatecznie przygotowany; gdzie lud, nie stykając się dotąd nigdzie ze sferami, przeciw którym zwracała się inteligencja kraju, nie rozumiał nawet, o co „panom“ idzie; że jeżeli mógł mieć jakieś pretensje do władzy, to właśnie do panów jedynie, bo ci właśnie, jako przedstawiciele tej władzy, byli bezpośrednimi jego zwierzchnikami w postaci wójtów gmin i jedyną dla niego władzą widzialną; oni nadto, jako właściciele czy dzierżawcy dóbr ziemskich, ciążyli nad nim ekonomicznie, z tytułu praw własności gruntu, z którego on odrabiał pańszczyznę. To była najbliższa jego bolączka, jeżeli wogóle o polepszeniu warunków bytu swego pomyślał. Być może jednak, że ta propaganda dopiero rozbudziła w nim te myśli, o tyle jednak tylko, że pragnął uwolnić się od zależności dworu i od pańszczyzny, skądkolwiek oswobodzenie to przyjdzie; że w wyjątkowych (zastrzedz to trzeba) wypadkach okazał się względem powstania nawet nieprzyjaznym; ale naogół zachował się najzupełniej biernie. „Niech Pan Bóg pomaga tym, co chcą dobrze!“—stereotypowe słowa, wypowiedane przez lud w ciągu całego przebiegu „demonstracyi“ patriotycznych, a później w czasie zbrojnego ruchu.

Ponieważ w ciągu lat 50, jakie nas dzielą od czasów, o których opowiadam, stosunki krajowe uległy wielkiej zmianie, może nie będzie zbytecznem powiedzieć słów kilka o tych dawniejszych stosunkach.

Królestwo Polskie, którego granice określił Kongres wiedeński, skutkiem czego krajowi temu nadawano w mowie potocznej nazwę „Kongresówki“, jakkolwiek po r. 1831 utraciło zawarowaną

---

<sup>1)</sup> Cierniowe korony po stłumieniu powstania usunięte były z krzyżów, wskutek rozporządzenia władz.

Kongresem autonomię i wojsko, stanowiło przecież odrębną całość, odrębną jednostkę administracyjną państwa rosyjskiego. Oprócz namiestnika i wyższych dygnitarzy, Rosyan lub Niemców, cały skład urzędniczy, nie wyłączając gubernatorów, z nielicznymi wyjątkami, tworzyli Polacy. Język polski był językiem urzędowym wszystkich władz bez wyjątku, a dla korespondencyi z władzami centralnymi w Petersburgu istnieli urzędnicy-tłómacze. Oddzielne departamenty Senatu, zasiadające w Warszawie, rozstrzygały wszelkie spory mieszkańców w najwyższej instancji. W zakładach naukowych rządowych językiem wykładowym był język polski, z obowiązkową znajomością języka rosyjskiego i obowiązującym kursem geografii i historii w języku rosyjskim.

Pod względem administracyjnym, Królestwo Polskie od roku 1844 podzielono na 5 gubernii. Nasza ówczesna gubernia lubelska obejmowała dwie dzisiejsze, t. j. lubelską i siedlecką, z rezydencją gubernatora w Lublinie. Oprócz gubernatora cywilnego, którym w r. 1861 był Stanisław Mackiewicz, Litwin, wyznania kalwińskiego, był jeszcze oddzielny gubernator wojenny, Rosyanin, który w administracji krajowej udziału nie brał. Nad prawomyślnością polityczną czuwali żandarmi, w których liczbie byli i Polacy.

Pomimo tej odrębności, wpływy rosyjskie oddziaływały nie tylko na bieg spraw krajowych, co było do przewidzenia przy zwierzchnictwie naczelnem dygnitarzy, nasyłanych z Petersburga, ale także na umysłowość i rozwój zarówno cywilizacyjny, jak i ekonomiczny kraju. Reakcja, jaka zapanowała w Rosyi za rządów cesarza Mikołaja I, ogarnęła zarówno i Królestwo; nowe zaś prądy, jakie zaczęły się ukazywać w stolicy państwa, nie zdążyły jeszcze promieniować nad Wisłą. Stosunki panowały tu istotnie średniowieczne. Przywilej urodzenia pozwalał korzystać ze szkół gimnazjalnych, gdy dla innych pozostawały tylko szkoły realne; przywilej majątkowy pozwalał posiadać nie tylko ziemię, ale i poddanych—włościan pańszczyznianych, a przy powszechnem jednoczeniu urzędu wójta gminy—najniższej władzy administracyjno-sądowej—z prawem własności dóbr ziemskich, właściciel majątku stawał się niemal nieograniczonym panem wszystkich mieszkańców swej wioski. Przy dawnych stosunkach patryarchalnych, kiedy wsie pozostawały w ręku jednej rodziny przez kilka pokoleń, kiedy dziatwa wiejska rosła i wychowywała się razem z dworską i znała się od dziecka, stosunki były znośne; w tych czasach jednak zaczął się ruch handlowania majątkami. Nowy przybysz, nie związany niczem z włością, szukał najczęściej własnych korzyści tylko. Dobrze, jeżeli był to człowiek dobry, humanitarny i cy-



wilizowany. Ale nie zawsze tak było. Zdarzało się, że zbogacony nagle, trafem jakimś dla niego szczęśliwym, t. zw. „dorobkiewicz,” nabywał majątek, a wtedy stawał się plagą dla poddanych, co dało początek przysłowiu ludowemu:

Niemasz gorszego tyrana,  
Jak kiedy Pan Bóg z chłopą zrobi pana.

Nie lepsi byli oficjaliści wiejscy, rekrutujący się przeważnie z drobnego mieszczaństwa i zagonowej szlachty, jakiej dostarczało głównie Podlasie. Przy tych stosunkach trudno było oczekiwać, ażeby aspiracye polityczne dworów znalazły oddźwięk wśród ludu wiejskiego.

W naszej okolicy, w t. zw. okręgu kazimierskim (a nazwa ta pochodziła stąd, że w Kazimierzu mieścił się sąd pokoju i sąd policyi prostej okręgu, obejmującego mniej więcej dzisiejszy powiat puławski) przeważały od dawnych czasów wielkie dobra pańskie, przedzielone od siebie zaściankami szlacheckimi, niby buforami. Z tej drobnej szlachty rekrutowali się niegdyś dworzanie panów okolicznych, przez co znów panowie kaptowali sobie głosy wyborcze ich ojców-emerytów lub ich rodzin. Dawne królewszczyzny powiększyły dobra puławskie do 3,000 włók, dobra opolskie przenosiły 1,000 włók, pomniejsze, jak: Kurów, Markuszów, Nałęczów, Godów — liczyły przestrzenie swe na setki włók. Wszystko to potrzebowało licznych adherentów, wielu oficyalistów i urzędników gospodarczych; dawało też egzystencję drobnej szlachcie okolicznej, której dziedziny nie przechodziły często rozmiarem osad włościańskich, siedzących na włoce lub półwłoce.

Po roku 1831, po konfiskacie ks. Czartoryskiemu dóbr puławskich, po zniesieniu sejmów i sejmików, potrzeba usług tej drobnej szlachty zmalała; samodzielnie z dziedzictw swoich utrzymać się ona nie mogła; wyprzedawała się więc, szukając chleba gdzieś dalej. Wypędzała ją z siedzib jeszcze trudność robotnika, którego, dla braku własnych poddanych, musiała sprowadzać z dalszych stron i przepłacać, co nie pozwoliło jej wytrzymać współzawodnictwa z sąsiednimi majątkami, posiadającymi musową robotę w pańszczyźnie. Na opuszczone dziedziny znajdował się zwykle chętny kupiec ze strony najbliższego dworu, lub któryś z zamożniejszych sąsiadów, którego stać było rozszerzyć posiadłość, niekiedy tylko po to, ażeby na nabytym gruncie osadzić pańszczyźnianego chłopą. Były istotnie wypadki, że ubogi szlachcic, sprze-

dawszy grunt, pozostawał na nim i dalej, z obowiązkiem odrabiania zeń pańszczyzny na równi z innymi włościanami. W dawnych wsiach drobno-szlacheckich (jak Kraczwice, Niezabytów, Łubki), co do których zachowały się rejestry podatkowe z początku XVII stulecia z notatką: „nullus emetho,“ było już teraz więcej kmieci, niż szlachty; na dawnych zaś dziedzinach drobno-szlacheckich powstawały dobra o kilku dziesiątkach włók obszaru. Cały szereg wsi, dawnych zaścianków, stracił swój poprzedni charakter, gdy nad dworkami szlacheckimi dominował większy dwór i należące doń budowle gospodarskie, a jednocześnie mieszały się z niemi chaty włościańskie. Zubożała ta szlachta, w życiu domowem mało różniąca się od chłopca, zachowała przecież cenne tradycje i wielkie aspiracye, które ją stanowczo od tamtego wyróżniały. W ostatniem 30-leciu przed wypadkami, mając zamkniętą drogę do „trzymania się klamki pańskiej,“ zasilala szeregi duchowieństwa, pedagogów i urzędników, wydając nierzadko ludzi wielkich zasług, choć może mniej ogółowi znanych. Z drugiej strony, ta jej część, która pozostawała na zagonie, mało oświecona, mało krytyczna, ale z gorącym sercem i poczuciem patriotycznym, stanowiła gotowy materiał do wybuchu tych uczuć na pierwsze wezwanie, nie pytając, skąd ono wychodzi.

Okręg kazimierski, stanowiący w r. 1861 część powiatu lubelskiego, ciągnął się kilka mil wzdłuż Wisły od Józefowa do ujścia Wieprza, na 3—3½ mili szerokim pasem. Pokrywały go przeważnie lasy, wśród których leżały, niby obszerne polany, wsie odosobnione i ich pola orne. Stanawszy na wsi i rzuciwszy okiem dokoła, widziało się na wszystkie strony jeden wieniec nieprzerwany lasów, gdzie gnieździły się wilki, robiące nietylko szkodę w dobytku, ale niebezpieczne i dla ludzi. W r. 1860 były one tak zuchwałe, że nawet wśród lata zachodziły w biały dzień do wsi i porywały dzieci. Taki wypadek zdarzył się na kolonii Kocyanów, pod Niezabitowem. Była to wioska mała o 3 czy 4 chałupach, pod samym lasem sąsiednich Łubek. Na ulicy tej wioski, przed izbą, bawiło się troje dzieci; najstarsza 10-letnia dziewczyna trzymała najmłodsze na rękę, średni 5—6 letni chłopiec bawił się obok. Wilk, którego dzieci miały za psa obcego, odpędzony prętem przez dziewczynę, porwał chłopca i uniósł. Dziewczyna narobiła krzyku, pobiegli w las ludzie, ale gdy ślad znaleźli, ślad, który wskazywały strzępy odzienia chłopca na krzakach, zastali już tylko niedogryzione szczątki. Przed niewiele laty pokazywał mi stary chłop z Kruszcowa (wieś pod Nałęczowem) miejsce, skąd w tymże czasie, w jego oczach, wilk porwał



chlópaka, pasącego bydło. I tu również tylko szczątki dziecka odnaleźli. Powstała z tego powodu cała legenda o „wilkołakach,” ludziach, przemienionych w „zwirza,” t. j. w wilka, który śmiałością przewyższa wilki zwyczajne; twierdzono też, że gdy wilk raz zakosztuje ludzkiego mięsa, już odtąd ciągle go łaknie. Robione obławy na wilki nie odniosły skutku. Ow „wilkołak” przecież, jak nagle się zjawił, tak i nagle zniknął. Może gdzieś w dalszej jakiej wędrowce padł od kuli.

Pierwsze okno w wieńcu, otaczającym naszą wioskę dokoła, wycięto pod koniec pierwszej połowy minionego stulecia, gdy nabywca starostwa wąwolnickiego (z dóbr poksiążęcych), p. Ignacy Wessel, po wyrąbaniu części lasów, świeżo nabytych z dobrami, założył na pozostałych wycinkach nową wieś, na prawie czynszowem, którą od imienia swej żony nazwał Zofianką. Wieś ta, dla odróżnienia od wsi dawnych, nosiła tytuł kolonii, a osiedli tu włościanie czynszowi, dla odróżnienia się od włościan pańszczyznianych, tytułowali się „kolonistami.” Ponieważ przybyli tu z nad Wieprza i ubiór swój dawny zachowali, wyróżniali się też wśród ludu miejscowego i ubiorem, co szczególnie uderzało w oczy w kościele, przy więcej uroczystym ich stroju, a jak u kobiet — wysokiem upięciem chustek na głowie i pelerynkami na stanikach.

Drugie takie okno w wieńcu leśnym powstało przez założenie przez ojca mego kolonii Obliźniak czyli Zagaje, tak nazwanych od miejscowości, na której wieś ta powstała. Kontrakt wsi tej wzorował się na kontrakcie Zofianki. Koloniści wnosili małe wkupne, lat parę mieli pozostawionych na pobudowanie się oraz na karczunek pola i na czas ten wolni byli od opłat, a następnie opłacać mieli „wieczyście” po złotych polskich pięć z morga pola. Obowiązani byli nadto przyjść z pomocą dworowi w czasie sianokosów i żniwa, po 3 dni z osady 15-morgowej. Natomiast opał z lasów dworskich i wolne pastwisko na gruntach i lasach dworskich mieli bezpłatnie; również bezpłatnie otrzymywali materiały drzewny na reparację budowli, ogrodzeń, studzien i t. p. Przy tych dogodnych warunkach koloniści dochodzili do zamożności. Reforma 1864 roku kontrakta te unieważniła, skapitalizowawszy czynsz, wypłaciła właścicielom gruntów dzierżawionych należność za grunta, a przywilej otrzymywania drzewa, opału i pastwiska zamieniła w prawo służebności, od którego trzeba się było później dopiero wykupywać. Cena wykupna wynosiła w obu tych majątkach sąsiedzkich po 2 morgi dobrego lasu i po 2 morgi pola lub wycinki po lesie na każdą zagrodę.

Zmiany we własności ziemskiej, jakkolwiek odbywały się od czasu do czasu, należały jeszcze do zjawisk rzadkich. Pod koniec szóstego dziesięciolecia minionego wieku, ruch w handlu ziemią w naszej okolicy wzrósł nagle. Nabywca sąsiedniej Kowali, dużego, parusetwórkowego majątku, mającego opinię „dużej kobyły, ale chudej,” rozpoczął od wycięcia lasów po jednej i drugiej stronie wsi, a dokonawszy tego, w lat parę odprzedał innemu. Zmieniły również właściciele majątki: Kraczewice, Wronów, Wolica. Opolszczyzna od lat kilkunastu przeszła w rękę ostatniej z gałęzi opolskich Lubomirskich, p. Rozalii Rzewuskiej, w ręce energicznego i rządowego człowieka, Wydrychiewicza, który, zajmując przodujące stanowisko w całej okolicy pod względem majątku, nie mógł, jako najzubożniejszy „homo novus,” wytworzyć ośrodka życia towarzyskiego, a tem mniej wziąć na siebie przodownictwo w sprawach większej wagi. Stan ziemiański, w którym bądź co bądź skupiała się inteligencya i zamożność okolicy, był bez przewodnika, bez powagi, któraby nadawała pewien kierunek czynnościom i pracom obywatelskim.

Brak ten dawał się też odczuwać na każdym kroku i sprowadzał smutne nieraz następstwa. Oto przykład:

Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskiem (piszę je tu całym tytułem, jakie nosiło) na jednym z ostatnich posiedzeń uchwaliło zniesienie pańszczyzny. Jakkolwiek chłop niepiśmienny, gazet nie czytywał, wieść ta rozeszła się po kraju, a szczególnie na Powiślu, które w ciągłej było z Warszawą styczności, z powodu flisaków, spławiających produkta miejscowe do Warszawy. Tu przyjęta była przez lud jako fakt dokonany, jako postanowienie obowiązujące. Po rozwiązaniu jednak Towarzystwa Rolniczego, niektórzy jego członkowie uczuli się zwolnieni od danego współbradującym zobowiązania i wymagali dalszej pańszczyzny. Ogół włościan, mniej uświadomionych w tej sprawie, nie oponował, oczekując, aż przyjdzie czas na to; ale Powiśle opolskie dalszej pańszczyzny odmówiło. Zaczęły się przymusowe jej egzekucye, które wywołały zatargi, jakich zmysł polityczny nakazywał unikać. To właśnie zdarzyło się w dobrach opolskich i to tłumaczy w części te nieprzyjemności, jakich we dwa lata później doświadczył właściciel Opoła od władz powstańczych. Można się domysleć, że jeszcze przed powstaniem zgryźć musiał niejedną gorzką pigułkę od stronnictwa ruchu, choćby w postaci listów i odezw. Jedną taką w cichą noc, potajemnie przed ojcem, sam konno zawiozłem.



Można powiedzieć, że przez całe lato 1861 roku panowało w kraju bezkrólewie—pogodne, jasne, ale bądź co bądź bezkrólewie, które trzymała w ryzie jedynie opinia publiczna, potężna i despotyczna, groźniejsza od policji i żandarmów. Od niewidomego i niewiadomego środowiska wychodziły rozkazy i zlecenia, których spełnienia podejmował się każdy, na ochotnika, nie sprawdzając, skąd one wyszły; wystarczyło, ażeby je wypowiedział ktoś, do kogo dany osobnik miał zaufanie. Niespełnienia takiego zlecenia lekceważyć nie było można. Ot, na przykład: Jeden z kolegów moich kijowskich poleca mi wyszukać kogo z obywatelstwa mojej okolicy, któryby się zajął zbieraniem składki na potrzeby narodowe. Spełniając to zlecenie, zwróciłem się do jednego z sąsiadów ojca, poważanego i cenionego właściciela pięknie zagospodarowanego majątku, pana S., któremu każdy z całą ufnością pieniądze mógłby powierzyć. Ten jednakże wymówił się tem, że „my mamy swoją kasę,“ że tem samem rzecz załatwiona, acz na innej drodze, a zbierania składki, z polecenia nie znanych mu bliżej ludzi, odmawia. Tę odpowiedź udzieliłem koledze. W jakiś czas potem jeden z księży okolicznych zapytuje mnie o szczegóły „zajścia“ z panem S. Opowiadam, że zajścia nie było, bo rozmowa odbyła się w najuprzejmiejszej formie, z czego pan S. był zresztą powszechnie znany, a tylko zakończyła się odmową. „A to dobrze, bo ja inaczej miałem tę rzecz przedstawioną—ksiądz na to. Widocznie więc ktoś z partyi zamierzał ukuć broń przeciw panu S., należącemu do innego obozu, o czem w prostocie ducha nie wiedziałem, sądząc, że wszyscy jednej sprawie służymy, że wszyscy jedne mamy dążenia; i gdyby nie dobre formy rozmowy, odmowa ta naraziłaby mego interlokutora niewątpliwie na bardzo niemiłe następstwa.

Ta indagacya księdza dowodzi przytem silnie rozwiniętej i solidarnej organizacyi partyi ruchu, i rygoru, jaki ona stopniowo wprowadzała, użytkując w tym celu ludzi wpływowych.

Obok wpływania w kierunku rozbudzenia ducha śmiałości i odwagi, rozchodziły się po kraju Bóg wie przez kogo puszczone plotki, które ponieważ nie mogły być sprawdzone, a tem samem obalone, powtarzano sobie jako najprawdziwszą prawdę. Za przykład niech posłuży plotka puszczone w obieg z powodu ostatniej bytności cesarza Aleksandra II w Puławach.

W Puławach, dawnej rezydencyi ksiąząt Czartoryskich, utworzono w r. 1843 zakład naukowy dla pańien z rodzin szlacheckich, pragnąc je wychować w duchu lojalnym, o co za rządów cesarza Mikołaja I przedewszystkiem chodziło. Zakład ten, noszący tytuł

„Instytut wychowania panien,” otaczany był wyjątkową pieczą panujących, którzy za bytnością w Warszawie, odwiedzali zwykle Puławy. Otóż z powodu ostatnich odwiedzin puszczone w kurs opowieść, że przełożona Instytutu, pragnąc przyjąć gościa obyczajem wschodnim, uczyniła jednej z wyróżniających się urodą panien propozycję, uwłaczającą czci niewieściej; a gdy ta propozycję odrzuciła, dała jej policzek. Dla upozorowania wiarogodności opowiadania, wymieniono ową pannę po imieniu i nazwisku. Plotka, powtarzana w sekrecie, przechodziła z ust do ust, wywołując powszechne oburzenie.

Wybadywać o to zajście było na razie niepodobna. Wkrótce następujące po sobie wypadki zaabsorbowały unyły wszystkich i zwróciły je gdzieindziej. Zarzut jednak tej doniosłości nie powinien, jak sądzę, pozostać nie wyjaśnionym,—i dlatego po latach wielu chciałem się do badać, ile w nim było prawdy.

Zadanie ułatwiła mi okoliczność, że osobę, która jakoby była bohaterką owego zajścia, znałem od lat dziecińczych, kiedy jako dzieci najbliższych sąsiadów, bawiliśmy się wspólnie. W sposób, omijający drażliwe kwestye, prosiłem o wiadomości o Instytucie. Ponieważ zaś mało kto wie dziś o nim, pozwolę sobie zatrzymać się nad nim nieco dłużej i powtórzyć informację, jakie o tym zakładzie naukowym z tego najpewniejszego źródła otrzymałem.

Puławski Instytut wychowania panien (założony 1843, zamknięty 1861) miał 6 klas. Wykład wszystkich przedmiotów był w języku polskim, z wyjątkiem języka rosyjskiego, literatury, geografii i historii Rosyi, które wykładano w języku rosyjskim. Przełożoną Instytutu była pani Groten, Rosyanka wyznania prawosławnego. Obok przełożonej były 2 inspektorki (Polka i Szwajcarka), 12 dam klasowych (1 Polka, 1 Rosyanka, reszta Francuzki lub Niemki) i kilkunastu profesorów. „Przełożona była najlepszą, najtroskliwszą opiekunką i baczna na wszelkie niewłaściwe kroki.” Gdy zdarzył się wypadek, że jedna z panienek odebrała od kuzyna list zbyt erotyczny, pani Groten napisała niezwłocznie list do rodziców panny, że panienka (17-letnia wtedy), mając narzeczonego, winna wyjść z pensyi, zażądała, ażeby ją rodzice zabrali i w ciągu miesiąca wydalili. Inna, która lubiła wysiadywać w oknie, naprzeciw okna, gdzie syn jednego z profesorów prześiadywał, była surowo ukarana. Za pamięci opowiadającej, cesarz Aleksander II był dwa razy w Puławach: raz z żoną i raz sam tylko. Gdy był z żoną, do stołu cesarskiego zaproszonych było 5 panien, w tej liczbie i opowiadająca. Cesarstwo wypytywali każdą, jak się nazywa i obdarzyli uprzejmem słówkiem. Jednej



z nich, urodzonej z księżniczki rosyjskiej (ale nie z domu cesarskiego), cesarz sam nalewał wodę do szklanki. Wobec cesarza panienki stawały całą grupą; gdy cesarstwo chodzili po parku i przełożona im towarzyszyła, a w pewnym odstępnie za nimi szedł pensjonat, cesarz zaproponował wyścigi: która wejdzie najszybciej na górę pałacową. Zarówno w czasie przyjazdu, jak i przy odjeździe, jedna z uczenic klas wyższych podawała cesarstwu bukiet, — a kiedy przy odjeździe cesarza jedna z Rosyank, panna Lewszyn, prosiła go o pozostawienie jej rękawiczki na pamiętkę, okazał niezadowolenie i odmówił. „Wszelkie kursujące plotki o Instytucie są bezpodstawne“—dodała w końcu.

I wierzyć można, że mówiła prawdę. Wszak plotka owa nie tylko jej nie uwłaczała, ale raczej podnosiła ją w oczach wszystkich, nie miała więc celu ukrywania prawdy, gdyby tak było, jak opowiadano. Potwierdza jej zdanie o przełożonej pozycje kilka znanych lublinianom wychowanek Instytutu. Wszystkie one usprawiedliwiają tę samą opinię o przełożonej, którą zachowały we wdzięcznej pamięci.

„Ducha rosyjskiego, pomimo narodowości przełożonej, tu nie było.“ Kiedy zdarzył się wypadek, że Rosyanka żartowała z katoliczki, że ma papieża za Boga, a ta odpowiedziała, że Rosyanie mają cesarza za Boga, co wywołało skargę Rosyanki na Polkę—skargę tę zatuszowano; z 34 panien, znajdujących się w klasie, tylko jedna z Polek wyszła za prawosławnego. Wreszcie córka p. Groten wyszła za męża za Polaka.

Przyzwoitość wielka ściśle była tu przestrzegana. Zabawy tańczące, w każdą galówkę i w dzień imienin przełożonej, odbywały się bez udziału mężczyzn, a panienki tańczyły tylko ze sobą. Z mężczyzn bywali tylko dwaj profesorowie; nigdy żadni oficerowie, ani obcy mężczyźni na balach nie bywali; co więcej, wszyscy profesorowie byli „obowiązkowo“ żonaci, prócz jednego, p. Nepila, Czecha, muzyka, niezwykle szpetnego, który był kawalerem.

Ujemną stroną tego pensjonatu było złe i niedostateczne żywienie.

Dokończę tego obrazu powtórzeniem opowiadania o nagrodach i karach, jakimi obdzielano wychowanki Instytutu.

Nagrody było 3 stopni:

1) Najwyższa—złota cyfra cesarska, t. j. litera A, około 2 cali wysokości (umieszczona w pudełku na jedwabnym podłożu).

2) Medale.

3) Książki.

Niezależnie od tego za kwartalne sprawowanie celujące przypinano czerwoną kokardę.

Kary były następujące: najmniejsza—siedzenie na oddzielnej ławce, wyższa kara — było zdjęcie fartuszka, a najwyższą — była zmiana zwykłej pelerynki białej na pstrokatą.

Taki obraz Instytutu odwzorowała mi jedna z wychowanek jego, po latach 40 po jego opuszczeniu. Ponieważ odbierały w nim wychowanie moje rówieśnice, a w chwili, do której odnosi się to opowiadanie, sprawy Instytutu poruszyły powszechną opinię—mniemam przeto, że nie nadużyłem ram opowiadania, wplotłszy do nich te wiadomości. Może będą one jedynym echem tego zakładu naukowego, w którym kształciło się pokolenie ówczesne.

Pomimo upłynionych wakacyi letnich, zakładów naukowych w całym Królestwie z nastaniem nowego roku szkolnego nie otwierano. Niektóre, jak np. Szkołę sztuk pięknych w Warszawie, Instytut rolniczy w Marymoncie i Instytut wychowania pań w Puławach, zupełnie zwinięto. Utrzymały się jedynie wykłady w utworzonej przed 3 laty Akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie. Młodzież szkolna wahała się, nie wiedząc co robić ze sobą. Nie mogło to oddziaływać dodatnio na uspokojenie umysłów. Pod jesień dopiero rozeszła się wieść o tworzeniu kursów naukowych dla starszej młodzieży. Wieść tę przyjęto w całym kraju z uznaniem i kto z młodzieży mógł tylko, spieszył do Warszawy, ażeby się zapisać do tej uczelni.

W liczbie innych znaleźliśmy się tam wszyscy kijowiacy, którzy Kijów na wakacje opuścili.

Do Warszawy przybyłem w pierwszych dniach października. Odnalazłem szybko dawnego kolegę szkolnego, Stasia Żukowskiego, słuchacza Szkoły sztuk pięknych na wydziale architektonicznym i parę dni, zanim wyszukałem sobie mieszkanie, korzystałem z jego koleżeńskiejszej gościnności. W parę dni później, spotkawszy się z dawnym „szlafkamratem“, Geniem Dziewulskim, wyszukaliśmy wspólne mieszkanie na ulicy Chmielnej, na Smolikowszczyźnie.

Zanim jednak nastąpił zapis i otwarcie kursów przygotowawczych, w oczekiwaniu na nie, rozglądaliśmy się po mieście i wsłuchiwali się w tętno życia stolicy. Trafiliśmy na pogrzeb arcybiskupa Fijałkowskiego. Pompa, z jaką pogrzeb się odbył, zaimponowała nam niesłychanie, tem więcej, żeśmy nic podobnego dotąd w życiu nie oglądali. Te tłumy karne i ciche, te wspaniałe emblematy, ta straż obywatelska porządku publicznego, której żałobna przepaska na rękę wystarczała do nakazania bezwarunkowego posłuszeństwa każdemu przechodniowi — wprowadzały



w zdumienie. A przytem żadnych mundurów, szabli i koni, któremi zwykle trzyma się w porządku wielkie zbiegowiska.

Niedługo jednak trwała ta idylla. Gdy w parę dni później odbywały się nabożeństwa żałobne za Kościuszkę—policya i wojsko otoczyły kościoły i aresztowały wychodzących. W niektórych kościołach, ostrzeżeni zawczasu, nie wychodzili wcale z kościołów, oblężeni do nocy. Nas kilku ocalało od aresztowań dzięki temu, że znajdowaliśmy się w kościele Św. Krzyża, skąd po zajęciu frontu jego przez policyę, wymknęliśmy się wszyscy cichaczem bocznymi drzwiami i przez podwórze wyszliśmy na ulicę Święto-Krzyską. Gdy policya weszła do kościoła, nie zastała nikogo. Odpokutował za to komisarz cyrkułowy, Dzierżanowski, skazany za to „w sołdaty.“ Ostrzyżono go i jak rekruta zaliczono do armii. Po kilku może tygodniach uzyskał przebaczenie i powrócił na dawne stanowisko; ale czas jakiś jeszcze, zanim mu włosy odrosły, wyglądała z pod gałowego pieroga komisarzkiego ostrzyżona do skóry głowa rekrucka.

Tegoż dnia wypuszczono na miasto patrole kozackie, które rozpędzały przechodniów. Wśród obitych był i senator Nowicki, który nie zdążył na czas schronić się do bramy przed pędzącym prosto nań patrolem. Cudem jakimś, chodząc dużo tego dnia po mieście obaj z Dziewulskim, nie oberwaliśmy nic, może dlatego, że szliśmy śmiało, przechodząc nieraz w poprzek ulice, poprzód frontem patrolów.

Wraz z chmurami jesiennymi, jakie roztoczyły swe skrzydła nad naszą krainą, zawisła nad nią ciężka atmosfera stanów wojennych, ze wszelkimi ich udręczeniami.

HENRYK WIERCIEŃSKI.

# Z aktów sławnej przyjaźni

(KORRESPONDENCYA KRASIŃSKIEGO Z AUGUSTEM CIESZKOWSKIM).

---

## I.

Setna rocznica urodzin Zygmunta Krasińskiego zapisze się w dziejach naszego piśmiennictwa pomnikiem nieporównanej wartości. W roku tego jubileuszu wyjść mają z druku w dwóch tomach listy poety do Augusta Cieszkowskiego. Wydanie dalszego ciągu nieznaney dotąd korespondencyi jego—listów do ojca, a przede wszystkim do Delfiny Potockiej nastąpić ma bez dalszej zwłoki. Wypadek to dla naszej literatury pierwszorzędnej wagi. Bo dopiero w świetle tych publikacyi duchowa sylweta twórcy „Irydiona“ i „Przedświtu“ odsłoni się przed nami w całości. Zdarza się chyba rzadko, by z pośmiertnego wydawnictwa listów, na postać już i tak znaną i wielką spłynęło jeszcze tyle nowego światła. Ale też ktokolwiek dokładniej pozna korespondencyę Zygmunta Krasińskiego, odniesie niewątpliwie wrażenie, że w porównaniu z nawałem uczuć, myśli i spostrzeżeń, które trawiły i zajmowały go nieustannie, ogłosił on w formie wykończonych utworów stosunkowo niewiele. Przy większej równowadze moralnej, przy lepszem fizycznym zdrowiu pisma Krasińskiego byłyby się niechybnie wzbogaciły o niejedno cenne dzieło. Lecz gdyby nie ta gorączka wewnętrzna, gdyby nie to rozdarcie, pod których wpływem czuł on ciągłą potrzebę zwierzenia się przyjaciom, wylewania serca przed Delfiną Potocką, nie mielibyśmy tej korespondencyi, którą, gdy raz stanie przed nami w całości, uznać chyba będziemy mieli prawo za pomnik jedyny swego rodzaju w literaturze polskiej, a pewnie i w literaturze świata. Bo nikt



bystrzejszym wzrokiem nie śledził spraw ludzkich, nikt drganiem własnej duszy nie szedł bardziej niestrudzenie za wypadkami, nikt o nich nie mówił z większą potęgą uczucia i wyobraźni, ani sądzić nie umiał miarą głębszych, bardziej natchnionych przekonań.

W późniejszych latach przebija może miejscami w jego zapatrywaniach zbytńia wrażliwość, skłonność pewna do przesady—ale nie obniża to wartości jego listów, bo jeżeli się mylił w szczegółach, w zastosowaniu, nie przestał nigdy kierować się sercem a nie doktryną, nie zatracił nigdy swej absolutnej oryginalności w poglądach, nie przestał do końca pisać ich krwią własną. Sam szczyt tego, co Krasiński zdolny był włożyć w swą korespondencję, objawi nam się dopiero w listach do Delfiny Potockiej. Tam najwyższy w tym kierunku wykwit jego ducha, może najbujniejsza synteza wszystkich jego zdolności, na jaką wogóle się zdobył. Wszelkie jego wiary, nadzieje i umiłowania oplotły się około tej ukochanej głowy, dalekiej od niego i straconej nazawsze, by nią kierować, od złego ją chronić, by jej dać odczuć ciągłą obecność swej miłości.

Równego polotu, podobnego całopalenia z siebie szukalibyśmy w listach do Augusta Cieszkowskiego zapewne nadaremno, przecież zasługują one przez swą wagę i wartość niewątpliwie na następne zaraz miejsce. Nie najbardziej namiętne uczucie, lecz może właśnie najszcześniejsze, najpłodniejsze instynkta Krasińskiego zawarły się i wypowiedziały w przyjaźni z autorem „Ojczy Nasz.“

Wspomnienia dzieciństwa ich łączyły, zbliżała pamięć wspólnej opiekunki, pani de la Haye, która wychowywała obu. Moment ten nie pozostał bez wagi z pewnością, lecz znaczenie jego mogło łatwo zredukować się do zera w stosunkach dwu ludzi, żyjących dla idei przedewszystkiem. I jeżeli przywiązanie głębokie z biegiem lat między nimi się wyrobiło, to wzajemna przychylność nie polegała na wrodzonej zbieżności temperamentów i harmonii usposobień. Krasiński nigdy mówić nie będzie o Cieszkowskim z tym niezrównanym akcentem uwielbienia, który pozostanie zawsze wyłącznym przywilejem Danielewicza. Zachował się list jego do pani Delfiny Potockiej z tych czasów, w których stosunek z Cieszkowskim zawiązywał się właśnie, gdzie poeta nie bez pewnej młodzieńczej przechwałki podkreśla zachodzące między nim a Augustem różnice. Ten Cieszkowski to kawałek abstrakcyjnej myśli, wykuty z białego, nieruchomego alabastru, człowiek nie wiedzący, co namiętność. On, Zygmunt, przeciwnie,

z ognia jest i elektryczności. On chciałby się zmierzyć z takim w dwóch miejscach świata — na polu bitwy i u stóp ukochanej.

I w późniejszych czasach, zwłaszcza, gdy ich zdania rozbiegną się na owym najdrażliwszym, najboleśniejszym dla Krasińskiego punkcie, stosunku do pani Delfiny, odezwie się on nieraz o Cieszkowskim w tonie, który dowodzi, że przyjaźń ta nie była dla niego poddaniem się wszechmocy jakiegoś uroku, lecz że nie przestawał patrzeć na przyjaciela obiektywnie, a i bardzo krytycznie czasem. Przyjaźń mimo to się zawiązała i dotrwała do grobu, a co więcej, okazała się czynnikiem niezmiernie płodnym, prądem ożywczym, bez którego jeden jak drugi byłby pozostał poniżej tego szczebla duchowego rozwoju, na jakim stanęli istotnie. I zasługę w tem bezwątpienia Krasińskiemu zwłaszcza przypisać należy. Bo dla Cieszkowskiego Zygmunt Krasiński był adeptem, był starszym o dwa lata, świetnym, genialnym znajomym, żywo interesującym się jego myślami. Jakże byłby mu się oparł!

Dla Krasińskiego rzeczy wyglądały inaczej. 27-mioletni, autor już dwóch arcydzieł, płynący z pełnym wiatrem natchnienia i talentu, mający zawsze pomysłów wbród, duszę bogatą i namiętną—cóż dziwnego, gdyby był przeoczył pierwszą próbę pióra Cieszkowskiego. Czyby mu można mieć za złe, gdyby nie był umiał oderwać się o tyle od swego własnego świata, doprawdy nie ciasnego, by móżdż do głębi zrozumieć i odczuć myśl cudzą. To też chwałą Zygmunta Krasińskiego to pozostanie, że z współczesnych on jeden<sup>1)</sup> poznał się na „Prolegomena zur Historiosophie,“ że nie miał sobie za ujinę przejąć się do głębi ideą przewodnią Cieszkowskiego, przyjąć ją niejako za własną i geniusz swój nią zapłodnić. Może on też wielkość swoją w niemałej części temu zawdzięcza.

W listach do Delfiny Potockiej zachował nam się ślad tego wrażenia, jakie Krasiński odnosił w pierwszych czasach stosunków swoich z młodziutkim autorem „Prolegomenów.“ „Im bardziej poznaję Cieszkowskiego, pisze z Rzymu w styczniu 1840 r., tem bardziej muszę w nim uznawać ogromną potęgę rozumu. Ten człowiek nie umrze cały, ślady jego pozostaną na ziemi. Za to Ci ręczę.“ A dalej następuje miłe sercu polskiemu wyznanie: „Prócz Mickiewicza, nikogom tak wzniośle w Ducha opatrzzonego

<sup>1)</sup> Z wyjątkiem Mickiewicza, ob. prelekcye paryskie z r. 1843.



nie znał, nikogo co by miał bardziej orli wzrok i potężniejszą myśl. Kiedyś przypomnisz sobie ten sąd mój o nim, gdy w przyszłości ludzie takiż sam o nim wydadzą. Może i to się stać, że dopiero późno spostrzegą się ludzie, kto on jest lub kto on był. Jednak w naszych czasach rzeczy prędkim biegną torem. On jeszcze za życia będzie miał sławę swoją.“

Zatem wbrew różności usposobień Krasiński dał się pociągnąć ku Cieszkowskiemu siłą przekonania, pokrewieństwem duchowych aspiracyi, tożsamością celu, który przyświecał im obu. Przeciż „Prolegomena“ były dzieckiem tego samego instynktu historyi, tego samego wzruszenia wobec widowiska dziejów, które poddyktowały Irydiona. Ta nieporównana historyi poezya, jakby już czekała, jakby dopraszała się dojrzałej i harmonijnej filozofii historyi. A „Nieboska“ była drugim obliczem tego samego problemu, problemu przeznaczeń świata i dalszych losów społeczeństwa. Cieszkowski już kroczył tym szlakiem, gdy pisał „Du Credit et de la Circulation“; zawiązki pierwszego tomu „Ojciec Nasz“, traktującego o kwestyach społecznych, istnieć już także musiały i Krasiński mógł znaleźć w nich ciąg dalszy i uzupełnienie swych poetyckich widzeń. O powiernika swych myśli, a cóż dopiero o przewodnika w świecie idei, nie musiało mu być łatwo, jemu, co o głowę całą przerastał swoje otoczenie. W Cieszkowskim znalazł towarzysza swojej miary, zdolnego objąć i zrozumieć jego pomysły i poglądy, znalazł zdaje się więcej, mistrza, co umiał dać odpowiedź na jego pytania, co wskazał ujście wszystkim siłom, nagromadzonym w jego duchu, i odkrył przed nim ideał, ku któremu on już i tak ciążył nieświadomie.

Nie on jeden wówczas go szukał. Naród cały, rażony świeżą klęską, skupiał wszystkie swe siły, przetrząsał najtajniejsze komórki swej duszy, by wydrzeć zawistnym losom tajemnicę swoich przeznaczeń. I nie Krasiński jeden odgadywał słowo zagadki, nie on jeden ukojenie znalazł w przekonaniu, że męka Polski nie może być zdarzeniem daremnem, że musi ona wielkie skutki za sobą pociągnąć i że jest zadatkami szczytnego powołania narodu. Lecz u żadnego z mesyanistów myśl o historycznym przeznaczeniu Polaków nie była tak jasna i niezmacona, u żadnego nie była tak płodna, bo u żadnego nie była równie harmonijnym wykwitem całego poglądu na świat, całego zestroju religijnych i filozoficznych przekonań. Nawet u Mickiewicza idea zbawienia ojczyzny jest „gwoździem, wbitym w czoło,“ jak się Krasiński wyrazi po spotkaniu z nim w Rzymie. Ta jedna, pochłaniająca, nieodstępna myśl zamknęła usta największemu z pol-

skich poetów. Krasiński, przeciwnie, znalazł w niej iskrę swych najpotężniejszych natchnień.

Kontrast ten jest uderzający, a nie może być przypadkowy. Bo nie wiary z pewnością zabrakło autorowi trzeciej części „Dziadów.“ Lecz przekonania jego nie doszły widocznie do opanowania samych siebie, do wydzielenia tego idealnego pierwiastka, który jak ziarno odpada od macierzystej łodygi, by rozniecić nowe ognisko życia. Ale jeżeli wielka wiara, złożona w „Dziadach,“ wstrzymała się w swym rozroście, stężała niejako w tym kształcie, w którym się pierwszy raz objawiła, to los podobny mógł czekać i te przebłyski nadziei, jakie opromieniły zakończenie Irydiona, i wizję przyszłości, której nie mógł wytrzymać wzrok Pankracego w „Nieboskiej Komedyi.“ Filozofia Cieszkowskiego była podporą, daną tym wiotkim jeszcze i wątłym roślinom, która zapewniła ich prawidłowy rozwój i podniosła je raz na zawsze do słońca. Ogrom uczucia, jakiego pełne było serce polskiego poety, skojarzył się z rozumem, dźwigającym tradycję niemieckiego idealizmu w całym jej bogactwie, z myślą zapewne najbardziej prześcigłą, jaką od śmierci Hegla posiadała Europa. Takie zaślubiny cóż dziwnego, jeżeli wydały plód nieśmiertelny.

Stosunek między ludźmi tej miary, co Zygmunt Krasiński i August Cieszkowski, nie mógł polegać na jednostronnym wpływie i równie jednostronnem uleganiu temu wpływowi. W listach Krasińskiego nie braknie ustępów, które wskazują, że nie był on bynajmniej względem Cieszkowskiego stroną wyłącznie bierną i receptywną, że umiał oddziaływać przeciw pewnym poglądom jego i że na niektórych punktach zapatrywania Cieszkowskiego modyfikowały się pod naciskiem jego zarzutów lub wymagań. Tyczyło się to jednak spraw poszczególnych. Nie ulega wątpliwości, że w zasadniczych rysach zapatrywania Zygmunta nagięły się raczej do poglądów Cieszkowskiego, że systematyczny element pochodził od niego, a Krasiński swemi własnymi myślami oplatał niejako jego idee. A że filozofia historii była jądrem, około którego układały się wszystkie inne myśli autora „Prolegomenów,“ więc na tym punkcie wpływ Cieszkowskiego musiał być najbezpośredniejszy i tutaj Krasiński najjinniej miał pola do uzupełniania teorii przyjaciela własnymi pomysłami.

A z wielkim teoremem historii, jak go Cieszkowski wypowiedział w „Prolegomenach,“ wszelkie jego przypuszczenia co do powołania dziejowego Polski łączyły się bezpośrednio. W świetle absolutnego rozwoju ludzkości i nowych celów, do jakich zmierzać jej przychodzi w chwili obecnej, kwestya misyi historycznej



Polaków przedstawiała się jako prosta konsekwencya, jako dodatkowa okoliczność, której przypuszczenie nie mogło sprawiać trudności, gdy się raz przyjęło i przyznało tamtą zasadniczą ideę. Przeciwnie, z zachwianiem przewodniej myśli Cieszkowskiego, dotyczącej przeznaczeń świata w ogólności, nadzieje Polski traciły całą swą podstawę i całe swe miejsce w logice wypadków. Godząc się na ową myśl przewodnią, Krasiński przyjmował więc już przez to samo ideę mesyanistyczną w tej formie, w jakiej ona z niej wypływała i w jakiej bronić jej i wyznawać ją był gotów Cieszkowski.

Listy do niego potwierdzają to w zupełności. Żadnego w nich niema śladu ścierania się między nimi na temat mesyanizmu, a ile razy mowa jest o pojęciach mesyanistycznych, tyle razy Krasiński wspomina poglądy Cieszkowskiego wyłącznie, choć wiemy dobrze, że je sam podzielał i choć przy innych okazjach mówi najotwarciej o tem, co jego wpływowi i jego usiłowaniom we wspólnym dorobku przypisać należało. Zrzeczenie się wszelkich na tym punkcie pretensyi na rzecz Cieszkowskiego, zarazem uznanie jego za najwyższy, doskonały wyraz mesyanizmu, jasno a zwięzłe jest sformułowane w jednym z listów do Delfiny Potockiej: „Rozszerzyło się dzieło, o którym rozповідаłem Ci wiele dziwnych ustępów w Romie. Ono dopiero będzie jasnym dopełnieniem ciemnych przeczuć Towiańskiego. Tajne brzemie lat wydało płód, możnaby o tem dziele powiedzieć.“

I w listach do Cieszkowskiego powraca niejednokrotnie zapatrywanie, że nad całym ruchem mesyanistycznym on góruje zwyciężką logiką, za której pomocą mętne jeszcze domysły jego przedstawicieli umiał uzasadnić, uładzić i wyjaśnić. A jeśli się zważy, czem to było dla tej nadziei, zmagającej się uparcie z przemocą brutalną faktów, dla tej wiary, usiłującej potęgą własną kłam zadać nieubłaganemu świadectwu rzeczywistości—gdy rozwarły się przed nią nagle błękitne widnokregi nieskończoności, gdy owionęła ją siła przemożna, z jaką rzeka historii toczy swe fale ku krainom przyszłości, rozumie się łatwo, że Krasiński tracił chwilami z oczu całe bogactwo swoich własnych natchnień i nie wahał się autora „Prolegomenów“ mianować pierwszym ojcem „Przedświtu.“

To filozoficzne pogłębienie idei mesyanistycznej, dojrzałość zupełna ich poglądów ochroniła dwóch największych mesyanistów od tych wszystkich wypaczeń, od tego zamętu, od tych dróg błędnych, którym podlegali, na które schodzili wówczas najwięksi w narodzie. Kto pojął filozofię „Prolegomenów“, ten nie mógł

przyszłości Polski i świata opierać na osobistości Towiańskiego, ten musiał być chyba przekonany, że zbawienia nie należało szukać wyłącznie na drodze mistycznych uniesień, ani ręki Opatrzności upatrywać i czekać koniecznie pod formą cudownych wydarzeń. To też spokojna jakaś wyższość, ogromna swoboda ducha i myśli cechuje stanowisko obu przyjaciół względem paryskiego ruchu i nie zmienia się ona, mimo różności wrażeń, sądów, pomysłów, które przesuwają się przed nami w tej korespondencji. To Krasiński namawia Augusta, by ruchem mesyanistycznym starał się kierować zamiast czekać biernie na jego naturalny koniec, lub pod urokiem Mickiewicza radzi mu współdziałać z nim, to znów konstatuje, że Mickiewicz słyszy bicie we dzwo-ny, ale nie pyta się, w jakim kościele. Innym znów razem cytuje list Słowackiego o Towiańskim pełen zachwytu i wnosi z niego, że osobistość to niepospolita. Czujemy jednak, że najpełniejszą prawdę wypowiada, prawdę, panującą nad całym tym szeregiem epizodów, gdy uspakają przyjaciela: „Oddawnam przystąpił, od kolebki, do Idei świętej, wielkiej, koniecznej, ale do tego lub owego reprezentanta, nie bój się, nie przystąpię! Bo wiem, że ci wszyscy, ten lub ów, są tylko promieniami—a słońce centralne jeszcze nie weszło!”

Gdyby Krasiński mniej głębokim i silnym był duchem, idea przewodnia „Prolegomenów“ nie byłaby mogła zlać się tak doskonale z jego własnymi myślami, bo byłaby pozostała dla niego czemś obcym i zewnętrznym. Z drugiej strony umysł tak oryginalny i bujny, choć pociągnięty mocą jakiejś idei, musiał przecież prędzej czy później poczuć się do wrodzonych sobie aspiracji i oddziaływać na nią w kierunku sobie właściwym. Domyślać się tego można było z góry. Doniosłość listów do Cieszkowskiego na tem polega, że to prawdopodobieństwo zamieniają w pewność. Zachowały nam one wyraźny ślad ideowych konfliktów, jakie zachodziły między dwoma przyjaciółmi i usiłowań Zygmunta przeobrażenia pewnych zapatrywań Cieszkowskiego.

## II.

Okolo roku 1840 zagadnienia religijne stanęły na porządku dziennym w szkole Hegla. Jeżeli kto, to Cieszkowski śledzić musiał z największą uwagą wszystkie fazy tej ewolucji, on, który za całe powołanie swoje poczytywał wypowiedzenie religij-



nych konsekwencyi, religijnego znaczenia ostatnich zdobywcy filozofii. Hegliści nie dążyli do niczego innego. Lecz rezultaty, do jakich dochodzili, były zgoła inne od tych gwiazd przewodnich, które zdawna przyświecały duchowej wędrówce młodego Polaka. Jak wszędzie, gdzie świeże natchnienie nie tworzy i nie dorabia, tak i u heglistów cała praca rozumowa odbywała się z rezultatem ujemnym wyłącznie. Dla nich tradycyjne wierzenia przedstawiały się jako jakiś martwy kodeks, z którego, zależnie od zajętego stanowiska, skreślało się mniejszą lub większą ilość artykułów. Rzecz jasna, że w tych warunkach skarbiec wiary, jak gdyby fundusz, który naruszają wszyscy, a do którego nikt nic nie dodaje, wyczerpywał się szybko, aż wreszcie u reprezentantów t. zw. lewicy nic już prawie z niego nie zostało. Bo każdy mechaniczny proces kończy się zużyciem mechanicznie przerabianych materyi. By każdy ubytek zastąpić nowym przyrostem, by napływem siły z wnętrza przerastać zewnętrzne trudności, na to życia potrzeba. A tego właśnie szkole Hegla nie stało.

Cieszkowski nie bez uczucia smutku i zawodu patrzeć musiał na ten ruch w filozofii, który celowy i świadomy pochód naprzód zastąpił ślepem jakimś podleganiem przyjętym zasadom, a to w kierunku najmniej organicznym. Lecz patrzył nań pewnie ze spokojem. Skoro powołani nie umieli myśli oszczędzić tej niepotrzebnej próby, rzeczy muszą iść swoim torem, aż przesilenie nie nastąpi. Im wyraźniej i dokładniej wypowie się zaprzeczne, martwe stanowisko, tem łatwiej będzie wskazać nową drogę, tem dobitniej się zarysuje tor myśli, na których afirmacyę oprzeć będzie można.

Z filozofów niemieckich najbliższy Cieszkowskiemu, nauczyciel jego i przyjaciel, Karol Ludwik Michelet, poszedł za ogólnym prądem i w r. 1840 wygłosił na uniwersytecie berlińskim cykl odczytów o osobowości Boga i nieśmiertelności duszy. Poruszyły one widocznie bardzo jego ucznia. Nie chodziło już tu o krytyczne spory nad szczegółami ewangelicznych dziejów, nie chodziło o sprawy poboczne i pochodne, ani też zagadnienia traktowane nie były dodatkowo i mimochodem. Kwestya poruszona była „absolutną kwestyą, najwyższem zagadnieniem, które rozstrzyga o życiu ducha.“ „Dopóki bowiem ta absolutna kwestya nie jest rozsądzona, dopóty w dziedzinie ducha chodzimy w ciemnościach, a przynajmniej o zmroku.“

Na Micheleta nalegał, by wykłady swe ogłosił drukiem, rozumiejąc, jak wyraził się później, że nie znajdzie w nich *ostatnie*go słowa w tej sprawie, lecz że znajdzie *przedostatnie*. Gdy do-

szły rąk jego, uznał, że w wywodach Micheleta cały kierunek heglowskiej lewicy wypowiedział się w sposób dostatecznie wyczerpujący i jasny, by chwila sposobną była na danie mu odpowiedzi i wskazanie choć w zawiązku nowych form, w którychby wiekowe wierzenia ludzkości oprzeć się krytyce mogły.

Traktat Cieszkowskiego o tej przeważnej sprawie miał się dzielić na dwie części. Pierwsza zawierała teoretyczny rozbiór zapatrywań Micheleta. I ta wyszła z druku w lecie roku 1842. Część następna miała przynieść pozytywne, organiczne wywody autora, naukę o osobowości Bożej i ludzkiej nieśmiertelności, jak on ją pojmował. Nad tą drugą, najważniejszą częścią rozprawy Cieszkowskiego zaciążyło zawistne jakieś przeznaczenie. Z listów Krasińskiego przekonujemy się, że w jesieni r. 1848 spodziewano się w Berlinie po Cieszkowskim jakiegoś oświadczenia się w tej materii—przed czem Krasiński przestrzegał przyjaciela z uwagi, że syntezy podobnej rozdrabniać nie można. I wiadomo nam następnie już tylko, że manuskrypt był w rękach Zygmunta Krasińskiego w Warszawie i że ten pod strachem rzeczywistej czy też oczekiwanej policyjnej rewizji go spalił. Tak autor powiedział synowi przed śmiercią. Dziwić się przychodzi, że Cieszkowski nie pomyślał o spisaniu powtórnem zapatrywań swych na najważniejsze z zagadnień filozoficznych. Zapewne prąd wypadków i rozwój prac własnych oddalił go musiał od tego porządku myśli, z którego wykwitła druga część „Gott und Palingenesie.“

Przytem człowiek ten, który umierał spokojnie, pozostawiając niewydane dzieło życia całego, musiał z heroizmem wiary nieprzystępnym mniej silnym umysłem mniemać, że jeżeli w wywodach jego była prawda, to ona prędzej czy później i tak się objawi, a on troskać się o nią nie potrzebuje.<sup>1)</sup> Podziwiać można ten heroizm, lecz trudno nie widzieć, że od r. 1842 aż po nasze czasy nikt prócz niego nie mógł być pod równie korzystnymi warunkami wypowiedzieć stanowczego słowa w tych wielkich kwestyach. To też myśleć niepodobna o stracie tego skarbu bez głębokiego żalu. Przyszłość zapewne wiele przynieść może, ale narazie nic nam nie wynagrodzi tego, że tylko w ułamkach znamy odpowiedź największego z myślicieli polskich na pytania, obchodzące ludzkość żywiej od wszystkich innych.

<sup>1)</sup> Wiadomo, że „Ojciec Nasz“ z jedyńm wyjątkiem pierwszego, wstępnego tomu pozostawił autor w manuskrypcie, a wyznał na łożu śmierci, iż, zdaniem jego, czasy jeszcze nie były nadeszły na jego ogłoszenie.



Filozofia Hegla opanowała była doskonale dziedzinę idei, ale nie zdobyła się na to, by spojrzeć po za ideę. Ogólna myśl, będąca celem filozofii, wydawała jej się dosłownie ostatnią prawdą wszystkiego. I Karol Ludwik Michelet, przystępując do opracowania teorii osobowości Boga i nieśmiertelności duszy, nie umiał wznieść się ponad to stanowisko.

Wiekuiłą treść wszechrzeczy nazwał ich „wieczną osobistością“, twierdząc nie bez pewnej słuszności, że pojedyncze duchy, czerpiąc z niej całą swą istotę, i osobistość swoją jej mają do zawdzięczenia. Gdyby był osobowy charakter duchów skończonych traktował poważniej, nie byłby może i duchowej substancji, z której pochodzi ich osobistość, tak lekkim sercem od osobowości odsądził. Przeciwnie, nie umiając tej substancji pojąć inaczej, jak tylko w roli bezosobistej ogólności, musiał na skończone istoty, zależne od niej i pochodzące z niej, patrzeć przez ten sam pryzmat. I poczytał ich osobistość za coś pozornego tylko, skazując je na nieunikniony powrót do ich substancji i zlanie się z nią bez reszty.

Rzecz oczywista, że pojmując tak „wieczną osobistość“, musiał Michelet w dalszym ciągu zawyrokować, że świadomość siebie bynajmniej jej się nie należy, a musiał to upozorować uwagą, że świadomość wprostby jej ubliżała, zamykając ją w granicach pojedynczego „ja“. Nieśmiertelność ducha skończonego, o której, zresztą bardzo poprawnie, wyrzekł, że zawisła ona na stosunku jego do nieskończonego, wypadła w tych warunkach tak, jak wypaść musiała. Michelet nie uznawał innej po za uczestnictwem w nieśmiertelności idei.

Krytyka Cieszkowskiego nie mogła wobec tego dotyczyć szczegółów. Była ogólna i zasadnicza. Nie w prowadzeniu dowodów mylił się Michelet. Sama teza, której bronił, miała się zupełnie z tem, co rzekomo miała reprezentować. Tylko nazwy dowolnie pozamieniał. Ale nie było ani śladu osobowości w tem, co mianował osobistością wieczną, nie było ani cienia prawdziwej nieśmiertelności tam, gdzie ją upatrywał. A same jego dowodzenia najlepiej o tem świadczyły. Na nic się nie zdała owa sztuczna nomenklatura. Uczestnictwo w nieśmiertelnej idei, na której miała się zasadzać nieśmiertelność jednostki, jest o wiele więcej wyrazem znikomości jej, aniżeli jej trwania. Bo ideę absolutną cechuje zupełna obojętność względem swych każdoczesnych wyznawców.

A ta ogólność, w której, jakby w morzu, toną i giną oderwane od niej na chwilę pojedyncze kropelki, to duch przedmioto-

wy przeciwieństwa osobistego. Przelewanie się treści z szczegółnika w ogólnik i z ogólnika nazad w szczegółnik nie jest Bogiem. Spostrzeżenie procesu tego może być tylko wstępem do zrozumienia Jego istoty. I Michelet nadaremno mówi o osobistości. Uchwycił istotę *objektywnego* ducha—*absolutnego* nie pojął.

Mimo krytycznego charakteru swej rozprawy nie mógł w niej Cieszkowski nie zamieścić pewnych pozytywnych wskazówek. Odrzucając dowodzenia Micheleta, a nie chcąc popadać w jakąś bezbarwniejszą jeszcze zaprzeczność, musiał nakreślić chociaż ogólny zarys swych własnych przekonań. „Nie jako pojedyncza jednostka, bo tam istnieje dopiero jako szczegółnik, nie jako podmiotowość, bo tam znajduje się dopiero jako ogólnik, lecz jako osoba w swojej zupełności, może duch domagać się nieśmiertelności dla siebie.“ „To, czego dopiął sam w sobie, dla siebie i ze siebie, to, czem się sam przez działalność swoją uczynił, do czego się przez wolę swoją usposobił, to jest jego własnem, najwłaściwszem, a zatem i najosobliwszem przeznaczeniem; to nie jest mu dane z zewnątrz, to nie jest w nim tylko odbitem, lecz prawdziwie przez niego rozwiniętem i z niego wysnutem. I to mu też nigdy nie może być odebranem; bo tem żadna moc świata nie może rozporządzać. Oto jest jego pierwsze prawo, a jako prawo, jest ono wieczne, nie przenośne.

„Dopóki duch był tylko faktem, dopóty był zależnym, a zatem znikomym. Dopóki istniał tylko, jako czysta działalność (myślenia), dopóty znajdował się w sprzeczności do oderwanej ogólności (idei), którą wprowadził w siebie, ale w której ginął mu przychodziło wskutek niedostateczności zajmowanego względem niej stanowiska. Ale jako czyn, albo raczej, wyrażając się poprawniej, jako czynna osoba, duch nosi swoje przeznaczenie, swoją celowość (telergię) w sobie. Wolności swojej, już zbudzonej, zdobytej, a następnie wypełnionej i urzeczywistnionej nie może już utracić. Rozwój, dokonany sam w sobie, dla siebie i ze siebie nie może zaginąć. Byłoby to potwornym krokiem wstecznym w całym universum. A jakżeby świat mógł polegać na niesprawiedliwości?

„I w cóżby wreszcie miał się rozłożyć i w czem zatracić czyn ducha? Czyż w ogólnej myśli? Albo może w szczegółowym byciu? Ależ to jego oderwane przesłanki, te on w sobie zawiera. Żywe wyrównanie (bytu i myśli) nie zstąpi do swoich abstrakcyi. Dokonany rozwój ducha nie może się więc rozwiązać ani w kierunku dośrodkowym, ani w kierunku odśrodkowym. Jest on nietylko dlatego, że jest, bo w tym razie nie istniałby właś-



nie, lecz dlatego, że sam siebie dokonał, dlatego, że staje się absolutnie.

„Nie tracimy nigdy w życiu naszej pełnej, prawdziwej osobistości, podczas gdy wszystkie inne określenia naszego ducha, nawet świadomość i wiedza o sobie mniej lub więcej opuścić nas mogą. Ale osobistość nasza nie opuszcza nas nigdy, nawet we śnie pozostajemy tem, czem staliśmy się; potęgi moralne czuwają wtedy nad określonością naszej osoby. A zatem i w śmierci stracić jej nie możemy, potęga absolutna wtedy nad nią czuwa. W małym zmartwychwstaniu ze snu odnajdujemy się cali, ze wszystkimi determinacjami naszemi. W wielkim zmartwychwstaniu z śmierci dział się musi to samo odnośnie do naszej własnej osobistości, która jest naszym prawdziwym dziełem.

„Oczywiście nie chodzi tu o szczegóły—o to ani o owo, bo to, jako szczególność właśnie, jest przemijające. Ani też o ogólność myśli, któraby była w owej czystej jaźni, doszła do szczególności, bo toby tutaj oznaczało tylko pamięć w znaczeniu podmiotowym, lecz chodzi tu o prawdziwy wynik działania wszystkich sił, składających się na cały ten proces duchowego powstawania, którym jest życie.“

W tem było jądro rozumowania Cieszkowskiego. Dorobek życia nie gubi się w przedmiotowym świecie. Nawet idei nie można przyznać przywileju zawarcia tego, co człowiek w ciągu żywota ze siebie uczynił. Wzbogacił on zapewne i sferę przedmiotową, lecz przede wszystkim sam ducha własnego rozwinął. I przyrost jego do niego tylko należy, musi przy nim pozostać, nie może rozplynać się w nic innego. Dlatego osobistość ludzka nieśmiertelna. Ona jest depozytem nienaruszalnym.

Pozostaje pytanie, jak to dalsze życie osobistości sobie wyobrazić. Oto zupełnie tak samo, jak obecne. Ono nie wyczerpało przecież wszystkich założonych w duchu możliwości, nie objawiło całej głębi jego. Ono było zawsze mniej lub więcej niedostatecznym jego wcieleniem, częściową realizacją jego przeznaczenia. By przeznaczenie to w pełni osiągnąć, by się całkowicie rozwinąć, duchowi naszemu dalszych wcieleń potrzeba, jak mu zapewne potrzeba było dawniejszych do stania się tem, czem jest. Słowem życie ziemskie nie jest jednorazowym epizodem naszej historii, po którymby następowała dla nas zupełna przemiana wszystkich warunków bytu. Nie jest ono ani pierwszym, ani ostatniem. Jest jednym ze szczebli, po których nam się piąć trzeba ku doskonałości. Umierając, rzucamy ciało, składamy w pewnym sensie duszę, bo i wewnętrzny wątek naszego życia się urywa, zachowuje

się tylko eteryczny zaród osobistości, ale ten już czeka na wcie-  
lenie nowe, by mózż dążyć dalej ku chwili zupełnego rozkwitu.

Oto w zarysie nauka Cieszkowskiego o palingenezyi.

Wtórował jej i Krasiński w Psalmie Wiary:

Dusza i ciało to tylko dwa skrzydła,  
Któremi czasu i przestrzeni sidła  
Duch mój rozcina w postępowym locie.  
Gdy się zużyją przez chwil i prób krocie,  
Odpadać muszą, lecz on nie umiera,  
Choć to się śmiercią nazywa u ludzi!  
On zwiędłe zrzuca, a świeże przybiera  
I w nie otulon znów na jaw się budzi!  
A to się zowie narodzin godzina!  
I duch mój, wziąwszy skrzydła niezmęczone,  
Nimi znów leci, lecz już w wyższą stronę!  
Tak coraz wyżej ku Panu się wspina,  
Ciała i dusze własne po za sobą  
Sypie, jak liście żółkłe i strząśnięte,  
Wciąga do siebie siły im odjęte—  
On sam wciąż żyje ich zgonów żalobą!

Wiara w nieśmiertelność, upatrująca dopiero po zgonie początek wiecznego żywota, ma to do siebie, że nie może wejść w konflikt bezpośredni z naszą obecną świadomością. Rzecz się zmienia, gdy teoria palingenezyi równa co do cech zasadniczych żywoty, czekające nas po śmierci, z obecnym, i przypuszcza co więcej, że istnienie obecne pierwszym nie jest, że ono już także jest częstką nieśmiertelnego bytu ducha, bo inne narodziny i zgony je wyprzedziły. Wtedy powstaje pytanie, dlaczego nasza świadomość niczego podobnego nie zaświadcza, i czy mimo to przypuścić możemy przyszłe żywoty do obecnego podobne, w którychbyśmy jednak posiadali pamięć dawniej przeżytych.

W „Gott und Palingenesie“ sprawa ta zasadniczo wcale nie jest poruszona. Kładąc nacisk na konieczność zachowania się w śmierci prawdziwego rezultatu życia, autor nadmieniał, że do tego rezultatu nie należy bynajmniej zasób zdobytych w ciągu istnienia wiadomości i myśli, co się powoli stały naszą własnością. Skład ich już w ciągu żywota się zmienia. Pozostanie w ich posiadaniu oznaczałoby „tylko pamięć w sensie podmiotowym.“ Inna wzmianka pamięci w całym traktacie nie zachodzi, a dowód w tem dostateczny na to, że Cieszkowski uważał ją za sprawę poboczną, nie mogącą rozstrzygać o tem, czy nieśmiertelność uznać, czy nie uznać za rzeczywistość.



Przychylał się widocznie do zapatrywania, że byle odrodzenie się z śmierci faktem było, rzeczą będzie zupełnie obojętną czy jednostka świadomą tego będzie, czy nie. Nie widział w pamięci nic innego po za subiektywnem przypomnieniem, które zdarzeń raz zaszłych w niczem nie zmienia i pozostaje zewnętrzną okolicznością, nie mogącą w niczem wpłynąć na istotę rzeczy. Autor „Gott und Palingenesie“, odkrywszy podstawę, na której mógł oprzeć twierdzenie nieśmiertelności, musiał mimowoli skłonny być do mniemania, że zadanie jego spełnione, a że chcąc twierdzić za wiele, mógłby swoje argumenty tylko zdyskredytować i osłabić. Myśliciel z temperamentu, uczeń szkół niemieckich, musiał z natury rzeczy czuć się w swoim żywiole i bystro widzieć, dopóki chodziło o wywalczenie spekulatywnej zasady. Gdy przychodziło zmierzyć uczuciem doniosłość jakiejś prawdy dla życia, ogarnąć instynktem całą skalę oddźwięków, wybrzmiewających w jakimś słowie z głębin ducha, mogła mu nie zawsze dopisywać niezawodna trafność sądu.

Pod tym względem doskonale uzupełniał go Krasiński. Kwestya pamięci w pośmiertnem odrodzeniu dobyła na jaw kontrast głęboki, założony w tych dwóch osobistościach. A dała mu się wypowiedzieć na najwyższym poziomie. Spór o tę sprawę, wszczęty przez Krasińskiego po przeczytaniu „Gott und Palingenesie“, trwa długo. A pozostanie on nazawsze pamiętny. Najprzód zmusił Zygmunta do natężenia całej swej zdolności myśli. Stąd nowe przykłady jego polotu. Lecz przedewszystkiem dobył on z piersi poety ogromne bogactwo akcentów, których nie znalibyśmy pewnie, gdyby do różnicy zdań między nim a przyjacielem nigdy nie było przyszło. Dyskasya nie jest akademicka. Krasiński w poczuciu doniosłości sprawy nietylko zbija rozumowaniem argumenty, ale całym ciepłem swego serca pragnie Cieszkowskiego pociągnąć, natchnąć inaczej. On zwalcza pojedynczą tezę, ale zwalcza ją ze stanowczością tem większą, że wierzy w system, którego ona jest częścią. Dokłada wszystkich sił dla udoskonalenia tego systemu. Spiera się, ale nie wystarcza jemu przeświadczenie, że ma rację on, a jego przeciwnik się myli. On drży na samą myśl, co będzie, jeżeli nie zdoła go przekonać. Bo on przez przyjaźń właśnie z nim się sprzecza. Nie pozwoli, dopuścić nie może, by August miał pozostać przy mniemaniu niegodnem siebie. Będzie go tak długo prześladował swoją miłością, dopóki go nie popchnie na tor właściwy. Dopóki nie zdobędzie pewności, że panowanie jego w sferze myśli będzie wyrazem wolności, a nie nowej dla ducha niewoli. Że nie da ludziom kamieni zamiast chleba.

Nie posiadając uzupełnienia listów Krasińskiego pod formą odpowiedzi, które na nie otrzymywał, musimy zachowywać wszelką ostrożność w przypisywaniu Cieszkowskiemu opinii i zapatrywań, jakie w tej dyskusji mógł wypowiadać. Zwrot, użyty w jednym z listów Krasińskiego, każe nam się domyślać, że trwał on na stanowisku, zajętem w „Gott und Palingenesie.“ Nietyle pewnie pamięci przeczył, nietyle podkreślał jej niemożliwość i nieprzypuszczalność w życiu nowem, ile raczej uznawał ją za dodatek nieistotny i obojętny. Lecz to wystarczało zupełnie, by się Krasiński buntował z głębi duszy.

Chodziło o rzecz szczególnie mu bliską. Bo gdyby wyliczyć te wytyczne punkty, około których ciążyły rozważania, natchnienia i poetyckie sny jego, sprawa pośmiertnych przeznaczeń człowieka znalazłaby się na poczesnem miejscu. Trudnoby zwłaszcza było wskazać stosunek miłosny, w któryby się było wplotło tyle myśli i marzeń o współżyciu pozaziemskiem, ile ich wymieniał Krasiński z Delfiną Potocką. Wyraz tej wiary zapisał poeta na pierwszej karcie „Przedświtu“, w listach do Cieszkowskiego wspomina o niej, jako o „perle najdroższej, danej mu przez losy.“ W korespondencji z panią Delfiną odzywa się ona równie silnie. A tu mu kazano przypuszczać nieśmiertelność pozbawioną pamięci!

Tymczasem polemiki nie rozpoczyna zaraz po przeczytaniu traktatu. Czy ten punkt w pierwszym czytaniu przeoczył, o co było łatwo, czy umyślnie chciał podnieść zalety dziełka, zanimby wspomniął o jego brakach, dość, że w pierwszym liście, pisanym na temat „Gott und Palingenesie“, Krasiński wita przedewszystkiem radośnie odprawę, daną przez przyjaciela heglistom, pragnącym ducha przedmiotowego ubóstwić. Każda z tych fal, które rozbijają się o brzeg skalisty pod jego oknami, dążyła do tego, by wyrobić się na samodzielne jestestwo. Ale łamię się i powracać musi nieubłaganie nazad w ogólności fal. Taki jest los jestestw, żyjących na łonie natury i ginących znowu w głębiach przyrodzenia. Ale to nie jest jako żywo stosunek człowieka do Boga.

List następny zaczyna od skargi, że życie nie może być ślepą funkcją, wykonywaną bez świadomości. Uczucie musiało w nim zaprotestować pierwsze przeciw takiej palingenezycji, błędnej, jak błyskający lot Lucioli, zanim rozum zaczął obliczać i formułować wszystkie słabe strony podobnego zapatrywania. Ale rozum go nie zawodzi. Otwiera dyskusję na tym terenie, na jakim Cieszkowski kwestyę postawił. Nie wymienia wszystkich względów, przemawiających za przypuszczeniem pamięci w odro-



dzeniu pośmiertnem. Pyta się, czy ona nie jest żywiołem koniecznym w tej nieśmiertelności, której broni sam Cieszkowski. Zaprawdę chodzi o to tylko, by osobistość zachować się mogła. Ale też muszą być zabezpieczone wszystkie ku temu warunki. A jej własnością nie jest to, o czem ona nie wie i o czem nie dowie się nigdy. Taka nieśmiertelność jest niesprawdzalną abstrakcją.

Nieśmiertelności bez pamięci „bardzo uprzejmie“ dowiódł Pierre Leroux. Właśnie dlatego musi August postawić śmiały krok naprzód. Tąto stanowisko już przeszłością i niższością dla niego. Świadomości siebie lekko traktować nie można. Każdy kamień ma swoją historję, lecz jej nie rozumie, bo jej nie pamięta. Tem się od człowieka różni. Jeżeli naprawdę duchy nieśmiertelne poprzez szereg żywotów garną się ku wyższym przeznaczeniom, to przecież odbywać muszą tę wędrówkę jako świadome duchy, nie jako rzeczy martwe. Inaczej ironią będzie mówić o ich nieśmiertelności.

Powoli kwestya ściślej się formułuje. Dana nam nie jest obecnie świadomość żywotów poprzednich. I pamięć obecnego nie potrzebuje nam być przytomna przez cały ciąg kolei naszych przyszlých. Taka świadomość psułaby nawet ekonomję wyrabiania i zasługiwania się ducha. Przynosiłaby przedwczesnie rozwiązanie zagadki, przedwczesnie odstaniała ostatni cel i koniec istnienia (który powinien być osiągnięty samodzielnym wysiłkiem), za cel obrany wolnym aktem woli. A jeżeli nie zaraz, jeżeli nieprędko objawienie jego dziejów może nastąpić dla każdego z żyjących, to też rzeczą jest obojętną kiedy nastąpi, byle kiedyś nastąpiło.

Chwila, w której zbudzi się pamięć wszystkich przebytych kolei, czynów, które kierunek nadały wędrówce ducha, któremi zdobył nieśmiertelność, oznaczać może właśnie zakończenie jego zawodu w obrębie człowieczeństwa, może być przewidzianą dopiero „gdzieś na wieków późnej fali.“ Ale musi ona zachodzić w szeregu ostatnich rzeczy człowieka. Bo dopiero przez to przypomnienie stanie się on panem samego siebie, zrozumie swoje losy, uwielbi Opatrzność, która go prowadziła.

Ta chwila przypomnienia będzie właśnie tem, co świadomość religijna nazywa „dniem sądu.“ Objawieniem rezultatu, jaki wydało życie. Myśl podobna nasuwała się i Cieszkowskiemu. Przepuszczał nawet, że moment, mający przynieść człowiekowi przypomnienie, niedaleki być może. Zdaje się, że potem od tego poglądu odstąpił, by zająć na tym punkcie bezbarwne stanowisko,

rysujące się w jego traktacie. Krasiński mu przypomina jego własny pomysł i broni pamięci w palingenezyi już tylko w tej formie. Na wszystko przystać gotów, byle mu pozwolono wierzyć, że przecież dąży i zbliża się do samego siebie, że kiedyś siebie samego w pełni posiędzie.

Radziłyśmy bardzo odgadnąć, na czym się zasadzał opór Cieszkowskiego, stawiany tym poglądom. Zapewne na jakimś zachowaniu się biernem, które rozogniało tembardziej gorącą duszę Zygmunta. Jeden z jego argumentów nam się zachował. Stał nie przytem, co być może, lecz o to dbał jedynie, co być musi. Przekonania Krasińskiego dobre są, lecz niepotrzebne, by dowieść prawdy palingenezyi.

Na to ten ostatni oburza się i powstaje namiętnie. To nie ludzkość przemawia przez usta Cieszkowskiego, lecz szkoła i koterya. Dziecko każde zrozumie różnicę między nieśmiertelnością świadomą a pozbawioną świadomości, tylko Berlin tego nie rozumie. To wpływ niemiecki głuchym uczynił Augusta na głosy życia. Ale i on zrozumie z czasem, że nadejdzie chwila, w której przejrzy i pojmie konieczność tego postulatu.

Jednostka zapewne dokonała dzieła, gdy posłannictwo swoje spełniła w łonie ludzkości, ale ludzkość nadużywa praw swoich, jeżeli nawzajem uznać się nie chce za szkołę, która wychowuje duchy indywidualne. Potwornością jest szkoła, chcąca być sama sobie celem. Jednostki w dziejach ludzkości nie toną. Powołane są do przekroczenia tych dziejów, a mogą zostać sobą w całej pełni, w całym bogactwie swego rozkwitu dopiero na poziomie wyższym od ludzkiej historii.

I nie zawiódł się Krasiński w swem oczekiwaniu, że prędzej czy później August przejdzie na jego wiarę. Trudno nam przypuścić wielkich zmian w przekonaniach jego. Umysł, który rozwinął się tak wcześnie, podwaliny tak głębokie założył pod zapatrywania swoje, nie był z pewnością wiotki. Domyślamy się raczej, że różnica zdań musiała w gruncie być mniejsza, niżby wnosić można z płomiennych apostrof Krasińskiego, że była raczej pogłębiona faktem dyskusyi, niżeli głęboka w istocie. To też z biegiem czasu się zatarła. W kilka lat później już Krasiński mówić będzie o walce, jaką stoczył z wpływem niemieckim u Augusta, jako o rzeczy dawno minionej. Gdyby część druga „Gott und Palingenesie“ nie była przepadła, dałyby się może odkryć bezpośrednio ślady jego wpływu.

Skoro nam tego odmówiły losy, musimy uznać za wielkie szczęście, że zachowały nam się jakiegokolwiek echa wyrazu, jakie



autor „Gott und Palingenesie“ teoryom swoim nadać zamierzał. A zdaje się nie ulegać wątpliwości, że fragmenty takie posiadamy. W lat dziesięć po wydaniu pierwszej części tego traktatu, ten sam Karol Ludwik Michelet, przeciw któremu zwracała się krytyka Cieszkowskiego, ogłosił filozoficzny dyalog o „przyszłości człowieczeństwa i nieśmiertelności duszy,“ czyli o „ostatnich rzeczach.“<sup>1)</sup>

Czy był osnuty na tle rzeczywistych dyskusyj, czy też w całości skomponowany przez autora, dość, że pod nazwą przyjaciela Teleofanasa ze Wschodu—nazwiska bowiem zastąpiły greckie pseudonimy—występuje tam najniewątpliwiej Cieszkowski. Obszerny ustęp z istniejącej części „Gott und Palingenesie“ dowodzi, że nie z wyobraźni czerpał Michelet słowa, które kładł w usta swemu byłemu uczniowi. Zresztą myśli, wypowiedane przez „przyjaciela ze Wschodu,“ nie są własnością Micheleta. Szereg punktów, które swego czasu poruszone były w sporze z Krasińskim, powraca tutaj, a pojęcie ich, jak tu jest dane, wypada zupełnie po jego myśli.

Całej szkole Hegla rzucona jest rękawica w tych samych niemal słowach, jakich był użył Krasiński w jednym ze swoich listów. Mówca robi jej z tego zarzut, że umiała tylko rozprawić o duchu przedmiotowym, zbywając milczeniem pytanie o to, co za los ducha pojedynczego czeka. „Ród ludzki ma kiedyś cel swój osiągnąć. Ale jednostka nigdy! Lub też osiąga go jedynie w krótkim przebiegu ziemskiego żywota.“ Pokolenia jednostek znajdować się wiecznie będą w stanie dążenia do celu, który im jest niedostępny. To skazanie całej sfery indywidualności na męki Tantalą. A to w imię zawsze tej samej zasady, że absolut ma być czemś ogólnem, to co pojedyncze, wydane być ma nieodwołalnie na pastwę skończoności. Przeciw tym poglądom szkoły staje „przyjaciel ze Wschodu“ po stronie Pisma św., które uczy, że obok doskonałości rodzaju ludzkiego znaleźć się jeszcze musi u mety historii i „doskonałość jednostki w krainie duchów.“

A prawa pamięci w odrodzeniu nietylko że są tu zastrzeżone w sposób, który mógłby zadowolić Krasińskiego, lecz Cieszkowski posunął się jeszcze dalej aniżeli on tego żądał kiedykolwiek, nie wyłączając pamięci poprzednich istnień i z obecnego życia. Odstęp między jednym żywotem a drugim może być do-

<sup>1)</sup> „Die Epiphanie der ewigen Persönlichkeit des Geistes.“ Część III. Berlin 1852.

wolnie długi; wobec wieczności wszelka czasu rozciągłość schodzi do znaczenia jednej chwili. Stan nieświadomy, trwający aż do wstąpienia w żywot nowy, wedle miary czasu nie da się osądzić. Bo przez świadomość jedynie powstaje dla jednostki następowanie po sobie chwil w czasie i czas ma trwanie tylko dla żyjących. Niema żadnego powodu do przypuszczenia, by te przerwy w świadomości żywą jedność jej naruszać miały.

„Jestem przekonany, powiada przyjaciel ze Wschodu, że gdyby duch ludzki zwrócił uwagę na ciemne wspomnienia minionego żywota, toby one powoli wzbłyły się ponad widnokrąg jego świadomości. Ale przypuśćmy, że są one rzadkie narazie. Wynika to stąd, że duchowe cechy, ocalone z poprzedniego życia, nie doszły jeszcze do tego stopnia wybitności, aby je w nowem poznać było można. Im bardziej rośnie ich intensywność, tem większe jest prawdopodobieństwo przypomnienia i osiągnięcia świadomości zupełnie identycznej, aż wreszcie z wydoskonaleniem się jednostki w chórze błogosławionych, pełne przypomnienie, zupełna świadomość zabyłśnie.“

I assonance wyraźne z Psalmem Wiary znajdują się w dialogu, wydanym przez Micheleta. „Koleje ducha się dokonały, gdy w jednej z jego transformacji wola jego wyciągnęła wnioski z wszystkich poprzednich stopni, gdy cała możność osobistości w pojedynczych fazach jej rozwoju się urzeczywistniła, t. j. gdy dusza, dobywszy z ciała swego coraz to bardziej eterycznych, coraz to bardziej duchowych zarodków, przeniknie je wreszcie zupełnie i przemieni. Wtedy już nie potrzebuje ona ducha uwalniać z żadnego spowicia. A przez to samo kończy się duszy wędrówka. I pozostaje tylko ostatnia palingenezya, przez którą, jak powiada św. Paweł, ostatnia nieprzyjaciółka—śmierć, zostaje pokonana.“

Temu pojęciu żywota wiecznego odpowiada dosłowne rozumienie wyrażenia „śmierć wieczna.“ Cytujemy dla uzupełnienia obrazu. „Ci, którzy nie dochodzą do żadnego rezultatu, do stworzenia żadnego duchowego wyrobu, ci, mówiąc z Pismem, wtrącani są do piekła nicości i pochłonięci ogniem zapomnienia; dusze ich giną zupełnie, jak to sobie wyobrażali niektórzy z najstarszych ojców Kościoła.“ To też nieśmiertelności uważać nie można za własność daną i zapewnioną nam wszystkim. „Każdy, jak Herkules, niebo zdobywa w krainie duchów własną cnotą jedynie.“



## III.

Nie mamy żadnej pozytywnej wskazówki, czy poeta podzielał i te śmiałe zapatrywania przyjaciela, a sądzymy, że istotnie mogą one pochodzić od Cieszkowskiego. Jednakże sprawa pamięci wymownym jest przykładem, jak niezmierną pieczołowitością otaczał Krasiński cały świat myśli i wierzeń autora „Ojciec Nasz.” Widząc niepokój, jaki trawił Zygmunta dopóki przypuszczał, że jest on na złej drodze, otwartość, z jaką mu błędy jego wytykał, widząc wysiłki, jakie czynił niestrudzenie, by wskazać Augustowi punkt widzenia właściwy, dochodzimy do wniosku, że tam, gdzie nie słyhać echa żadnej różnicy zdań, żadnej dyskusji między przyjaciółmi, panować z pewnością musiała jedność zapatrywań i zgoda.

Więc przypuszczamy u nich tożsamość przekonań i w drugiej, przeważnej kwestyi, która była poruszona w traktacie „Gott und Palingenesie,” w kwestyi osobowości Bożej. Jakichże tonów nie byłby dobył Krasiński, gdyby był powziął podejrzenie, że ta najgłębsza podstawa wszelkich przekonań jego przez system Augusta może być zachwiana, zaćmione to, bez czego wszystko tylko ślepotą i bezsensem.

Przy szczupłości fragmentów, jakie pozostały z nauki Cieszkowskiego w tej mierze, tem cenniejsze jest wszystko, co się znajduje w niniejszych listach. A niepodobna z orientacyi filozoficznej Krasińskiego zdać sobie sprawy, choćby tylko w zarysie, żeby nie dotknąć tego centralnego punktu. Potęgą religijnej wiary, podparta bogactwem nowych natchnień i poglądów, tak obfitem źródłem tryskających w nim i koło niego, rozstrzygnęła o całym tonie, panującym w jego świecie wewnętrznym. Z niej to pochodził ów niespożyty podkład optymizmu, niezgodny zupełnie z naturalnem usposobieniem człowieka trapionego wiecznie chorobą, nękanego pętami moralnych konfliktów, cierpiącego okropnie nad każdym nieszczęściem publicznem. Był to optymizm nie temperamentu, lecz przekonania; dotyczył praw, rządzących wszechświatem, nie losów ziemskich jednostki.

Poglądy, świeżo wypowiedziane przez Trentowskiego, nadarzyły poecie okazję do rozwinięcia swoich własnych myśli. Bronił on w gruncie tej samej panteistycznej tezy, która była rysem wspólnym całemu kierunkowi ówczesnej filozofii, a którą Krasiński w jednym ze swych listów do Delfiny Potockiej wytyka „rozpasanemu stronnictwu centrum gauche szkoły heglowskiej.” Bóg

u Trentowskiego tak samo, jak u Micheleta, nazwany jest wprawdzie „osobistością“ w przeciwieństwie do „indywiduów,“ lecz dopiero przez osobniki dochodzi do poczucia samego siebie, niema poczucia tego inaczej. Bóg jest tylko powszechnością nieświadomą siebie. Bóg ma wieczny byt, ale bez czucia i wiedzy, wychodzi na zlepek swoich cząstek, rozsypanych we wszechświecie. Krasiński doskonale trafił w samo jądro filozoficznej kwestyi. „Doświadczać, powiada, jest to mieć stosunek z rzeczą skończoną, opisaną.“ Dlatego drogą doświadczenia odkryć Boga niesposób. Przebiega się szeregi rozproszonych części, poznaje się „rozbiór chemiczny Boga,“ czy jego „anatomię,“ nigdzie nie zastaje „żyjącego,“ nigdy nie dociera do punktu środkowego tych wszystkich sił wirujących, nigdy nie ogarnia całości.

Czy może być inaczej? Ci, którzy odmawiają Bogu wiedzy o sobie, jaźni zogniskowanej w jedność, człowiekowi nie wahają się jej przypisać, a kiedyż doświadczyli, kiedyż zdołali schwytać iskrę świadomości i życia? I my żyjemy poza obrębem naszego ciała i naszego działania. Cokolwiek istnienie nasze objawia i wyraża, to już się oddzieliło od pulsującego źródła naszej istoty. Z chwilą, gdzie się zjawia, już jest przedmiotem tylko, odróżnionym od podmiotu, którym my jesteśmy. Jaźń, świadomość siebie, jest nieuchwytna, jak chwila czasu, co znika przez to samo, że się urzeczywistnia, co nie może stać się terażniejszością, jak tylko zostając przeszłością. Tak też we wszechświecie i w nas jest Bóg, nic innego; ale Bóg w „rozbiorze,“ nie „sam Bóg.“ Dopiero nad światem i za światem może być wiedza Boża o sobie, choć przez świat się objawia, jak nad ciałem jedynie, nad szeregiem naszych działań, spełnianych zawsze ślepo, poprzedzonych tylko refleksją, unosi się nasze ja. Świat jest Bożym czynem, przez to samo już nie Bogiem, cóż dziwnego, że Go nie napotykamy w świecie bezpośrednio.

Ale jak Boga poznać, jeżeli tak własne Jego objawienie Go przesłania? „Twórczością tylko, natchnieniem, najwyższą wolnością rozumu, metodą poetycką, nie do obrazów zewnętrznych, ale do głębi własnego ducha przystosowaną, dorwać się można Boga.“ „Nieskończoność stworzyć trzeba!“ Żadna filozofia nieodpowie poprawniej; poznanie Boga to wolność najwyższa rozumu. Ze niedostępna ona bez twórczości, że nieziszczalna na drodze mechanicznej, bez intuicji płodnej, w tem się nie różni od innych odkryć, od innych czynów myśli.

Z biegiem lat zapatrywanie to u Krasińskiego formuluje się ściślej, dostraja jeszcze dokładniej do potrzeb czasu. „Gdzie tyl-



ko jest panteistyczna strona, tam musi być Ja jakieś. Panteistyczność wszelka to ogon komety, rozlany wprawdzie w przestrzeń, ale rozlewający się z jądra wewnętrznego.“ Więc to, co spostrzegł dawniej, jako właściwość natury naszej i Bożej, to wyowiada później pod formą ogólnego prawidła.

Przedmiotowość wszelka ma się do podmiotu, jak peryferya do centrum. Jednej bez drugiej być nie może. „Równym jest błędem nie uznawać osobistości, jak nie uznawać siły, jaką ona ma: rozlewanie się.“ Idea, odbita przedmiotowo we wszechświecie, musi się gdzieś skupiać i ogniskować. W świadomości ludzkiego rodzaju—odpowiadali hegliści, i ludzkości gwiazd—dodawał Trentowski. Ale to kwestyi nie zmienia. Świadomość, rozprysnięta na miliony iskierek, to znowu nieżywa jedność. To moment może nie przedmiotowy, ale znów rozlewny, peryferyczny.

Życie nie jest sumą drobnych poruszeń, wykonywanych przez niezliczone komóreczki, składające się na ciało. Życie samo, nie mówiąc nic o świadomości, ma ognisko swoje i swoją jedność, będącą czemś więcej, niż dodawaniem wibracji. Więc zaprzeczenie osobistości Bożej musi zanegowaniem ludzkiej się skończyć. Chcieć w Bogu tylko widzieć zbiorowe funkcyje człowieczeństwa, to właśnie to samo, co upatrywać w osobistości ludzkiej tylko mętną fosforescencyę materialnych żywiołów, składających się na ciało. Znaczy to, nie chcieć rozumieć, gubić się w szczegółach, uparcie zamykając oczy na całość.

Czy to wszechświat materialny, jako ciało Boże w ogólności, czy też powszechność żyjących w nim istot rozumnych, niejako najsubtelniejszych, mózgowych komóreczek, czy wreszcie głębie idei, panujące nad jednym i nad drugim, wszystko to rozbiciem, gruzami i chaosem, jeżeli niema punktu jedności i punktu rodnego w Bożem ja. A tak panteizm na całej linii wychodzi na kalectwo myśli. Idea absolutna albo pustem jest słowem, albo w Bogu ma sensorium swoje, bo musi spocząć w jakimś żywym duchu.

Panteistycznie nie da się Boga pomyśleć ani rozumieć wszechświata, jak „bezosobicie“ niepodobna wyrazić istoty człowieka, choć „przedmiotowo“ i nieosobicie z natury rzeczy i Bóg, i człowiek objawiać się musi. Nie doświadczamy nigdy życia i jaźni człowieka. A jednak ją uznajemy, uważamy ją za oczywistość. Wolnym aktem rozumu i twórczości to się dzieje. Żądając ich w poznaniu Boga nie wymagał Krasiński żadnej anomalii. Bez nich nikt z nas nie pojmowałby ani nie znał żadnego z bliźnich swoich, chodziłby wśród samych zagadek. Intuicya rozumu podaje mu klucz do tych szeregów różnorodnych symbolów, w któ-

rych manifestuje się ich istnienie. Analogicznym aktem myśli odgadnąć się da żywa jedność w rozpierzchnieniu universum.

Osobistość nie jest jakimś bezprzedmiotowym marzeniem mózgu, lecz jest prawdą żywą, której wyrazem, której chwilowym odlewem jest fizyczna i moralna osoba. Na nieskończenie wyższym poziomie Boga podobnie pojmować można. Cechy indywidualne nie stanowią jeszcze osobistości, lecz są tylko przemijającym jej odbiciem. Już duch ludzki jest czemś więcej jak „jednostką.“ Tem więcej Bóg nie jest jednostką, lecz Duchem, którego odblaskiem są wszelkie możliwe jednostkowości. Nie można Boga uznać za indywiduum, ale można go nazwać „principium individuationis.“ A tak wchodzimy na tory traktatu „Gott und Palingenesie,“ a ściślej jeszcze na pole wynurzeń „przyjaciela ze Wschodu“ w Micheletowym dyalogu.

Absolutny subjekt-objekt, Bóg, „w całości swojej zawiera jednostronne jeszcze osobistości, jako momenty, a tak jest absolutną duchową indywiduacją. Jest indywiduacją najwyższą i najbardziej konkretną, która ogarnia powszechność pojedynczych, podmiotowych duchów, jako swoje ciało, a system ogólnego przedmiotowego ducha, jako swoją duszę. Przez to jest sam absolutnym wnioskiem. W tem to spekulatywnem znaczeniu, choć jeszcze pod formą wyobrażenia, uważa Kościół powszechność pojedynczych, wierzących subjektów za ciało Chrystusowe. Każda pojedyncza osobistość, każdy duch narodowy jest takim członkiem absolutnego ciała, przenikniętym duchem absolutnym. Ale ani palec, ani żadna inna część ciała nie zawiera całego naszego ducha, chociaż on ogarnia pojedyncze członki. Tak i absolutna osobistość jest substancją, przenikającą wszystkie pojedyncze duchy, ale wie o sobie, jako jedność, wyłącznie w całości swojej -- nie w jakimś jednym, oddzielnym członku.“

„Absolutna całość wie sama o sobie; a ta zupełna świadomość nie może zamieszkać na żadnym punkcie peryferyi, w żadnym duchu skończonym, lecz tylko w centrum, w samej powszechności, przez której żyły przepływa dusza jako technienie, bo ona jest jej ciałem.“ „Świadomość wszystkich jednostek i narodów to przewody, przez które powstaje indywiduacja nieskończonej osoby: albo raczej wszystkie te momenty są jakościowemi określeniami, płynącemi z płodnego podścieliska, którem jest absolutny subjekt.“

Charakter „cząstek Bożego ciała“ przyznany ludziom, bynajmniej nie znaczy, by Bóg miał być od ludzi zależny, by Bóg szukał sam siebie poprzez wszystkie błędne ścieżki ludzkiego rozu-



mowania, by sam siebie znaleźć nie mógł, dopóki oni nie odkryją Go. „Cały proces dziejów ma dopiero wznieść każdą jednostkę na poziom, wymagany przez obecność w niej osoby absolutnej i do wiedzy o niej.“ „Czem absolutna osobistość jest od początku, tem osobistość skończona ma się stać poprzez długą walkę historii.“

Nie Bóg jest zależny od życia ludzkości, lecz dopiero „doskonałe i dokonane jednostki rozplywają się niejako w tej świadomości siebie, jaką posiada całość, tak, że myśli ich są myślami Absolutnego, myśli Absolutnego ich myślami;“ a i to z tem zastrzeżeniem, że „Absolutny jest ogarniającą zupełnością wszelkich indywidualnych określeń i myślowych ogólników, podczas gdy błogosławieni, jako momenty Jego, niemi się dzielą, otrzymując tak ze skarbów Jego obiecane dziedzictwo.“

#### IV.

Jeżeli kwestya pogrobowej pamięci była jedyną, nad którą doszło do konfliktu między poglądami obu przyjaciół, to znaczyć to oczywiście nie może, by na inne tematy nie była zachodziła wymiana zdań między nimi. Lecz te dalsze epizody ich stosunku nie pozostawiły w korespondencji głębszych śladów. Jeżeli Krasieński nalega na Cieszkowskiego, by w historycznym określeniu chrześcijaństwa zachował konieczną miarę, nie zapomniał o absolutnym charakterze osoby Chrystusowej — to przyznaje zarazem, że czyniąc to, przypomina mu tylko jego własne zdanie.

Echem poważniejszego jakiegoś nacisku ze strony Krasieńskiego zdaje się być list już wspomniany, w którym treść całego swego oddziaływania na Augusta określa on jako walkę przeciw wpływowi niemieckiemu. A jeżeli ma tutaj na myśli sprawę pogrobowej pamięci raz jeszcze, to nie o niej wyłącznie jest mowa. On walczył o to, by w „prośbach“, t. j. w „Ojcie Nasz“, nie panowała „miłość ludzkości bez Boga na niebie i dalszych losów każdego z nas.“ On odsuwał od nich „ten nakłon, tę pochyłość, tę przekłątą niemiecką flegmę i zadowolenie, wiodące ku zagilotynowaniu Boga w niebiesiach,“ a ustanowienia na ziemi zwierzęcego raju.

Chodzić zawsze musiało o tę samą walkę przeciw supremacyi przedmiotowego ducha. Więc jeżeli w listach do pani Delfiny, wiananych krótko po ślubie, wspomina Krasieński o czytaniu z Au-

gustem jego dzieła, o ostatecznej krytyce, którą nad niem pełni, to widocznie ta krytyka nie była cczą formą. We dwa lata później donosi jej wyraźnie: „Wiesz, że walczyłem przeciw niektórym rzeczom tam — i wywalczyłem wreszcie, czyli raczej prawda sama wywalczyła, czego chciałem.“ Gdy powraca myślą do tych niebezpieczeństw, które groziły Augustowi, a o których zażegnanie sam niestrudzenie zabiegał, strach zdejmuje poetę. Wydaje mu się, jak gdyby widział nanowo przepaść, nad którą niegdyś, podczas jakiejś alpejskiej wędrówki, przyjaciel zawisnął w jego oczach.

Daje więc ta korespondencya świadectwo niezaprzeczonemu wpływowi Krasińskiego na całą twórczość Augusta Cieszkowskiego, na ukształcenie się jego najważniejszego dzieła. Będzie ona zarazem z ogłoszonych dokumentów pierwszym, który nas zbliży ze strony ludzkiej i osobistej z autorem „Ojciec Nasz“, który odsłoni przed nami choć niektóre epizody z jego moralnej historii. W pierwszych zaraz listach spotykamy jego szkic psychologiczny z lat młodych, ręką mistrza skreślony przez Krasińskiego. Przesuwa się tutaj przed oczyma wizya jakiejś niezmiernej równowagi i harmonii, a zarazem zwycięskiej, nieprzepartej, duchowej siły. Zderzenia z rzeczywistością przychodzą o swojej porze, odbijają się w tej korespondencyi chwile zniechęcenia i upadku na duchu, dolatuje echo prób czy pokus, w których się każda cnota zahartować musi.

Co prawda to pod tym względem korespondencya Krasińskiego z Cieszkowskim dopiero uzupełniona listami do pani Delfiny Potockiej przedstawiać będzie pewną całość. Tam, po hołdach dla potężnego rozumu Augusta, usłyszemy, jak na grobie opiekunki dzieciństwa swego skarżył się na sieroctwo swoje, jak onieśmielony w zetknięciu z kobietami „dzieckiem się stawał“, on, który „wobec każdego męskiego ducha był olbrzymem.“ Ile było w tem prawdy, gdy Krasiński, rozdarty i rozdrażniony sam nad miarę, donosił pani Delfinie z Warszawy, że u Augusta także „chora dusza i serce zbiedniałe“; ile było słuszności w jego obawach o przyjaciela podczas jego pobytu w Paryżu, gdy go tak przestrzegał przeciw rozstrzeleniu, przeciw utonięciu w tym Babilonie, o tem wyrokować trudno. Bądź jak bądź, wszystko to usuwa tę niezmierną odległość perspektywy, w jakiej się ukazuje autor książki tego zakroju, co „Ojciec Nasz“, a przez to samo daje miarę wysiłku, miarę wzbicia się ponad siebie samego, który jest w dziele złożony.



Niewątpliwie wrażenia Krasińskiego musiały się nieraz bardzo zabarwiać jego własnem usposobieniem. Świadectwem jednak wyraźnem jakiegoś poważnego przesilenia u Cieszkowskiego pozostanie przerażona odpowiedź poety na list, w którym mu się przyznał, że ma ochotę, jak „Wirgili, drzeć i palić.“ Zygmunta za zdradę kraju, za niesłychane szaleństwo i głupstwo poczytałby zniszczenie, dla nieznacznych niedomagań jeszcze nieusuniętych, tego dzieła, w którym tyle jest jego serca i tyle umysłowej potęgi Cieszkowskiego, a które narodowi takie potrzebne, takie konieczne, jak manna przyszłości. On sam czcionki składać będzie, byle ono doczekało się wydania.

Ile razy jest mowa o „Ojczyźnie Nasz“, tyle razy powraca pod piórem Krasińskiego ta nuta głębokiego zachwytu. Czuje widocznie jakieś podniesienie na duchu, wstępuje w niego pogoda i nadzieja, wobec których milkną wszystkie dolegliwości, wszystkie zwątpienia chwili obecnej. W listach do Delfiny Potockiej występuje to na jaw szczególnie jasno. W czasach najbardziej ponurych, w okresach najgłębszej melancholii zawsze promień światła błyska w jego korespondencyi, ile razy zetknął się z dziełem Cieszkowskiego. I stają wtedy przed oczyma wyobraźni te zaciszne a natchnione godziny, kiedy w wierzenickim dworze, wśród jęków jesiennego wiatru, przy ogniu, płonącym na kominię, August Cieszkowski czytał autorowi „Przedświtu“ swój nieśmiertelny komentarz do Modlitwy Pańskiej. Wtedy Krasiński zapominał o swej domowej niedoli, o fałszywości położenia, które sobie stworzył, o swej cielesnej niemocy i kąpał ducha w żywych zdrojach myśli.

Co tu powiadamy o szczególnem uczuciu, jakie w nim budziło dzieło przyjaciela, o niezawodnym wpływie, jaki nań wywierało jego czytanie, to sam przyznaje i wyraża w jednym z listów do pani Delfiny. August wyrwał się wreszcie pod wiosnę r. 1846 z Paryża i oto, pisze Krasiński, „w cichej ustroni, w saloniku willi nicejskiej jednej dokończa się dzieło, które wiele nowych wyobrażeń rzuci w sumienia ludzkie. Jakem ciągle utrzymywał i dotąd utrzymuję — to dzieło będzie znaczyć w historii świata. Illuzją to nie jest — od lat 8-miu to samo myślę, ilekroć odczytuję je, a zawsze odczytuję w innych okolicznościach, w innym wieku życia, w innem usposobieniu. To samo wrażenie, niepożyte, trwa.“

Osobną kartę w historii tej przyjaźni, co tak trwale się zapisała w dziejach ducha polskiego, poświęciłby należało oddźwiękowi, jaki w niej znalazła wielka, a tak nieszczęśliwa miłość

Zygmunta Krasińskiego. Wplotła się ona w jego życie strumieniem natchnienia i niezrównanej poezyi. Niebawem zatruta z jego winy, wydała tragedję potężnego talentu, zużywającego się na bezpłodnej szarpaninie, wyczerpaniu się sił i tak skąpych, i tak ledwo zdolnych polotom ducha nastarczyć, na szamotaniu się rozpaczliwem z położeniem bez wyjścia. Głęboka rozważa Cieszkowskiego, którą Zygmunt tak wysoko w nim cenił, jego takt moralny, niemniej jak jego przyjaźń dla niego, znalazły tu przed sobą rozległe, jeżeli nie wdzięczne pole.

Zdaje się, że Cieszkowski musiał należeć do tych, którzy namawiali poetę do małżeństwa. Inaczej nie zwracałby się do niego z tym krwawym wyrzutem: „Biada mi, żeś Was słucał mimo krzyku sumienia mego!“ I nic w tem dziwnego, jeżeli ten człowiek młody, a żyjący tylko dla myśli swoich, nie znający duszy ludzkiej zgoła z tej strony, nie zdawał sobie sprawy, w jakie głębie zapadło u Zygmunta uczucie dla ukochanej.

Krasiński, krótko po ślubie, spędził u niego w Wierzenicy dni kilka i wtedy to Cieszkowski musiał zrozumieć wielkość nieszczęścia, które zaszło. I jeżeli wszystko nie myli, przemawiał wówczas za tem, by Krasiński koniec położył istnej potworności, jaką było w tych pierwszych czasach jego małżeństwo.

Tymczasem siła rzeczy inaczej pokierowała zdarzeniami. Cieszkowski, widząc, że się wypadków zaszłych niebyłymi nie uczyni, a może też prawdziwszą miarą mierząc charakter pani Delfiny Potockiej—musiał radami swemi zadrasnąć drażliwego na tym punkcie niesłychanie Zygmunta, który mu zarzuca jego „rozsałek, nie połączony z miłością.“ Zwracał mu też uwagę, by się nie wyczerpywał codziennem pisanem do niej. Odpowiedź Krasińskiego służyć będzie mogła za motto tej wspaniałej, ale zarazem tak głęboko tragicznej korespondencyi: „Wolę te listy pisać codzień, niż najpiękniejszą pieśń, za którą mi Anioł wieków ślubował dać nieśmiertelność.“

Chwila nieporozumienia trwa krótko—a pozostają z niej przedewszystkiem niezrównanie piękne listy Zygmunta Krasińskiego, akcentem równające się niemal wyznaniom skierowanym wprost do pani Delfiny. Zgasła w jego uczuciu wszelka zmysłowość, pozostało już to tylko, co miłość w mężczyźnie rozniecić może najszlachetniejszego. On dziś odpowiedzialny za moralną godność ukochanej, niema prawa zdać ją na łaskę losów, czuwać nad nią, kierować nią i nadal musi. On jeden opieką jej wśród kolei przeciwnych. Za wiele już jego ducha weszło w to uczucie, by go się miał wyrzec. Może on tę duszę uczynił wznioślejszą, mo-



że do zbawienia jej się przyczynił. Jakże wymagać od niego, by ją porzucił. Ile będzie mógł, będzie się korzył przed nią, ile będzie mógł, wołać będzie o jej przebaczenie, ile będzie mógł, kochać będzie słowem i czynem.

Listy do Cieszkowskiego winny przyczynić się do tego, by z sądów o tej miłości, przynajmniej o ile chodzi o jej fazę późniejszą, wyłączyć raz na zawsze pospolite kryteria, a otoczyć ją tem poszanowaniem, tym urokiem najwyższej poezyi, na jakie zasługuje uczucie, co „Przedświt“ natchnęło i skąpało się w jego blaskach.

Zresztą, co się odnosi do miłości Krasińskiego, nie odnosi się do osoby pani Delfiny Potockiej. Listy jego do niej, stanowiące tak wymowną apologię Zygmunta Krasińskiego, zawierają właśnie niejedną wskazówkę, że nie uniała ona utrzymać się na tych wyżynach, na których on szybował w swem uwielbieniu dla niej. Lecz jeżeli moralna wartość bohaterki tej tragedyi miłości, drugiego po „Dziadach“ wielkiego dramatu miłości, którego pamięć zachowa nazawsze literatura polska, nie dorosła do roli, jaką jej przyszło odegrać, to sama obecność na scenie Agusta Cieszkowskiego dostateczną wydaje się być poręką, że o coś więcej tam chodziło, niż o to, co stanowi pokarm dla ciekawości gminu.

Listy Krasińskiego, wstrząsające nas dzisiaj, nie mogły przejść bez wrażenia mimo tego, do którego były skierowane i dla którego one były świeżym odgłosem rzeczywistości. Cieszkowski starał się rozstrzygnąć dylemat najprzód w jednym kierunku, potem w odwrotnym. W końcu uchylił czoła przed przemożną siłą rzeczy. Jego stosunek przyjacielski względem pani Krasińskiej nie ulega wątpliwości. Ale pewnych praw nie odmawia i dawniejszemu uczuciu poety, tak jeszcze podniesionemu cierpieniem. I pani Delfinie daje on wyraźne dowody przychylności, nie waha się chwilami pośredniczyć między nią a Zygmuntem. Pod jej dachem przygotowany zostaje do druku pierwszy tom „Ojczyzna Nasza.“ W listach Krasińskiego akta tej sprawy zawarte są dość kompletnie, a nic nie upoważnia do uczynienia Cieszkowskiemu zarzutu, że był sędzią lekkomyślnym lub zbyt giętkiego sumienia.

Pod względem formy listy do Cieszkowskiego należeć będą do najcenniejszych, jakie wyszły z pod pióra Krasińskiego. Dźwięk jego słowa nigdzie nie jest czystszy ani bardziej głęboki, bogactwo języka, rozlewność jego barw nigdzie bardziej zadziwiająca. A powaga poruszanych tematów, cały charakter stosunków z Cieszkowskim może nawet i pod względem formy nadają temu zbiorowi pewną nad innymi wyższość. Wydaje się, jak gdyby jakiś

naturalny dobór był się tu dokonał. Mniejszą w nim grają rolę drobne zdarzenia, zdolne nieraz dziwnie silnie odbijać się na wrażliwym usposobieniu poety, tak skłonnego do podnieceń. Ledwie niekiedy dochodzi odgłos czczych rozpraw ludzkich i ludzkiej obmowy, zasłyszanych opowiadań, przywiezionych nowinek. A Krasieński niezawsze na nie był odporny. Zwłaszcza, gdy bywał daleko od pani Delfiny lub gdy o jej sprawy chodziło, pod wpływem obaw czy tęsknoty, słuchał chciwie wszystkiego, co wiatr przynosił z tej strony. W listach do Cieszkowskiego to wszystko zepchnięte na plan drugi. Doniosłe kwestye, o które tu chodzi, wielkie, wspólne wiary rozwiązują mu skrzydła i rozszerzają piersi, dobywają pełni jego sił, sięgają w głąb jego uczuć.

A jest z nich jedno, które nigdzie nie wypowiedziało się równie doskonale i pięknie: przyjaźń. Dla Cieszkowskiego nie czuł jej Krasieński z tem samym uniesieniem, z tem oddaniem się instynktownem, zupełnem, z jakim kochał Danielewicza. To był jego „absolutny przyjaciel.“ Na jego grobie wypisał krzyk swej rozpaczki; pomnik trwalszy mu postawił w postaci Aligiera z „Niedokończonego Poematu.“ Lecz żywe wyrazy tej przyjaźni się nie zachowały, bo jej dzieje, to nieprzerwane przez lat kilka współżycie.

Ale gdy się czyta listy do Cieszkowskiego, doprawdy zapytać się przychodzi, co ten człowiek był zdolny czuć względem przyjaciół, jeżeli to wszystko, co się tu wypowiedziało, jeszcze nie było u niego najwyższym jej wyrazem.

Stosunek to męski, prosty, otwarty. Zarzuty swoje teoretyczne Krasieński wypowiada bez żadnych wstępów, bez żadnych zawiłych tłumaczeń. Mówi najjaśniej o „zdrewnieniu“ Cieszkowskiego, o jego „uporze.“ Nawet drażliwość wszelkiej dyskusji na temat stosunku do pani Delfiny nie krępuje przyjaciół, ust im nie zamyka zakłopotaniem. Cieszkowski pisze do Zygmunta „kazania“, ustnie zarzuca mu małoduszność, brak serca — Krasieński w odpowiedziach uskarża się, że go „potężnie zarznął w serce,“ zachowanie się jego nazywa „twardą nieużytością w tykaniu świętych uczuć.“ A gdy Krasieński wśród nerwowych udęczeń zażyje eteru, Cieszkowski natychmiast mu napisze „wyrzutów i zarzutów tysiąc,“ nazwie jego krok „gwałceniem ducha,“ „każe mu się wstydzic.“ Czy tego nie dosyć, by poróżnić dwóch ludzi, których przyjaźń by nie była tak oparta na prawdzie, tak wolna od miłości własnej, tak wyzwolona z wszelkiej małostki.

Każda ze spraw ludzkich, by być trwałą i wielką z poza siebie i z ponad siebie, mieć musi swe usprawiedliwienie i czer-



pać treść swoją. To pewnie cała tajemnica stosunku tych dwóch górnych duchów. Mogły być rozdźwięki i konflikty, chwile żalu lub zniecierpliwienia. Dominujący fakt ich życia, moralny pierwiastek ich istnienia był silniejszy nad to wszystko, a ten był wspólny. Wśród samotności wyżyn, po których stąpali, każdy z nich znajdował w drugim jedyne go towarzysza, na którym mógł polegać. Oni czuli, oni wierzyli, że w zaciszu ich obcowania wykluwa się i gotuje wielkie jutro świata. Związek, zawarty w jedności takiej wiary, nie mógł być rozerwalny.

To też obok kilku przykładów, jak daleko iść może w przyjaźni prawdomówność i bezwzględna rzetelność, znajduje się w tej korespondencji nieprzebrane bogactwo rysów, świadczących o jakiejś niewieściej czułości w przywiązaniu,—zachodzi wielorakość wyrazów na to jedno uczucie tak wytwornie rozmaite, a tak zawsze świeże, tak żywe i głębokie, że trzeba było mieć duszę Krasińskiego i jego pióro, by ją uczuć i wypowiedzieć. Niema prawie listu, któryby nie zawierał takiego klejnotu i języka i serca.

Czy wspólność przekonań kiedy tkliwszy rys wydała, jak to zdanie: „Wielu pojma Twój rozum. Jedno serce moje Twoje rozumiało. Chciałbym, odchodząc, serce Ci zostawić na ziemi.“ Albo, czy przyjaźń doskonalej wyrazić się mogła, jak w tym liście, w którym poeta namawia Cieszkowskiego do małżeństwa, by go zabezpieczyć na przyszłość od osamotnienia i zwątpień. Zabraknie kiedyś tych, co go kochali w młodości, a nowi ludzie nigdy, nigdy nie zastąpią starych przyjaciół. I jest list, pisany w sprawach osobistych Cieszkowskiego kilka dni przed śmiercią Danielewicza, w przekonaniu, że nie przeżyje nocy, zakończony słowami: „Kochaj mnie za list ten dzisiaj.“

Lecz niepodobna przytaczać więcej przykładów, bo to nie pojedyncze wypadki, to cała jedna strona, to żywa prawda tych listów. To chyba zdanie jeszcze podkreślić warto, bo ono ją pełniej od innych nie zawiera, ale tłumaczy: „Dwa razyś mi się zjawiał w życiu — raz, gdy byłem woskiem dziecinnym, wbiłeś się, i drugi raz, gdym był złotem roztopionem i wrzajem, znów wbiłeś się i na wieki.“ Więc też z Wierzenicy wyjeżdża Krasiński, tak jak niegdyś wyjeżdżał z miejsc, gdzie mu „dobrze, błogo i błękitno było“; pani Delfinie donosi, że przyjaźń Augusta wyszła na jaw silniej, niż kiedykolwiek, w jednej z takich chwil, „które się stają probierczemi kamieniami ludzi.“ To wystarczy, by być pewnym, że niezrównane tony, jakimi brzmi ta korespondencya, nie pozostawały bez wzajemności, nie odbijały się się o głuchotę, ani obojętność.

Przyszłość zawyrokuje, ile było prawdy w przekonaniach Krasińskiego, o ile rozum jego i jego czucie wieszczce odgadły istotnie te drogi, po których wędrować wypadnie historyi. W świecie dziejów, które dopiero nadchodzą, postać jego zmaleje lub się wyolbrzymi. Lecz jeden tytuł wielkości zdobył Zygmunt Krasiński już za życia, taki, którego nic mu nie odejmie, ani nie naruszy. A zawarty on w tem wyznaniu: „Mało kto w życiu był tak kochany, jak ja.“

ADAM ŻÓŁTOWSKI.



# EWOLUCYONIZM W HISTORII LITERATURY.

## I.

Mówiąc o teorii ewolucyjnej w zastosowaniu do historii literatury, trzeba najpierw pamiętać o tem, że teoria ta, zrazu tylko filozoficzna i przyrodnicza, dostaje się tu w ręce dyletantów, którymi są historycy literatury często w zakresie filozofii, a zawsze w dziedzinie biologii. To też darować im trzeba, jeżeli posługując się pojęciem ewolucyi, podkładają pod ten wyraz co-raz to inną treść. Pojęcie to, rozpowszechnione już przez filozofię Hegla i jego następców, stało się modnem od czasu epokowych dzieł Darwina. Używano nazwy, niezawsze wiedząc, jaka teoria jej odpowiada, a nietylko historycy literatury popełniali ten grzech. W dziedzinie studyów literackich zauważyć można trzy sposoby rozumienia wyrazu „ewolucya.“

Jednym zdawało się, że jeżeli piszą bezpretensjonalny szkic o zjawiskach i przemianach w pewnym zakresie literatury, to mogą swą pracę nazwać *ewolucyą*, zamiast *historyą* danych zjawisk, bo historia wkłada na badacza zbyt liczne i poważne obowiązki. Dla takich więc pisarzy ewolucya oznaczała pewną grupę (nawet nie szereg) faktów, które się dokonały w łonie oznaczonej dziedziny literackiej. Tak np. w r. 1890 Ernest Tissot zbiera w jeden tom sześć luźnych szkiców, poświęconych krytykom francuskim z drugiej połowy XIX w., a tom ten opatruje obiecującym i modnym tytułem: „Les évolutions de la critique française.“ Podobnych dzieł, niby ewolucyi poświęconych, mógłbym kilka wymienić. Nie będę się na nich zatrzymywał, ponieważ są owocem oczywistego nieporozumienia.

Druga grupa krytyków i historyków literatury ujmuje pojęcie ewolucji o wiele głębiej. Dla nich ewolucja oznacza już pewną ciągłość przemian, oznacza szereg zjawisk literackich, związanych z sobą wewnątrz, a wreszcie — rozwój, któremu literatura ulega. W tym duchu powstały prace poważniejsze, a nawet tak cenne, jak „Ewolucja literacka w różnych rasach ludzkich“ („L'évolution littéraire dans les diverses races humaines,“ 1894) znakomitego antropologa i socjologa, Karola Letourneau. Uczony ten wykazuje na wielkiej liczbie faktów, że pierwotną formą poezji u wszystkich ludów jest rodzaj dramatu, połączonego z muzyką i tańcem. Z tych pierwotnych tańców chóralnych wyłania się najpierw liryka, jeszcze z muzyką połączona i służąca zwykle do celów kultu, następnie rozwijają się inne typy twórczości literackiej. Rozwój literatury postępuje równolegle do rozwoju wszystkich form życia społecznego. Zastój w życiu społecznym znajduje echo w upadku literatury. Jakkolwiek badaniom tym nie można odmówić poważnego znaczenia, jednakże zarówno w tym wypadku, jak w wielu podobnych, trzeba zauważyć, że badacze literatury, pisząc o *rozwoju* form, rodzajów, kierunków literackich, zbyt często posługują się wyrazem *ewolucja*, skoro na oznaczenie rozwoju we wszystkich znanych mi językach istnieje wyraz osobny (Entwicklung, developpement, svolgimento etc.). Ta zamiana wyrazów zawiera w sobie błąd, ponieważ pojęcia ewolucji i rozwoju nie zupełnie sobie odpowiadają. Pisarze nowocześni, rozumiejący przez ewolucję tylko rozwój nieustanny i postęp, nie potrzebowali teorii tej pożyczając od biologów. Pomysły te znajdowali obficie u pisarzy wieku XVIII, w szczególności zaś u Herdera i romantyków niemieckich. Herder to z ewolucjonizmu przyrodniczego wyprowadził całą swą filozofię ludzkości, której podstawą było pojęcie ciągłego rozwoju, doskonalenie się człowieka, jego postęp we wszystkich objawach życia, a więc i w dziedzinie twórczości.

Dopiero trzecia, najmniej liczna grupa krytyków i historyków literatury przyjęła teorię ewolucji w całej rozciągłości tak, jak ją znalazła w dziełach przyrodniczych z drugiej połowy ubiegłego wieku. Już od połowy tego stulecia historycy literatury czuli pociąg do teorii i metod przyrodniczych. Imponowały im wielkie odkrycia w dziedzinie nauk przyrodniczych, czytali dzieła Cuviera, Lamarcka i Geoffroy Saint-Hilaira, a spostrzegając pewne analogie między zjawiskami w przyrodzie a zjawiskami w literaturze i sztuce, sądzili, że pożytecznie będzie przenieść na tę dziedzinę metody już wypróbowane. Sainte-Beuve dowodził,



że można klasyfikować umysły twórcze podobnie, jak w botanice klasyfikuje się rośliny; sam rozróżniał „rodziny“ umysłów i chciał się, że uprawia „histoire naturelle des familles d'esprits.“ Atoli, gdy Sainte-Beuve obracał się tylko w sferze analogii, Hipolit Taine poszedł krok jeszcze dalej. Wychodził on z założenia, że skoro człowiek należy do świata organicznego, skoro jest tylko najwyższym ze zwierząt, więc prawa biologiczne stosują się do wszystkich objawów jego życia. Taine nie wątpił, że metody i teorye przyrodnicze dadzą się stosować i do dzieł literackich, ponieważ dzieła te są emanacją człowieka. To też w wykładzie swej teoryi powołuje się na cały szereg przyrodników, głównie biologów. Dla deterministy Taina utwór literacki, umysł twórczy — były koniecznym wynikiem wielu przyczyn, które tak się złożyły na jego powstanie, jak pierwiastki chemiczne składają się na cukier lub witryol. Na podstawie jednego utworu snuł daleko idące wnioski, naśladując Cuviera z jego nieśmiertelną szczęką.

Pod wpływem teoryi Taina i jego własnych prób zastosowania, historycy literatury coraz pilniej zaczęli zaglądać do pism Darwina i Haeckla, później do dzieł Herberta Spencera — i wreszcie teorya ewolucyi z całą swą terminologią przedostała się do badań literackich. W Anglii znany krytyk, J. A. Symonds, jeden ze szkiców („Essays Speculative and Suggestive,“ 1890) poświęcił „zastosowaniu zasad ewolucyonistycznych do sztuki i literatury.“ W szkicu tym Symonds stara się sformułować prawo, któreby wyjaśniało wzrost, rozkwit i upadek literatury. Każdy typ sztuki czy literatury, skoro tylko powstanie, musi się dalej rozwijać i ujawniać strukturę, którą zaród jego zawierał w stanie potencjalnym. Ponieważ struktura ta rozwija się progresywnie, staje się rzeczą niemożliwą nawrócić do przeszłości. Dlatego to w życiu literatury minione układy pierwiastków twórczych nie wracają nigdy w tym samym układzie ani postaci.

Podobnie w Rosyi historyk M. Kariejew już w r. 1886 puścił w świat książkę p. t. „Ewolucya literacka na Zachodzie,“ gdzie wyjaśnia rolę wpływów życia na twórcę wobec t. zw. tradycyi literackiej. W r. 1888 Włodz. Płotnikow wydał swe studyum (napisane w r. 1880) p. t. „Główne zasady naukowej teoryi literatury.“ Cały rozdział, poświęcony „dynamice literatury,“ oparty został na dziełach Darwina, Spencera i Taina. Zawiera on teorye i prawa biologiczne oraz socyologiczne, pod które podciągnięto tu literaturę, zresztą tylko ogólnikowo, bez szerzej rozwiniętych przykładów. Zasadą życia literatury Płotnikow czyni ewolucyę,

która się wyraża w różniczkowaniu i całkowaniu rodzajów literackich. Ogólne prawo dyferencyacji, będące koniecznym warunkiem wszelkiego rozwoju, w dziedzinie literatury ma jeszcze osobną podstawę psychiczną. Jest nią różnorodność duchowych uzdolnień w związku z różnaitością warunków, w których rozwijali się twórcy. Następnie Płotnikow wprowadza prawo działania nieskończenie drobnych przyczyn, pożyteczne dla wyjaśnienia masowych nastrojów literackich, na które składają się nastroje poszczególnych, często miernych pisarzy. Dalej prawo o wpływie całości na części i odwrotnie części na składającą się z nich całość, które wyraża się we wpływie literatury pewnego okresu na poszczególne utwory i utworów tych na cały bieg literatury. Zaznacza też prawo transformacji, według którego nic w literaturze nie ginie, lecz tylko się przetwarza, przekształca. Widzi też autor w dziejach literatury zjawiska walki o byt, doboru naturalnego, przystosowania, mimetyzmu i kulturalnych przeżytków.

Równocześnie znalazł się we Francji człowiek, który obserwując krytykę Taina, opartą na teoriach Geoffroy Saint-Hilaira i Cuviera, powiedział sobie, że można pójść jeszcze dalej i krytykę taką uzupełnić lub nawet zamienić na inną, któraby się opierała o teorie przyrodnicze Darwina i Haeckla. Człowiekiem tym był znany badacz i krytyk literacki, Ferdynand Brunetière.

## II.

Pod koniec roku 1889 Brunetière, wówczas profesor Wyższej Szkoły Normalnej, wygłosił szereg wykładów, które w r. 1890 wydał jako tom pierwszy dzieła, zamierzonego na większą skalę. Tytuł ogólny brzmi: „L'évolution des genres dans l'histoire de la littérature“ („Ewolucja rodzajów w historii literatury“). Ten tom pierwszy poświęcony jest dziejom krytyki literackiej we Francji, a w rozdziale wstępnym znajdujemy właśnie wykład teorii ewolucji w zastosowaniu do zjawisk literackich. Brunetière wychodzi z założenia, że współczesna historia literatury stoi na złej drodze. Dzieła historyczne o literaturze są tylko zbiorem studyów monograficznych, zestawionych razem i połączonych wątlą nicią. Zamiast zacząć od rozpoznania i scharakteryzowania całych epok, dzieła te zaczynają od szczegółów i gubią się w nich, zatracając wszelką perspektywę. Nie spostrzegamy tam ani idei ogólnej, ani powszechnego związku przedstawionych



zjawisk. Nie są to właściwie historie, ale słowniki (dykcyonary) autorów, gdzie poszczególne artykuły ułożono nie w alfabetycznym, ale w chronologicznym porządku.

Aby złemu zaradzić, trzeba przedewszystkiem historię literatury uprościć, trzeba ją uwolnić od ciężaru drobnych szczegółów, pod którym się dusi. Trzeba pamiętać, że jeden wybitny autor wystarcza do zrozumienia całej szkoły, całego kierunku, którego jest przedstawicielem. Dlatego nie warto zatrzymywać się na pisarzach i dziełach bez większego znaczenia historycznego, ale dążyć należy do ujęcia procesów historycznych w ogólne ramy, w ogólne linie i typy charakterystyczne. Do tego ma nas zaprowadzić teoria ewolucyi, zastosowana do badań literackich. Skoro nauki przyrodnicze, socjologia i historia osiągnęły już, jak się zdaje, pewne korzyści z zastosowania tej nowej teoryi czy hipotezy naukowej, przeto ciekawą jest rzeczą spróbować, czy historia literatury i krytyka nie dojdą przez ewolucyonizm do pewnych zdobyczy.

Że ewolucya literatury i sztuki nie jest tem samem, co historia pewnego rodzaju, to zobaczymy na kilku przykładach. Malarstwo nowożytne jest u swych początków malarstwem religijnem. Od tego rodzaju odrywa się niebawem osobna gałąź—malarstwo mitologiczne, które trwa równocześnie obok religijnego. Z mitologicznego wyłania się niebawem historyczne, i już w szkole weneckiej widzimy oba te rodzaje. Lecz cóż było prostszego, jak z obrazów historycznych wyłączać osobne postaci—i oto z rodzaju historycznego rozwija się nowy rodzaj portretowy. Stoimy już wobec Rembrandta i jego genialnych portretów. Połączmy kilka portretów na jednym płótnie, ugrupujmy postaci w jakiejś scenie z życia, a otrzymany obraz rodzajowy. Tak więc przenosząc stopniowo uwagę na ugrupowanie i otoczenie tych postaci, na ich środowisko, dochodzimy do malarstwa rodzajowego. Nakoniec zatrzymajmy uwagę wyłącznie na tem tle i otoczeniu, a powstaje malarstwo pejzażu i martwej natury. Oto przebiegliśmy cały szereg rodzajów, z których każdy nowy rozwiął się w naturalny sposób z poprzedniego.

Weźmy drugi przykład z literatury francuskiej. Na początku widzimy epopeę narodową—*chanson de geste*. Są to fikcyje poetyczne na tle historycznem. Niebawem pierwiastek historyczny wyosabnia się, aby stworzyć pamiętniki i historię, a pierwiastek fikcyjny rozwija się dalej w romansach cyklu bretońskiego o Parsifalu, Tristanie, Lancelocie. Z tych romansów, zrazu wierszowanych, potem przerabianych na prozę, rozwinie się w XVI wieku

romans awanturniczo-rycerski, oderwany od życia realnego, pełen swobodnej fantazyi. Z niego znów wyłoni się romans pseudohistoryczny wieku XVII, uprawiany przez Gomberville, La Calpreneda i pannę Scudery. W grupie tych romansów znajdujemy już aluzye do stosunków rzeczywistych, a panna Scudery nawet portretowała znane osobistości współczesne. Zaprowadziło to już wprost do powieści obyczajowej tego typu, co *Princesse de Clèves*, *Gil Blas*, *Manon Lescaut*...

Te dwa przykłady, zdaniem Brunetièra, wystarczają, aby zrozumieć, że przemiany form i rodzajów literackich nie są następstwem przypadkowym, ale z natury rzeczy wynikającym, wewnątrznie koniecznym. Stosunek między kolejnymi formami nie jest czysto chronologiczny, lecz zarazem genetyczny. Otóż ten stosunek należy bliżej zbadać, a skoro zagadnienie to rozwiążemy, wówczas zapytamy się, jakie prawa rządzą tem następstwem. Inaczej mówiąc, zadamy sobie pytanie, czy jest tam coś analogicznego do „postępowego różniczkowania,” które w naturze żywej oznacza przejście od jednorodnego do różnorodnego.

Zagadnienie ewolucyi rodzajów literackich ujmuje Brunetière w pięć następujących punktów. Po pierwsze—istnienie rodzajów; rozstrzygnąć tu trzeba czy rodzaj literacki jest czemś realnem, czy też tylko nazwą, pustym wyrazem, który nas w błąd wprowadza. Brunetière odpowiada, że rodzaje w literaturze i sztuce muszą istnieć jako coś rzeczywistego, ponieważ są skutkiem różnorodności środków technicznych i różnorodności przedmiotu każdej sztuki, a nadto odpowiadają różnym organizacyom duchowym, z których każda ma swoje upodobania i ideały.

Punkt drugi dotyczy różniczkowania rodzajów; zagadnienie analogiczne do sprawy powstawania gatunków w przyrodzie żywej. Brunetière twierdzi, że rodzaje literackie różniczkują się na podobieństwo gatunków w świecie roślinnym i zwierzęcym. Dzieje się to stopniowo przez przejście od jedności do wielości, od prostego do złożonego, od jednorodnego do różnorodnego. Wymaga to oczywiście licznych dowodów i przykładów, których jednak autor na razie nie podaje.

Punkt trzeci, o utrwaleniu rodzajów, ma wyjaśnić warunki ich względnej trwałości. Brunetière sądzi, że rodzaj literacki przez czas swego trwania przechodzi fazy młodości, dojrzałości, a wreszcie wyczerpania i zaniku.

Punkt czwarty obejmuje czynniki, wywołujące przemiany rodzajów (*modificateurs des genres*). Rozróżnić można trzy kategorie tych czynników: rasę czyli dziedziczność, środowisko



i indywidualizm. Przez środowisko rozumie autor warunki geograficzne, społeczne i historyczne. W ten sposób Brunetière w jednej kategorii środowiska pomieścił *milieu* i *moment* Taina. Nie był to zresztą jego wynalazek, bo już bezpośredni krytycy teorii Taina oddawna dowodzili, że jego chwila historyczna (*le moment*) da się objąć kategorią środowiska. Natomiast Brunetière dodaje nowy czynnik, czyli—jak mówi—siłę (*une force*), mianowicie indywidualizm. Przez indywidualizm rozumie on ogół właściwości, które sprawiają, że dany osobnik jest *jedynym*, że wprowadza on do dziejów literatury coś, czego jeszcze dotychczas nie było. Indywidualizm jest, według Brunetièra, czynnikiem analogicznym do idiosynkrazyi w przyrodzie (o czym pisał Darwin w dziele „O pochodzeniu gatunków“).

Nakoniec punkt piąty o przemianie rodzajów jest ostatecznym pytaniem, czy istnieje jakieś ogólne prawo ewolucji rodzajów, czy też każdy rodzaj zosobna ulega innym prawom. Brunetière dopatruje się w literaturze procesów analogicznych do walki o byt, do utrzymania się najlepiej przystosowanych, a wreszcie do doboru naturalnego w przyrodzie.

Wszystkie punkty swojej teorii autor obiecuje w przyszłości udowodnić na obszernych przykładach. Obiecuje więc dać historię tragedii francuskiej na dowód, że pewien rodzaj literacki powstaje, osiąga swą doskonałość, chyli się ku upadkowi i zamiera. Następnie zamierza wykazać, jak jeden rodzaj przekształca się na drugi, a na dowód przedstawi przemianę wymowy na poezję liryczną. Wreszcie na losach powieści francuskiej nowożytnej chce autor wykazać, że ten rodzaj literacki wchłania w siebie szczątki, przeżytki innych, zanikających rodzajów, wzbogaca niemi własny organizm, rozrasta się i rozgałęzia. Wszystkie te pomysły do przyszłych rozpraw sformułował Brunetière bardzo ogólnikowo, odkładając na czas późniejszy ich rozwinięcie. Sądził widocznie, że i te zwięzłe plany i dorywcze przykłady wystarczą, ażeby świat naukowy przekonać o prawdziwości teorii. Ale stało się inaczej.

Krytyka przyjęła doktrynę Brunetièra z wielkim niedowierzaniem, na dowody zaś i przykłady nawet patrzeć nie chciała, ponieważ były niewystarczające. Każdy badacz, jako tako obznajmiony z literaturą francuską, odrazu spostrzegł, że przykłady na ewolucję rodzajów są strasznie naciągane, a nawet w pewnych punktach fałszywe. Najgorszy jest przykład romansu francuskiego. Rodzaj ten rozwijał się stale pod silnymi wpływami obcymi, najpierw pod wpływem powieści włoskiej i hiszpańskiej,

potem angielskiej i w części niemieckiej. Te wpływy Brunetièrre pominął, mówił natomiast o jakiejś ewolucji naturalnej, genetycznej. Podobnie i przemiana wymowy na lirykę jest dowodem ryzykownym. Pozostawiono więc na stronie sprawę dowodów, które były najoczywiściej dobierane i przykrawane do powziętej *à priori* teorii, zajęto się natomiast samą teorią. Brunetièrre słuchał cierpliwie wszystkich zarzutów i powątpiewań, znosił ironiczne uśmiechy i wybuchy oburzenia, aż dopiero po ośmiu latach zdobył się na odpowiedź. W r. 1898 ogłosił niewielką rozprawę p. t. „Doktryna ewolucyjna a historia literatury“ (La doctrine évolutive et l'histoire de la littérature). Jest to obrona wygłoszonej przed laty teorii.

Brunetièrre uspokaja najpierw przerażonych polemistów, którym zdawało się, że pojęcie ewolucji, wprowadzone do nauk humanistycznych, narusza zasady moralności i sprzeciwia się wierze chrześcijańskiej. Powtarza natomiast z naciskiem, że w teorii ewolucyjnej spoczywa cała nadzieja na wprowadzenie metody naukowej do badań literackich. Wszak historię literatury pisze się w sposób okropny, bez systemu, bez związku, nawet bez chronologii, która jest warunkiem koniecznym każdej historii. Zараdzi temu ewolucjonizm, wprowadzając punkt widzenia genetyczny na miejsce zwykłego opisu, analizy i wyliczania. Filiacya dzieł literackich jest faktem. Po wszystkie czasy, w literaturze jak i w sztuce, przeszłość ogromnie ciąży na terażniejszości. Atoli żadna chwila nie jest dokładnem powtórzeniem poprzedniej. Wszystko się zmienia i komplikuje, a tylko teoria ewolucyjna zdoła wyjaśnić te procesy. Każde indywidualum twórcze, choćby wybitnie oryginalne, da się zrozumieć i ocenić tylko w stosunku do poprzedników i do współczesnych. Znaczenie jego ocenimy też tylko w stosunku do tych, co po nim tworząc, korzystali z jego spadku, z jego tradycyi. Oto co się nazywa w dziejach literatury punktem widzenia „genealogicznym.“

Ale teraz musi Brunetièrre rozprawić się z zarzutem, że teoria ewolucji, wprowadzona do badań literackich, wyłącza swobodę twórczą, oryginalność, indywidualizm, sprowadzając wszystko do linii ogólnych, traktując rodzaj literacki jak gatunek zwierzęcy. Aby się z tego zarzutu oczyścić, sięga autor do dzieła Darwina „O pochodzeniu gatunków,“ powołuje się na liczne ustępy i dochodzi do wniosku, że w pojęciu Darwina koniecznym warunkiem wszelkiej ewolucji jest ukazanie się jednostki, która bodaj trochę różni się od ogólnego typu swego gatunku. Prze-



miany są dziełem jakiejś dążności, której przyczyn nie znamy zupełnie. A ponieważ od czasu do czasu widzimy tak wielkie odchylenia, że je aż potwornościami zowiemy, to oczywiście dla historyka literatury lub sztuki te niezwykle zjawiska są analogicznymi do zjawisk geniusza, indywidualizmu i oryginalności. I swoboda, i wolny wybór, i zjawiska nieprzewidziane, słowem wszystkie cechy indywidualizmu twórczego mieszczą się—zdaniem Brunetièra—w hipotezie doboru naturalnego. Nakoniec i o tem należy pamiętać, że pojęcie ewolucyi, a pojęcie postępu—to dwie rzeczy różne. Ewolucya może być progresywną, lecz także i regresywną. Odpowiadają temu zjawiska literackie. Literatura, wzięta jako całość, rozwija się i postępuje naprzód; ale nie można tego powiedzieć o poszczególnych rodzajach. Rodzaje literackie po dojściu do poziomu doskonałości, zaczynają chylić się ku upadkowi, wyczerpują się i albo całkiem zanikają, albo odradzają się dopiero przez przyływ nowych sił z zewnątrz. W dziejach rodzaju literackiego nie może być mowy o nieskończonym postępie, tylko o ewolucyi progresywnej albo regresywnej.

Więc ostatecznie jakąż korzyść osiągnie historia literatury, przyjmując teorię ewolucyi za podstawę swej metody? Przewszystkiem pozwoli ona wypełnić pierwsze zadanie, którem jest oznaczenie „istotnego charakteru“ (caractère essentiel) literatury każdego narodu z osobna. Dojdziemy do tego, badając porównawczo literaturę francuską, włoską, angielską, niemiecką i t. d. Następnie do tego charakteru istotnego zastosujemy podział na epoki, na okresy historyczne, a właśnie ewolucya tego „charakteru istotnego“ pozwoli przeprowadzić podział historyczny na podstawie znamion wewnętrznych, nie zaś według zasady z zewnątrz narzuconej, jak np. granice stulecia lub wypadki polityczne. Poznawszy dokładnie ewolucję rodzajów literackich, bez trudu będziemy oznaczać granice literackich kierunków i epok.

Wielkie linie tej ewolucyi określają dopiero wybór pisarzy, których historia powinna zatrzymać. W tym celu należy wydożyć niewielką grupę z tłumu tych pisarzy, którzy zapełniają katalogi, dykcjonarze i podręczniki. Chodzi przecież o to, aby wytknąć drogę, a nie opisywać najdrobniejsze na niej zdarzenia. Nie chodzi nam o jednostki, o ich życie, ich miłostki i przygody, ale o *dzieła*, i to tylko o dzieła ważne, znaczące w każdym rodzaju; o te, które oznaczały stopnie danego rodzaju ku doskonałości. Z wyborem dzieł najlepszych łączy się i ta korzyść metody ewolucyjnej, że ona z dziejów literatury wyłącza, jak gdyby

automatycznie usuwa wszelkie miernoty. I oto dzięki temu metoda, którą posadzano o lekceważenie praw oryginalności, niespodziewanie doprowadza do wyłącznego zajmowania się duchami prawdziwie oryginalnymi.

A wreszcie ostateczna korzyść z zastosowania doktryny ewolucyjnej będzie—zdaniem Brunetièra—na tem polegała, że dzięki niej sąd krytyczny osiągnie wartość bezosobistą, czyli, jak się mówi, obiektywną. Metoda ewolucyjna w przyszłości wypędzi z dziejów literatury resztki subiektywizmu i sądom krytycznym nada powagę, której im dotąd odmawiano.

### III.

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się teoria Brunetièra, teoria pełna obietnic, pełna świetnych nadziei na przyszłość. Usprawiedliwioną jest ciekawość, z jaką zwracamy się do jego dzieł, szukając w nich urzeczywistnienia nadziei i spełnienia obietnic. Kto teorii tak wymownie bronił, a w literaturze francuskiej był erudytem niezwykłym, ten zdawał się najbardziej powołanym do wprowadzenia w czyn własnych pomysłów. Przejrzawszy szereg dzieł Brunetièra, dzieł niepospolitej wartości, doznajemy wielkiego zawodu. Z rozległej teorii zostały tu tylko szczątki, drobne momenty, lecz do całkowitego wykonania programu nie doszło. Jeden ważny punkt rzeczywiście Brunetière wypełnił, mianowicie uprościł historję literatury francuskiej, wypędzając z niej wielki tłum pisarzy miernych i bez znaczenia. W jego „Podręczniku“ (Manuel, 1897) literatura francuska opowiedziana jest od początków aż blisko po koniec wieku XIX, wszystko na 500 stronach. Ale na każdej stronie połowę albo i dwie trzecie miejsca zajmują przypiski, przeto właściwy wykład zmieściłby się na dwustu niewielkich stronach. Jest to więc galop przez dziewięć stuleci literatury francuskiej, galop możliwy tylko dzięki najdalej doprowadzonemu wyborowi autorów i dzieł bezwzględnie ważnych. Lecz poza tem uproszczeniem historii nie widzimy tu ani ewolucyjnej wynikliwości, ani związku genetycznego, ani tylu innych ciekawych rzeczy, które nam obiecano w teorii. Dla odróżnienia zaś pisarzy oryginalnych od miernych, dla usunięcia tych ostatnich z dziejów literatury — ewolucyonizm okazuje się zupełnie zbytecznym.



Z niecierpliwością czekaliśmy na wielką „Historję literatury francuskiej klasycznej.“ Z dzieła tego dopiero po śmierci autora ukazał się tom pierwszy, obejmujący literaturę wieku XVI. I tutaj zasada uproszczenia przeprowadzona konsekwentnie. Na 640 stronach zaledwie kilkunastu pisarzy znalazło swe miejsce. Znow daremnie szukamy ewolucji rodzajów, transformacji i różniczkowania. Autor z całą swobodą omawia pisarza po pisarzu, jak czynili wszyscy gromieni przezeń historycy. Ale pomimo zarzucenia doktryny dzieło jest uczone, głębokie, pełne doskonałych charakterystyk i subtelnych analiz krytycznych.

Lepiej stosował Brunetièrę teorię ewolucyjną do bardziej ograniczonych dziedzin. Taką szczęśliwą próbą było dzieło dwutomowe p. t. „Ewolucya poezji lirycznej we Francji w XIX wieku“ (1893). Znajdujemy tu zakres dość szczupły, bo tylko poezję liryczną jednego stulecia, i tylko we Francji. Na tym niewielkim terenie, bogatym w zjawiska różnorodne, łatwiej było historykowi grupować i wyjaśniać fakty odpowiednio do wyznawanej teorii. Choć w gruncie rzeczy są to tylko szkice z dziejów liryki francuskiej. Nakoniec w seryi siódmej jego „Studyów historyczno-literackich“ znajduje się niewielki, pięćdziesiąt stron liczący szkic (napis. 1901 r.) p. t. „L'évolution d'un genre: La tragédie.“ W jasny, przekonujący sposób przedstawia autor powstanie tragedji francuskiej, jej rozwój stopniowy na podobieństwo żywego organizmu, który dochodzi do najwyższego rozkwitu w dziełach Racina, poczem chyli się ku starości, ginie z wyczerpania, wciąż jeszcze sztucznie podtrzymywany w okresie zwyrodnienia i upadku; podtrzymywany poprostu dlatego, że publiczność chciała chodzić do teatru, a teatr potrzebował wciąż nowych tragedji.

Atoli sam pomysł ukazania ewolucji rodzaju literackiego, jako życia organizmu, nie był ani nowym, ani oryginalnym. Już w XVI wieku Scaliger w swej „Poetyce“ (1561) upodobnił dzieje klasycznej poezji łacińskiej do życia organizmu i rozróżnił w niej pięć epok, odpowiadających okresom w życiu roślin lub zwierząt. W XVIII wieku Winckelmann traktował sztukę grecką nie jako przypadkowe następstwo większych i mniejszych artystów, lepszych lub gorszych dzieł, lecz jako żyjący, jednolity organizm, który ma swój zaród i fazy początkowe, rozwija się, dochodzi do świetnego rozkwitu, następnie marnieje i zanika. Podobnie Fryderyk Schlegel pojmował poezję grecką, jako całość organiczną, jako żyjącą własnem życiem istotę, która na podobieństwo organizmów zwierzęcych przechodzi cztery fazy kolejnie: początek,

wzrost, przemiany wieku dojrzałego i starość. Widzimy stąd, że w ewolucjonizmie Brunetièra nie wszystko było nowe.

Oryginalnym jego pomysłem było głównie to, że przejąwszy z dzieł Darwina definicyę gatunku, upodobnił doń pojęcie rodzaju literackiego i przeniósł na dziedzinę twórczości hipotezę przyrodniczą, w szczegółach już wykończoną. Tymczasem podział na rodzaje może mieć znaczenie praktyczne, np. w podręczniku szkolnym, ale w badaniach naukowych okazuje się podziałem sztucznym. Żaden rodzaj literacki nie jest dziedziną ściśle zamkniętą, ograniczoną od innych.

Przypuścimy, że komedia jest rodzajem i satyra rodzajem, podobnie jak gatunkami są koń i pszczoła; ale przecież między koniem a pszczołą nie zachodzą tak blizkie stosunki i pokrewieństwa, jakie wciąż trwają między komedią a satyrą. Jeżeli rozpoczyna się w literaturze jakiś nowy kierunek, to nietylko w jednym rodzaju, lecz odrazu w całej grupie. Jeżeli poczyna się we Francji romantyzm, to i w liryce, i w dramacie, i w romansie. Jeżeli nastaje naturalizm, to nietylko w powieści Zoli, lecz i w teatrze Becqua. Co więcej, można o powieści francuskiej gawędzić w sposób popularny, ale badając dzieje romansu francuskiego w sposób historyczny, naukowy, musimy mówić zarazem o romansie włoskim, hiszpańskim, angielskim, bo to jedna wielka rodzina, blisko spokrewniona. Wydzielanie więc ewolucyi jednego rodzaju w jednym narodzie jest konstrukcyą sztuczną, która nauce korzyści nie przynosi.

Brunetière zamiary miał jak najlepsze, bo historia literatury rzeczywiście potrzebowała reform pod względem metodycznym. Atoli zamiast na ślepo przyjmować gotową hipotezę przyrodniczą, byłby lepiej postąpił, formułując samodzielnie zadania dziejopisarstwa literackiego, wskazując zagadnienia do rozwiązania, cele i drogi do nich wiodące. Zaraziwszy się darwinizmem, Brunetière przystroił w terminologię przyrodniczą — fakty oczywiste i powszechnie znane. Jeżeli Darwin dopiero wykrył, że gatunki istot żywych nie są trwałe, to w literaturze zdawna już było wiadome, że rodzaje literackie ulegają zmianom. Na długo przed teorią ewolucyjną nawet w książkach elementarnych kreślono historię rozwoju i upadku różnych rodzajów literackich. Podobnie związek genetyczny utworów jest w pewnych wypadkach tak oczywisty, że powoływanie się na teorię descendencyi staje się zbytecznym.

Zresztą, mówiąc o życiu literatury, możemy mówić jedynie o analogii, o jego podobieństwie do zjawisk w przyrodzie, a sa-



ma analogia niczego jeszcze nie dowodzi. Natomiast konsekwentne stosowanie wszystkich praw, związanych z teorią ewolucyjną, nie może się obejść bez naciągania, naginania faktów literackich. Historyk literatury nie powinien ani bronić tezy, ani budować systemu, gdyż zapatrzony w swój cel łatwo może sfalszować znaczenie badanych zjawisk. To też sam Brunetière w praktyce postąpił tak, jak mu sumienie historyka wskazywało. Wolał zarzuć ewolucyjonizm, niż przeinaczać fakty, ponieważ prawdę historyczną ukochał bardziej, niż prawdę teoretyczną.

D-R MAURZYCY MANN.

# NEOWITALIZM.

## I.

W drugiej połowie XIX w. zapanował niemal wszechwładnie w biologii pogląd mechanistyczny. Witalizm, tak potężny w pierwszej połowie ubiegłego stulecia, nielicznych już tylko miał obrońców, którzy protestami swymi (aczkolwiek widzimy wśród nich mężów tej miary, co K. E. Baer i J. v. Hanstein) nie byli w stanie powstrzymać tryumfalnego pochodu mechanizmu. Ten ostatni stał się wprost urzędową doktryną w biologii. Uważano powszechnie, jako pewnik, iż życie organiczne daje się wytłumaczyć za pomocą samych czynników fizyko-chemicznych. Uczeni oznajmiali światu, że „istotnem założeniem całej fizjologii naukowej, wyrażonem lub w niej zawartem, jest teraz pogląd, iż organizm jest mechanizmem“; <sup>1)</sup> nie wahali się też twierdzić, że „na przyszłość słowo „życiowy“, jako znamienne dla fizjologicznego procesu, może być zupełnie zarzucone.“ <sup>2)</sup>

Tak niesłychane spotęgowanie mechanistycznego ruchu w biologii w drugiej połowie XIX w. miało rozmaite przyczyny, jako to: rozwielenienie się materialistycznego światopoglądu, odkrycie przez Roberta Mayera prawa stałości energii,<sup>3)</sup> postępy

---

<sup>1)</sup> Słowa Huxley'a „Collected Essays,“ cyt. Windle „What is Life.“ 1908 r. Str. 6.

<sup>2)</sup> Słowa znanego fizjologa angielskiego, Burdon Sanderson'a, wypowiedziane w r. 1889, cyt. przez Windle'a, *ibid.* str. 7.

<sup>3)</sup> Mniemano bowiem, iż gdyby zjawiska życiowe zależały od innych czynników, jak od fizyko-chemicznych, to tem samem byłoby złamane prawo stałości energii we wszechświecie. Znana jest krytyka witalizmu przez Helm-



chemii organicznej, uwieńczone sztuczną syntezą ciał organicznych coraz bardziej skomplikowanych, okoliczność, iż coraz bardziej udawało się wykazywać w procesach, odbywających się w organizmie, rolę czynników fizyko-chemicznych, a nareszcie zjawienie się i szybkie rozpowszechnienie teorii doboru naturalnego, czyli tak zwanego darwinizmu. Wpływ tej ostatniej na umysły był wprost nadzwyczajny. Zdawało się, iż zdarła ona zasłonę tajemniczości z celowości organicznej i nagięła ją do ciasnych ramek mechanistycznego poglądu, tłómacząc tę celowość organiczną za pomocą przypadku. Należy wreszcie dodać, że i krytyka witalizmu, z którą wystąpili uczeni tej miary, co Du Bois Reymond, Helmholtz i inni znakomici przyrodnicy, musiała również sprzyjać rozwojowi mechanistycznego poglądu w biologii.

Niema atoli nic trwałego na tym świecie. Z biegiem czasu zaczął materialistyczny światopogląd powoli chylić się do upadku i w łonie samego nawet monizmu zaczęły się zjawiać antymaterialistyczne systematy.<sup>1)</sup> Tym sposobem stawał się grunt filozoficzny podatnym do odrodzenia w biologii prądów antymechanistycznych i witalistycznych. A i darwinizm, który w 8-ym dziesiątku ubiegłego stulecia osiągnął zenitu swej sławy i około roku 90 był jeszcze tak potężny, że w kołach zoologów uważano jako nieprzyzwoite mówić o klasycznej krytyce Wieganda inaczej jak w najostrzejszych wyrazach,<sup>2)</sup> zaczął również powoli tracić grunt pod nogami.

Już w r. 1893 ośmielił się Driesch napisać: „Zajmowanie się pretensjami tej tak zwanej zbitej teorii darwinistycznej, byłoby obrazą czytelnika.“<sup>3)</sup> Od tego zaś czasu wzmożła się znacznie liczba przyrodników, odnoszących się sceptycznie do teorii doboru naturalnego i zaczęto coraz bardziej przychodzić do przekonania, że jest niewystarczającą, a nawet zupełnie niezdolną do wytłómaczenia rozwoju świata organicznego. Ażeby mieć pojęcie o powadze dzisiejszego antydarwinistycznego ruchu w biologii, dość powiedzieć, że biorą w nim udział uczeni tak wybitni, jak: Driesch, J. Reinke, G. Wolff, Delage, S. Ramon y Cajal, Carazzi, O. Hertwig i wielu innych sławnych badaczy.

---

holza, oparta właśnie na prawie stałości energii. Patrz Driesch: „Vitalismus als Geschichte und Lehre,“ str. 131.

<sup>1)</sup> Por. Kleinke: „Der Monismus,“ 1911.

<sup>2)</sup> Driesch: „Der Vitalismus als Geschichte und Lehre,“ 1905, str. 14.

<sup>3)</sup> „Die Biologie als selbständige Wissenschaft,“ 1893, str. 30.

Wprawdzie nie wszyscy uczeni, którzy stanęli do walki z darwinizmem, zerwali z mechanistycznym poglądem w biologii. Sam fakt atoli, iż zaczęto coraz jaśniej zdawać sobie sprawę ze słabych stron darwinizmu, tego najkonsekwentniejszego mechanistycznego tłumaczenia rozwoju życia, tłumaczenia, które z taką siłą przyciągało umysły do mechanistycznego obozu, nie mógł nie zamącić długoletnich tryumfów mechanizmu.

A tu przyłączyła się jeszcze i ta okoliczność, że zaczęto coraz bardziej uprzytomniać sobie fakt, istniejący wprawdzie i dawniej, na który wszakże uczeni, pochłonięci epokowymi odkryciami fizyologicznymi Ludwiga, Claude Bernarda, Du Bois Reymonda i innych, nie dostateczną przedtem zwracali uwagę, a mianowicie, że nie wszystkie zjawiska, odbywające się w organizmie, dają się wytłumaczyć mechanistycznie. Fakt ów z tem większą natarczywością stanął teraz przed uczonymi, iż sam postęp nauk biologicznych ujawniał coraz więcej zjawisk, wobec których mechanistyczne tłumaczenie jest wprost bezsilnem<sup>1)</sup> i wykazał nawet, iż mechanistyczne tłumaczenie niektórych procesów, odbywających się w organizmie, uważane przedtem za wystarczające, w rzeczywistości jest zupełnie niedostatecznem. Nadmienić należy, iż nauka, której postępy w sposób najwymowniejszy zaczęły zwracać uwagę uczonych na niedostateczność mechanistycznego tłumaczenia zjawisk życiowych, to właśnie eksperymentalna fizjologia rozwoju, nauka tak bardzo zaniedbana przez długie lata, a która w ostatnich czasach wielkie wzbudziła zainteresowanie w kołach uczonych.

Łatwo zrozumieć, iż podobne okoliczności doprowadziły do reakcyi przeciw mechanizmowi i w szczególności doprowadziły do rozkwitu witalizmu. Nowożytny ten ruch witalistyczny otrzymał nazwę neowitalizmu.<sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Patrz np. Grasset: „La médecine vitaliste.“ Windle: „What is Life,“ str. 9 i nast. Harlog: „The dynamics of mitotic cell-division,“ 1907, w Rivista di Scienza Gemelli: „Darvinisme el vitalisme“ w „Revue de Philosophie,“ 1910.

<sup>2)</sup> Trzeba odróżnić od neowitalizmu drugą formę, którą przybrał ruch antymechanistyczny, mianowicie tak zwany „psycholamarckizm,“ albo monizm psychobiologiczny, tłumaczący celowość organiczną za pomocą inteligencyi samych istot żywych, którą uważa, jako własność ogólną materji żywej; z drugiej strony przyjmuje monizm psychobiologiczny, iż zjawiska psychiczne są przynależne do świata fizycznego i mają również miejsce w świecie nieorganicznym. Jako głównych przedstawicieli monizmu psychobiologicznego można wymienić: Pauly'ego, France'ego i A. Wagnera.



## II.

Jako rys charakterystyczny neowitalizmu należy przede wszystkim wymienić jego „krytycyzm.“ „Neowitalizm—jak słusznie mówi J. Reinke—nie uczynił w sposób dogmatyczny z decyzji między witalizmem i mechanizmem kwestyi partyjnej (Parteisache), lecz zajął się nią, jako zagadnieniem.“ Z drugiej strony należy dodać, że neowitaliści zwracają właśnie przedewszystkiem uwagę na fundamenty, na których ich witalizm się opiera.<sup>1)</sup>

Wypada również zaznaczyć, iż neowitaliści nie przyjmują istnienia jakiejś przestarzałej, specjalnej siły życiowej, któraby, jako istny Deus-ex-machina, działała w organizmie i wywoływała w nim zjawiska życiowe, unicestwiając zależność procesów organicznych od praw, rządzących procesami fizyko-chemicznymi. Przeciwnie, neowitalizm jest witalizmem „umiarkowanym“; według neowitalistów, rola specyficznego życiowego czynnika, którego istnienie przyjmują dla wytłómaczenia zjawisk życiowych, polega właśnie, o ile się tak wyrazić można, na nadaniu kierunku życiowego procesom fizyko-chemicznym, odbywającym się w organizmie; przytem, według neowitalistów, zostają uszanowane prawa, którym podlega stawanie się fizyko-chemiczne.

Łatwo pojąć, że o ile przyjmowanie istnienia jakiejś przestarzałej siły życiowej, działającej jako Deus-ex-machina, mogłoby się sprzeciwiać prawom stałości energii, o tyle, przeciwnie, „umiarkowany“ witalizm neowitalistów doskonale się z niem godzi.

Zaznaczmy wreszcie, iż w zapatrywaniach oddzielnych neowitalistów istnieją duże nawet różnice; wszyscy atoli zgadzają się z tem, że mechanistyczne tłómaczenie jest niewystarczającym tłómaczeniem zjawisk życiowych,<sup>2)</sup> że między światem organicznym i nieorganicznym istnieje zasadnicza różnica i że celowość, cechująca życie organiczne, jest zjawiskiem sui generis, które nie

1) Patrz Driesch: „Vitalismus,“ str. 155.

2) Według jednych neowitalistów mechanizm jest systematem absolutnie niezdolnym do wytłómaczenia życia organicznego, inni zaś nie wyłączają w sposób absolutny możebności wytłómaczenia życia organicznego za pomocą czynników fizyko-chemicznych; mówią tylko, że obecnie takiego tłómaczenia wyobrazić sobie niepodobna; możnaby zatem nazwać ich witalizm „prowizorycznym.“

może być uważane jako wynik zsumowania się przypadków, że istota żywa nie jest zwyczajnym aglomeratem przyczyn sprawczych, lecz przeciwnie pierwiastkiem czynnym, naturą, która dąży do osiągnięcia rzeczywistych celów, posługując się jako narzędziem siłami, jakimi rozporządza.

Stając do obrony zasady celowości organicznej, neowitaliści znają wszystkie prawa przyczynowości. „Neowitalizm—jak twierdzi J. Reinke—z punktu widzenia, na którym stanął, nie mówi: albo teleologiczna, albo mechaniczna (przyczynowościowa) ocena organizmów; przeciwnie, neowitalizm uznał, że stosownie do teraźniejszego stanu wiedzy, mechanizm i teleologia powinny być doprowadzone do oceny procesów życiowych, jako równouprawnione zasady. Neowitalizm zgadza się bez najmniejszych zastrzeżeń, iż w organizmie, np. w ludzkim ciele, wszystkie pojedyncze zjawiska znajdują się w stosunku przyczyny i skutku; ale te oddzielnie, jako mechaniczne, lub lepiej jako energetyczne, uważane procesy są połączone, ażeby nie powiedzieć kierowane przez siły, działające teleologicznie, które do pewnego stopnia można porównać do również celowościowo działających sił ducha ludzkiego.“

Kładziemy nacisk na ten stosunek neowitalistów do celowości organicznej, gdyż stanowi on jedną z najbardziej charakterystycznych cech neowitalizmu.

Ruch, o którym mowa, nie zdołał wprawdzie wywołać rzeczywistego kryzysu poglądu mechanistycznego; przeciwnie, spotkał się on z zaciętym oporem mechanistów,<sup>1)</sup> a znaczna większość uczonych nadal hołduje mechanizmowi, który posiada obecnie tak stanowczych obrońców, jak Loeb, Verworn, Le Dantee, Btischli i innych, nie mówiąc już o Haecklu; niemniej, aczkolwiek liczebnie znacznie słabszy od mechanizmu, odznacza się neowitalizmu wielką żywotnością i pozyskuje coraz więcej zwolenników, wśród których znajdują się najwybitniejsi współcześni uczeni. Jako przedstawiciele neowitalizmu wśród biologów<sup>2)</sup> możemy wymienić we Włoszech Grassi'ego i Carazzi'ego, w Ameryce T. H. Mor-

1) Z polskich autorów, którzy wystąpili z krytyką neowitalizmu wymienimy profesora J. Nusbauma Hilarowicza: „Z teki biologa,“ rozdz. I „Szlakami wiedzy,“ str. 408 i W. K. Kozłowski: „Przyrodznawstwo i filozofia,“ str. 109 i nast.

2) Do filozofów, którzy zajęli w biologii stanowisko autymechanistyczne należą H. Bergson i E. v. Hartman.



gana i Montgomery'ego, w Belgii Grégoir'a, we Francji<sup>1)</sup> P. Vignon'a i Grasset'a<sup>2)</sup>; najwięcej atoli zwolenników znalazł neowitalizm w krajach niemieckich, zasługuje też ów kierunek niemiecki na szczególniejszą uwagę.

### III.

Początków neowitalizmu w krajach niemieckich należy szukać około r. 1890, gdy uczeń Virchowa, znany patolog Rindfleisch, wystąpił w swej mowie: „Aerztliche Philosophie,“ z zapatrywaniami, w których zalecał powściągliwość przed tem, czego zbadać nie można i kładł nacisk na specyficzność życia i kiedy znakomity fizyolog Bunge w swym podręczniku do chemii fizyologicznej i patologicznej w rozprawie, którą zatytułował: „Mechanismus und Vitalismus“<sup>3)</sup> wypowiedział się przeciw mechanistycznym teoryjom życia i zaznaczył aktywność życia. Po roku 90-ym liczba zwolenników nowego kierunku zaczęła szybko wzrastać i jeden po drugim występują ze swemi zapatrywaniami: G. Wolff, Ehrhardt, J. Reinke, F. Reinke, A. Kerner, von Marilaum, Driesch, Cossmann, K. C. Schneider, Neumeister i inni.<sup>4)</sup>

<sup>1)</sup> Z gorącą obroną celowości organicznej wystąpił znany fizyolog francuski K. Richet. Patrz Richet et Sully Prudhomme: „Le problème des causes finales,“ rozdz. I i ostatni.

<sup>2)</sup> Oto spis najważniejszych prac wyżej wymienionych neowitalistów z dziedziny zagadnień, dotyczących biologii ogólnej: Grassi: „La vita ciò che sembra ad un biologo,“ 1906 r. Carazzi: „Teorie e critiche di moderna biologia,“ 1906. T. H. Morgan: „Evolution and adaptation,“ 1903; „Regeneration,“ 1901. Montgomery: „Vitality and Organisation of Protoplasm,“ 1904. Vignon: „Sur le matérialisme scientifique au mécanisme antitéologique,“ 1904. „Doctrines et opinions relatives à la philosophie biologique,“ 1905 (artykuł w „Revue de Philosophie“). Grégoire: „Le mouvement antimécaniciste en biologie“ (artykuł w „Revue des Questions Scientifiques,“ 1905). „Le matérialisme contemporain,“ 1910. Grasset: „Les limites de la biologie,“ 1907. „La médecine vitaliste,“ 1909.

<sup>3)</sup> Później zamienił on ów tytuł na „Mechanismus und Idealismus.“ Witalizm Bunge'go ma charakter więcej prowizoryczny. Bunge nie uważa bowiem mechanizmu, jako systemat absolutnie niewystarczający, lecz tylko, jako w danej chwili niewystarczające tłumaczenie życia.

<sup>4)</sup> Patrz Riedl: „Geschichte der biologischen Theorien.“ T. II, str. 558 i 559.

Niepodobna w ramach obecnego artykułu zająć się dokładnie zapatrywaniami wszystkich tych uczonych. Dla bliższego zapoznania się z neowitalizmem niemieckim i różnymi jego prądami wystarczy streścić zapatrywania czterech z najwybitniejszych jego rzeczników: J. Reinke'go, G. Wolffa, H. Driescha i R. Neumeistra; uczeni ci są zarazem przedstawicielami rozmaitych kierunków neowitalizmu niemieckiego.

J. Reinke,<sup>1)</sup> profesor botaniki uniwersytetu w Kiel, jest, jak go słusznie nazywa Gemelli, „witalistą nieśmiałym.“ Uważa on, w rzeczy samej, sprowadzenie zjawisk życiowych do procesów fizyko-chemicznych jako nieprawdopodobne, lecz nie jako niemożliwe. Z drugiej strony przypisuje wielkie znaczenie zestawieniu organizmu z maszyną. W organizmie, jak w maszynie, odróżnia on poszczególne energie, wytwarzające pracę i „siły systemu“, które zużytkowują pierwsze dla pewnych celów, skierowując je na określone drogi. Te „siły systemu“ są dane w całości kształcie warunków struktury i Reinke nazywa właśnie strukturę mechanizmu, od którego zależą „siły systemu“, „warunkami systemu.“ Dalej zaznacza Reinke, iż zarówno, jak maszyna musiała być zbudowana przez mechanika, tak samo musiały być zbudowane i „warunki systemu“ w organizmie i nazywa „dominantami rozwoju“ wewnętrzne faktory, kierujące ontogenezą<sup>2)</sup> i budujące struktury organizmu, o ile nie mogą one już być dalej rozłożone empirycznie albo mechanicznie, to jest fizycznie i chemicznie. Według Reinkego, to, co w maszynie stanowi analogię do „dominantów“, znajduje się na zewnątrz maszyny i jest zawarte w inteligencji i zręczności konstruktora maszyny.

Reinke odróżnia te dominanty, które są odpowiedzialne za budowę różnych części ciała, lecz obok tych poszczególnych dominantów odróżnia „ogólny dominant“, któremu inne są podporządkowane i który jest odpowiedzialny za kształtowanie organizmu, jako całości. Czem są atoli według Reinkego owe „dominanty“? Sam on objaśnia odnośnie do tego przedmiotu, że słowo „dominant“ posiada znaczenie li tylko symbolu, aby oznaczyć

<sup>1)</sup> Dla streszczenia zapatrywań Reinke'go o „dominantach“ posługiwałem się przeważnie zeszytem 3-im jego „Naturwissenschaftliche Vorträge“, 1908. Oto spis głównych dzieł J. Reinkego: „Die Welt als Tat“, „Einleitung in die theoretische Biologie“, „Die Natur und wir“, „Philosophie der Botanik“, „Naturwissenschaftliche Vorträge“ (pięć zeszytów).

<sup>2)</sup> Ontogeneza oznacza rozwój osobnikowy.



rzeczywistość, wyynkająca się bezpośrednio naszej wiedzy... „Dominant—mówi Reinke—to pojęcie, którem się posługujemy, jako zastępcą czegoś niewiadomego... Jeżeli zechcemy wyobrazić sobie organizm, będący w trakcie formowania się, pod postacią wielkiej liczby równań, dominantami będą w tych równaniach niewiadome X, Y, Z etc. W takim sposobie pojmowania rzeczy jest już wskazana nadzieja, że z postępem nauki uda się sprowadzić do czegoś wiadomego, np. do „warunków systemu,“ jakkolwiek nie wszystkie (co jest prawdopodobnie utopią), to przynajmniej część „dominantów.“ Dominanty są zatem resztą, która pozostaje od analizy, jako coś nierozkładalnego, gdy określamy siły czynne w organizmie. Nie są więc wyrazem naszych wiadomości, lecz tylko symbolem problematów, które może mogą być rozwiązane, a może i nie. Wyrażają one wyznanie prowizorycznego agnostycyzmu.“<sup>1)</sup> „Dla obecnego stanu naszej wiedzy stanowią — mówi Reinke dalej—coś niewiadomego, względnie do ich natury.“<sup>2)</sup>

Widzimy zatem, iż stanowisko Reinkego jest niezdecydowane; musimy atoli zaznaczyć, iż Reinke broni z wielką energią zasady celowości w biologii. Istotnie, nie waha się on powiedzieć, że „gdyby chciano wyrugować celowość z biologii, t. j. uznanie istnienia stosunków celowościowych, to pozostałby z tej nauki nędzny kadłub i biologia ledwo zasługiwałaby na miano nauki. Wtedy bowiem nie wolno byłoby powiedzieć do czego służą oko, ucho, żołądek, płuca i t. d. To samo dotyczyłoby oddzielnych organów; nie można byłoby już mówić o celu soczewki, rogówki, tęczęwki, nerwu ocznego dla budowy oka. Musianoby ograniczyć się do konstatowania, że powstają jaja i plemniki; ale sąd o ich znaczeniu dla utrzymania życia nie mógłby być wypowiedziany.

<sup>1)</sup> „Naturwissenschaftliche Vorträge,“ ks. 3, str. 71 i 72.

<sup>2)</sup> Dzieło cyt. str. 73. „Wort und Begriff—mówi w innem swem dziele Reinke—der Dominanten bedeuten also eine Idee, nichts Greifbares und Messbares, wie die Energie. Wir brauchen in ihnen keineswegs heimliche Mitspieler in den Vorgängen der Organisation zu sehen, sondern nur die Bezeichnung nicht weiter analysierbarer Zusammenhänge in der Entwicklung von Pflanze und Thier. Das Wesen der Dominanten bleibt dabei unbekannt und unerklärt, wie auch das Wesen der Schwerkraft unbekannt und unerklärt ist. Das einzige Analogien, welches sich finden lässt für die Wirksamkeit der Dominanten im Aufbau des Tier- und Pflanzenkörpers, ist die intelligente Tätigkeit des Technikers bei der Konstruktion einer Maschine. In diesem, aber auch nur in diesem vergleichweisen Sinne, habe ich die Dominanten auch als intelligente Kräfte im Organismus bezeichnet,“ str. 119 i 120 „Die Natur und wir,“ 1908.

Oto kilka niezawodnie wystarczających wskazówek o tem, jakby wyglądała biologia, gdyby wyrugowano z niej zasadę celowości.“<sup>1)</sup>

Sądzi też Reinke, iż „przy studyowaniu roślin i zwierząt, pytanie o stosunkach celowościowych jest równie niezbędną zasadą badania, jak pytanie o stosunkach przyczynowych; jedno i drugie są równoznacznymi zasadami heurystycznymi.“<sup>2)</sup>

Co się tyczy jeszcze „dominantów,“ to Reinke utrzymuje, iż działają one teleologicznie i że dlatego właśnie pojęcie „dominant“ jest nader zbliżonem do arystotelowskiego pojęcia „entelechia.“

Gustaw Wolff jest również witalistą raczej nieśmiałym. Mniema on, iż witalizm nie może się powołać na matematycznie ścisłe dowody; lecz uważając z drugiej strony celowość w świecie organicznym, jako coś bezpośrednio danego, nie mającego nasamprzód nic wspólnego ze stosowaniem się nieorganicznemu,<sup>3)</sup> nie waha się Wolff twierdzić, że witalizm jest najpierw danem zapatrywaniem, które nie potrzebuje żadnego dowodu, i że właściwie mechanizm potrzebowałby być dowiedzionym; a mianowicie, należałoby dowieść, że zjawiska życiowe dają się sprowadzać do zjawisk nieorganicznych. Nie witalizm zatem, lecz mechanizm—według Wolffa—winienby być dowiedzionym. Atoli, sądzi Wolff, dotąd nie udało się jeszcze udowodnić tezy mechanistycznej. Jedyna próba wytlómaczenia mechanistycznego celowości organicznej, próba darwinistyczna, nie powiodła się; i ta właśnie okoliczność, że w terażniejszym stanie nauki nie można dać mechanistycznego tłómaczenia życia z jego charakterem celowościowym, czyni, podług Wolffa, z witalizmu punkt widzenia rzeczywiście naukowy.

Wolff, powtarzamy, jest witalistą nader ostrożnym; zadawała się, jako podstawą swego witalizmu, stwierdzeniem faktu, że w danym stanie nauki, mechanistyczne tłómaczenie życia jest niewystarczające.

Używając terminu „Primäre Zweckmässigkeit,“ rozumie Wolff przez tę nazwę takie właśnie reakcyje celowościowe na daną podniecie, dla których wytlómaczenia nie można przyjąć istnienia z góry przygotowanej struktury; uważa on te wypadki „primärer

<sup>1)</sup> J. Reinke: „Der Neovitalismus und die Finalität in der Biologie,“ str. 226.

<sup>2)</sup> J. Reinke: „Philosophie der Botanik,“ 1905, str. 28.

<sup>3)</sup> G. Wolff: „Mechanismus und Vitalismus,“ 1905, str. 53.



Zweckmässigkeit,<sup>1)</sup> i teraz jeszcze dające się obserwować, jako bezpośredni dowód witalizmu. A że takie wypadki „primärer Zweckmässigkeit“ rzeczywiście jeszcze istnieją, wskazuje Wolff przede wszystkim na wynik znanych swych badań z r. 1894 nad regeneracją soczewki w oku traszki (*Triton taeniatus*).<sup>2)</sup> Stwierdził on<sup>2)</sup> mianowicie, iż kiedy traszce (*Triton taeniatus*) usunie się soczewkę z oka, zostaje ten organ po jakimś czasie zregenerowany w sposób niezmiernie celowościowy i zupełnie odmienny od sposobu sformowania się soczewki w czasie rozwoju normalnego, a mianowicie, akcja regeneracyjna zostaje uskuteczniiona przez nabłonek, pokrywający tylną część tęczówki, który w rozwoju normalnym nie służy nigdy do sformowania soczewki. Otóż, sądzi Wolff, jest rzeczą widoczną, że tego rodzaju regeneracja soczewki nie może być odziedziczoną i mieć podstawę w strukturze z góry przygotowanej: mamy zatem do czynienia z „primäre Zweckmässigkeit.“

Jeżeli w regenerowaniu się soczewki i w innych wypadkach „primärer Zweckmässigkeit“ posiadamy, podług Wolffa, bezpośredni dowód witalizmu, niemniej i na to kładzie Wolff nacisk, nie posiada ten dowód matematycznej ścisłości. Możemy jedynie dowieść, mówi Wolff, że brakuje wszelkiej naukowej podstawy, aby uważać daną celową reakcję jako przygotowaną.<sup>3)</sup>

O wiele więcej zdecydowanym witalistą od J. Reinkego i G. Wolffa jest znakomity embryolog heidelberski, H. Driesch. Uczony ten, który na początku swej kariery naukowej był zwolennikiem poglądu mechanistycznego, jest obecnie jednym z najskrajniejszych neowitalistów niemieckich. Driesch utrzymuje, że witalizm daje się udowodnić w sposób matematycznie ścisły, a mianowicie za pomocą trzech dowodów witalizmu, które sam zbudował.

Z tych dowodów pierwszy i drugi dotyczą właściwego życia organicznego, a mianowicie enorfogenezy.<sup>4)</sup>

<sup>1)</sup> Wolff zaznacza, iż od tego czasu odkryto cały szereg innych przykładów „primärer Zweckmässigkeit.“

<sup>2)</sup> G. Wolff: „Beiträge zur Kritik der Darwinischen Lehre,“ str. 67 i n. Patrz również „Mechanismus und Vitalismus.“ Przed Wolffem fakt regenerowania się soczewki u traszki zauważył włoski uczony Colucci, ale nie zwrócił uwagi na jego doniosłe znaczenie.

<sup>3)</sup> G. Wolff: „Mechanismus und Vitalismus,“ str. 41. Wyraz „przygotowaną“ należy rozumieć jako przygotowaną za pomocą struktury.

<sup>4)</sup> Dla streszczenia tych dwóch dowodów Driescha posłużywałem się szczególnie książkami Driescha: „Der Vitalismus als Geschichte und Lehre,“

Pierwszy dowód Driescha jest oparty na analizie morfogenetycznego zróżniczkowania się tak zwanych „systemów harmonicznych ekwipotencyalnych.“

Przykład wyjaśni nam znaczenie owego terminu „system harmoniczny ekwipotencyalny,“<sup>1)</sup> a przykładu tego dostarczyć może zwierzątko *Clavellina*.<sup>2)</sup> Jeżeli odłączymy od reszty ciała górną część naszego zwierzątka (która zawiera narząd oddechowy i otwór do wprowadzania i wycisku wody), może ona utracić swą organizację i obrócić się w małą białą kulkę, która to kulka w następstwie przeistoczy się w małą ale całkowitą *Clavellinę*. Nie na tem atoli koniec. Jeżeli przetniemy na dwa kawałki taką odciętą górną część *Clavelliny* cięciem poprzecznym, poprowadzonym w dowolnym kierunku, zobaczymy, iż z każdego niezbyt małego kawałka, o ile on pozostanie przy życiu, powstanie również mała lecz całkowita *Clavellina*. Tym sposobem widzimy, że jakkolwiek weźmiemy kawałek odciętej górnej części *Clavelliny*, pod warunkiem wszakże, aby nie był zbyt mały, wykonywa on tę samą morfogenetyczną pracę, którą w innych warunkach uskutecznia cała owa górna część, jako całość. A ponieważ z drugiej strony kierunek cięcia jest pozostawiony woli badacza, każdy poszczególny element górnej części ciała *Clavelliny* może się znaleźć na któremkolwiek miejscu względnem w cząsteczce, z której się uformuje nowa, mała *Clavellina*, a co za tem idzie, każdy taki poszczególny element jest zdolny do spełnienia jakiegokolwiek części pracy morfogenetycznej w sformowaniu takiej nowej, małej *Clavelliny*. Widzimy zatem, iż każdy poszczególny element górnej części *Clavelliny* może mieć w morfogenezie, stosownie do okoliczności, inne przeznaczenie realne, lub w terminologii Driescha, inne „znaczenie prospektywne“ i że wszystkie poszczególne elementy posiadają zdolność tych samych możliwości, rozwoju, czyli posiadają jednaką „potencjalność prospektywną.“

---

1905; „*Science and Philosophy of the Organism*.“ Inne dzieła Driescha, pisane z punktu widzenia witalistycznego są: „*Die Lokalisation morphogenetischer Vorgänge*,“ 1899; „*Die organischen Regulationen*,“ 1901; „*Die Seele als elementarer Naturfaktor*,“ 1903; „*Naturbegriffe und Natururteile*,“ 1904. Trzeci dowód witalizmu jest oparty na analizie czynu (*Handlung*); nie będziemy się nim wszakże zajmowali.

1) Termin „System harmoniczny ekwipotencyalny“ ma szerokie zastosowanie w naturze.

2) *Clavellina* należy do żachw (*Ascidiae*).



Otóż wszystkie te poszczególne elementy górnej części Clavelliny razem wzięte przedstawiają właśnie „system harmoniczny ekwipotencyalny“; jesteśmy więc teraz w możności dać określenie „systemu harmonicznego ekwipotencyalnego.“ Powyższą nazwę daje Driesch systemowi morfogenetycznych elementów organicznych, mających następujące własności: wszystkie te elementy posiadają tę samą „potencjalność prospektywną“; każdy poszczególny element może posiadać różne „znaczenie prospektywne“; każdy z nich dokonywa w danej morfogenezie część wspólnej pracy, przedstawiającej harmoniczną całość.

Przejdźmy teraz do analizy różnicowania się systemu harmonicznego ekwipotencyalnego, uczynionej przez Driescha.

Jak można było widzieć w powyżej wzmiankowanym doświadczeniu nad Clavelliną, dany element „systemu harmonicznego ekwipotencyalnego“ może mieć inne przeznaczenie realne, niż te, któreby miał w normalnej morfogenezie.

Nasuwa się pytanie, dlaczego w danej morfogenezie realne przeznaczenie poszczególnego elementu systemu harmonicznego ekwipotencyalnego jest takie a nie inne? Innemi słowy: Od jakich czynników zależy los realny, to jest „znaczenie prospektywne“ danego elementu organicznego w danej morfogenezie.

To „znaczenie prospektywne“ zależy przede wszystkim od absolutnej wielkości „systemu harmonicznego ekwipotencyalnego“ w danej morfogenezie i od miejsca, zajmowanego przez dany element. Oba te czynniki atoli są zmienne i zależne od operacji, dokonywanej na zwierzęciu, które jest poddane doświadczeniu. Lecz nie tylko od tych dwóch czynników zależy „znaczenie prospektywne“ poszczególnego elementu „systemu harmonicznego ekwipotencyalnego“; zależy ono jeszcze, oczywiście i od czynnika niezmiennego, który jest dany przez samą specyficzność istoty, podlegającej rozwojowi morfogenetycznemu, i obejmuje w szczególności harmonię, cechującą wynik wspólnej pracy morfogenetycznej poszczególnych elementów „systemu harmonicznego ekwipotencyalnego.“

Wyłania się pytanie, jakiej natury jest ten nowy niezmienny czynnik, oznaczony przez Driescha jako czynnik E? Musimy uważać go, jak nam mówi Driesch i jak już zaznaczyliśmy, jako coś zawartego w systemie, albowiem działalność jego nie może być sprowadzoną do działalności czynników, należących do świata zewnętrznego. Czynniki owe, w rzeczy samej, jako to np. tlen, ciepło, światło, ciężenie, nie mogą określić specyficznego charakteru różnicowania się organicznego.

Oдноśnie zaś do różnych faktorów wewnętrznych wskazuje Driesch przedewszystkiem, iż faktor E nie może wyrażać ani wpływu, wywieranego na morfogenezę przez zjawiska jak wzrost, podział komórek, ani też wpływu własności fizycznych materji żywej. Z drugiej strony, specyficzna forma organiczna jest taką, że nie może być wytlómaczoną za pomocą własności chemicznych materji organicznej, albowiem atomy i molekuly mogą same przez się wytlómaczyć li tylko uformowanie kształtu ciał o formach geometrycznych, jak to czynią w krytalografii.

Pozostaje ostatnia jeszcze możliwość wytlómaczenia mechanicznie różnicowania się morfogenetycznego w „systemach harmonicznym ekwipotencyalnym.“ Można by, rzeczywiście, odwołać się jeszcze wyłącznie do agentów fizycznych i chemicznych i przyjąć, jako podstawę morfogenezy, istnienie w „systemie harmonicznym ekwipotencyalnym“ jakiejś maszyny w najszerszym tego słowa znaczeniu, czyli układu typowego składników fizycznych i chemicznych; działalność tych ostatnich miałaby jako wynik coś typowego. Ponieważ działalność tego rodzaju maszyny musiałaby być typową odnośnie do trzech wymiarów przestrzeni, maszyna sama powinna być zbudowaną typowo odnośnie do trzech wymiarów. Atoli i ta możliwość musi być wyłączoną i nie może być przyjętą dla wytlómaczenia różnicowania się „systemu harmonicznego ekwipotencyalnego.“ Istotnie, ponieważ dowolna część, byle tylko niezbyt mała, „systemu harmonicznego ekwipotencyalnego“ zachowuje się jako całość, należałoby przypuścić, iż owa cząstka zawiera w sobie całą maszynę skomplikowaną, jakkolwiek mniejszą, wszakże identyczną z maszyną, stanowiącą całość systemu, do którego cząstka należy (ewentualnie należała). I więcej jeszcze, ponieważ każda część „systemu harmonicznego ekwipotencyalnego“ może wykonać jakąkolwiek część pracy morfogenetycznej „systemu harmonicznego ekwipotencyalnego,“ musiałaby ona zawierać ze swej strony każdą część maszyny nieskończenie skomplikowanej, która stanowi całość systemu.

Taka analiza dowodzi nam wszakże, iż jest niemożliwym, by maszyna nieskończenie skomplikowana, różnie zbudowana, stosownie do trzech wymiarów, mogła być siłą poruszającą w różnicowaniu się morfogenetycznym „systemów harmonicznym ekwipotencyalnym“; musielibyśmy bowiem przypuścić, że maszyna, która stanowi „system harmoniczny ekwipotencyalny,“ może być dzieloną na poszczególne części i pozostawać całą, co jest niedorzeczne. Faktor E zatem nie może być maszyną.



A zatem, wnioskuje Driesch, ani czynniki chemiczne, ani fizyczne, ani też ich typowy układ, nie tłumaczą dostatecznie morfogenezy. Musi więc być coś innego, co należy uważać jako rację dostateczną formy indywidualnej. Pozostaje nam więc uważać E jako faktor „sui generis,” jako „elementarną poszczególną” (Sondernheit) i temu to faktorowi „sui generis” daje Driesch nazwę „Entelechia.”

Drugi dowód witalizmu, który daje Driesch, jest oparty na analizie pochodzenia „systemów ekwipotencyalnych złożonych,” to jest systemów, których poszczególne elementy posiadają tę samą „potencjalność prospektywną” morfogenetyczną i mogą wytworzyć czynności złożone w przestrzeni i czasie.<sup>1)</sup>

Znajdujemy „ekwipotencyalne systemy złożone” jako podstawę w pewnych wypadkach regeneracji, która się spotyka w świecie organicznym; ale znajdujemy również ekwipotencyalny system złożony w ciele każdej żywej istoty. „W rzeczy samej—jak mówi Driesch—system komórek, służących rozmnażaniu się gatunku, innemi słowy narząd płciowy, jest najoczywistszym typem „ekwipotencyalnego systemu złożonego.” Oto np. w jajniku jeżowca morskiego znajduje się morfogenetyczny system, którego każdy poszczególny element jest jednakowo zdolny do wykonywania tej samej złożonej pracy morfogenetycznej, czyli wytworzenia całkowitego osobnika.

Jeżeli skierujemy teraz z Drieschem naszą uwagę na zagadnienie pochodzenia „systemów ekwipotencyalnych złożonych,” zobaczymy, że systemy te pochodzą od jednej komórki, dzięki szeregowi podziałów komórkowych.

Gdybyśmy zatem, rozumuje Driesch, dla wytłumaczenia morfogenetycznej pracy, którą może wykonać każdy poszczególny element „systemu ekwipotencyalnego złożonego,” chcieli upatrywać w każdym elemencie istnienie złożonej maszyny, różnie zbudowanej, według trzech wymiarów, musielibyśmy przyjąć, że podobna maszyna, którą powinienby również posiadać element, z którego tamte powstały,<sup>2)</sup> mogła wielokrotnie być dzieloną i pozostawać

<sup>1)</sup> Przeciwnie, czynności, wykonane w danej morfogenezie przez pojedyncze elementy „systemu harmonicznego ekwipotencyalnego,” są czynnościami prostymi i tylko wszystkie wzięte razem tworzą całość harmoniczną.

<sup>2)</sup> Na możliwy zarzut, że w czasie podziału komórek w narządzie płciowym nie istniała jeszcze owa skomplikowana maszyna, któraby została sfornowana dopiero po ukończeniu wszystkich komórek, odpowiada Driesch

stać całą. Ale to jest niemożliwe. A ponieważ niemożliwym byłoby wytlómaczyć mechanistycznie morfogenezę inaczej, jak przypuszczając konieczne istnienie skomplikowanej maszyny, będącej poruszającą siłą morfogenezy, musimy przyjąć, wnioskuje Driesch, że u podstawy systemów ekwipotencyalnych złożonych znajduje się coś nieorganicznego, coś autonomicznego.

I to coś nazywa Driesch i tutaj „Entelechią.“

Opierając się na swych dowodach witalizmu, twierdzi Driesch kategorycznie, że zjawiska życiowe nie dają się sprowadzać do zjawisk fizyko-chemicznych i głosi wyraźnie z tem, co nazywa autonomią życia, iż życie ma swe własne prawa.

Odróżniając wyraźnie „celowość statyczną,“ która ma podstawę w typowej konformacji materyalnych składników, jednym słowem w maszynie, i „celowość dynamiczną,“ właściwą istotom żyjącym i mającą swą rację bytu w „entelechii,“ mógł Driesch pierwszy wśród witalistów niemieckich ustalić, że terminy „witalistyczny“ i „teleologiczny“ nie są równoznaczne.

Pozostaje powiedzieć jeszcze kilka słów o „entelechii“ Driescha. Nazwę tę, zapożyczoną z terminologii Arystotelesa, daje Driesch faktorowi autonomicznemu, którego istnienie jest nam wskazane przez dwa pierwsze jego dowody witalizmu i który się znajduje u podstawy morfogenezy. Terminu „entelechia“ używa on jako hołd, który oddaje Arystotelesowi, nie pragnąc wszakże identyfikować swojej „entelechii“ z „entelechią“ Stagiryty.

Istotnie, według Driescha, entelechia i materya są to dwa jestestwa zewnętrzne jedno w stosunku do drugiego. Dla Driescha zatem nie jest entelechia substancyjalną formą organizmu. Aby usprawiedliwić wprowadzenie słowa „entelechia,“ mówi Driesch: „Etymologia słowa „entelechia“ upoważnia nas do tego, dowiedliśmy bowiem, że w procesach życiowych wchodzi w grę coś, co zawiera samo w sobie cel „ὅ ἐστὶ ἐν ἑαυτῷ τὸ τέλος.“

Według Driescha, „entelechia“ to nie siła, nie energia, nie stała własność systemu organicznego, to czynnik, który nie jest zlokalizowany w przestrzeni, lecz który ma tylko punkty działalności w przestrzeni. Z drugiej strony „entelechia,“ podług Drie-

w „Science“ (str 226): „Dobrze, lecz cóż wtedy buduje tę maszynę w ostatecznych komórkach naszych systemów, mianowicie w jajach? Może inny rodzaj maszyny? Atoli takie przypuszczenie nie wieleby pomogło. Lub może ta entelechia, o której mówiliśmy? Wtedy ucieklibyśmy się do pierwszego dowodu witalizmu.“



scha, to nie przyczynowość, to nie „substancya,” użyta we właściwym tego słowa znaczeniu, używanem w nauce o świecie nieorganicznym w znaczeniu, które zawiera znajdowanie się w związku z przestrzenią; „entelechia” jest tylko podobna do „przyczynowości” i do „substancji” i wymaga istnienia jednej i drugiej, ale sama jest czemś więcej, niż one. „Entelechia,” podług Driescha, to czynnik regulujący, budujący, indywidualizujący; jeśli atoli, podług Driescha, entelechia jest czynnikiem indywidualizującym, jest ona sama czemś „supraindywidualnem,” „ponadosobowem.”<sup>1)</sup>

Gdy Reinke, Wolff i Driesch nie uciekają się dla wytlómaczenia procesów organicznych morfogenetycznych i fizjologicznych i ich celowościowego charakteru do procesów psychicznych, któreby się odbywały w organizmach, czyni to R. Neumeister. Można też nazwać jego witalizm „psychowitalizmem.”<sup>2)</sup>

Już sam fakt, że przebieg procesów w organizmach bywa regulowany w sposób celowościowy, stosownie do danych konkretnych warunków, nie daje się wytłómaczyć podług Neumeistra inaczej, jak za pomocą własności psychicznych protoplazmy. Zgodnie z tem przekonaniem twierdzi on, iż „zastanawiając się nad przyjmowaniem pokarmów, nad ich przenoszeniem i nad procesem wydzielania, to jest nad zamianą materji naogół (i nie inaczej rzecz się ma przy działalności kształtującej i przy zjawiskach ruchu), jest się zmuszonym do przyjęcia we wszystkich żyjących komórkach pierwotnie występującego w protoplazmie czucia (Emp-

<sup>1)</sup> Nie uwzględniliśmy tutaj obszernej czysto-filozoficznej części systemu, gdzie Driesch porusza najważniejsze zagadnienia filozoficzne, bada stosunek entelechii do kategorii „substancji” i „przyczynowości” i gdzie z punktu widzenia kryteriologii usprawiedliwia witalizm, wskazując na istnienie specjalnej kategorii, nazwanej przez niego „individuality,” albo „constructivity,” która pozwala nam „pojąć” stawanie się witalistyczne, „pojąć” entelechię w ten sam sposób, jak kategorie „przyczynowość” i „substancya” pozwalają nam „pojąć” stawanie się nieorganiczne. Patrz „Science,” t. II.

<sup>2)</sup> Wśród innych psychowitalistów, należy jeszcze wymienić przede wszystkim K. C. Schneidera. Zasadniczy punkt widzenia tego uczonego polega na przyjęciu w organizmach specjalnej psychicznej substancji życiowej, która ma być zarazem substratum specjalnej psychicznej energii życiowej: Patrz np. K. C. Schneider: „Versuch einer Begründung der Descendenztheorie,” str. 8; artykuł „Vitalismus” w „Zeitschrift für den Ausbau der Entwicklungslehre,” 1907, № 1/2, str. 23; „Die Grundgesetze der Descendenztheorie,” 1910, str. 32 i nast.

findung).“<sup>1)</sup> Przypisuje też Neumeister czucie każdej protoplazmie, lecz oprócz tego przypisuje on każdej istocie żywej również wyobrażenie, uczucie, pożądanie i pamięć.

Podług Neumeistra, w każdej aktywnej protoplazmie procesy psychiczne i materyalne nieustannie oddziałują jedne na drugie i w tem ciągłym wzajemnym oddziaływaniu trzeba szukać istoty procesu życiowego.

„Istnienie organizmu—dodaje on—jest związane z równoczesnym zjawieniem się psychiki i odpowiadającego jej mechanizmu. Proces życiowy bowiem jest mechanizmem, a zarazem i psychiką.“

Psychika i mechanizm materyi żyjącej są, podług Neumeistra, nieodłączne jedno od drugiego i ten mechanizm procesów życiowych, zarówno jak i warunkujące go procesy psychiczne muszą pozostać dla nas czemś niezrozumiałem i wieczną tajemnicą.

#### IV.

Tak się przedstawia ów ruch neowitalistyczny w biologii.

Ramy artykułu nie pozwalają dać dokładnej oceny neowitalizmu. Na kilka punktów atoli pragnąłbym zwrócić uwagę.

Przedewszystkiem, neowitalizm to nie rzecznik zacofania naukowego, nie fala wsteczna, jak uparcie twierdzą jego przeciwnicy, nie prąd, któryby się opierał postępowi wiedzy lub zapoznawał zdobycze nauki; przeciwnie, bezstronne badanie neowitalizmu, to ruch, kroczący z postępowem wiedzy i uwzględniający każdy rzeczywisty dorobek myśli ludzkiej, każdą rzeczywistą zdobycz wiedzy, dotyczącą roli czynników fizyko-chemicznych w procesach życiowych, a stający jedynie do walki z mechanistycznym poglądem na życie, z nieuznaniem istnienia różnicy zasadniczej między światem organicznym i nieorganicznym, stający zatem do walki z zapatrywaniem filozoficznym, które tylko dogmatyzm monistyczny lub materyalistyczny uważać może jako coś nietykalnego, jako coś istotnie i nierozłącznie związanego z postępowem myśli i wiedzy ludzkiej. Jako najlepszy zresztą dowód, że neowitalizm nie jest objawem zacofania naukowego, nie jest ruchem, sprzeciwiającym się postępowi nauki, służyć może fakt,

---

<sup>1)</sup> Neumeister: „Betrachtungen über das Wesen der Lebenserscheinungen,“ 1903, str. 29.



że neowitaliści nie bronią witalizmu w imię przestarzałych postulatów filozoficznych, lecz opierając się na faktach pozytywnych, ujawnionych przeważnie przez najnowsze postępy nauki. Przewszystkiem opierają się oni na faktach, ujawnionych przez embryologię eksperymentalną, ową nową gałąź biologii, wyniki której dostarczyły bogatego materiału, szczególnie dla pierwszego, a w części i dla drugiego dowodu Driescha, w imię których Wolff wystąpił ze swą „Primäre Zweckmässigkeit.“

Przechodząc teraz do oceny oddzielnych systematów neowitalistycznych, musimy zaznaczyć, że te oddzielne systemy neowitalistów mają niewątpliwie słabe strony. W kilku słowach wskażemy też ważniejsze braki systemów H. Driescha, R. Neumeistra, J. Reinkego i G. Wolffa.

Drieschowi np. można zarzucić, że uważa on entelechię jako czynnik ponadindywidualny. Istotnie, takie pojęcie o entelechii źle się godzi z faktem, że świat życia jest światem osobników wewnętrznie a także i zewnętrznie w znacznym stopniu niezależnych jedne od drugich, których interesy mogą nieraz być ze sobą w sprzeczności. Ta cecha istot żywych, zarówno jak i okoliczność, że narówni z utrzymaniem życia gatunku i utrzymanie życia jednostki jest nie dającym się zaprzeczyć celem zjawisk życiowych danego osobnika, zdaje się wymagać z punktu widzenia witalistycznego, aby każdemu organizmowi przypisać jego własną entelechię.

Co się tyczy systemu Neumeistra, wypada zaznaczyć, iż uczyony ten, który zdaje się nie przyjmować istnienia w organizmie jedność stanowiącego „zjednoczającego“ pierwiastku życiowego, nie może tłumaczyć ze swym „psychowitalizmem“ jedności w kierowaniu życiowem procesów organicznych.<sup>1)</sup>

J. Reinkemu i G. Wolffowi wreszcie można zarzucić ich jakby prowizoryczne stanowisko, ich punkt widzenia, który nie wyłącza absolutnej możności mechanistycznego poglądu i który zatem jest bezsilny wobec przedstawienia mu mechanizmu, jako możliwego tłumaczenia życia.

---

<sup>1)</sup> Patrz Gemelli: „Enigma della Vita,“ str. 150; Sinety: „Monisme psychologique,“ str. 18 (wyciąg z „Revue Scientifique,“ 1910), gdzie tenże argument jest skierowany przeciw monizmowi psychologicznemu, który stara się wytłumaczyć życie za pomocą własności psychicznych (szczególnie intelektualnych) organizmów, ale nie przypisuje tym ostatnim jedność stanowiącego, zjednoczającego pierwiastku życiowego.

Nie należy wszakże przeceniać znaczenia tych poszczególnych, słabych stron systemów neowitalistycznych, gdy chodzi o ocenę wartości samej idei witalistycznej, z taką energią bronionej przez neowitalistów, wartości, którą wykazanie tych słabych stron pozostawia nietkniętą. Przeciwnie, trzeba zaznaczyć, że pomimo braków oddzielnych systemów neowitalistycznych, a nawet pomimo niedostateczności niektórych argumentów,<sup>1)</sup> na które powołują się neowitaliści dla uzasadnienia idei witalistycznej, witalizm pozyskał dzięki pracom neowitalistów podstawę silniejszą od tej, na której przedtem opierać się musiał, a pozyskał ją przede wszystkim w dowodach Driescha, które istotnie zdają się udawadniać witalizm w sposób matematycznie ścisły i które są pierwszymi dowodami witalizmu, posiadającymi charakter ścisłości matematycznej.

Obejmując całość ruchu neowitalistycznego, dochodzimy do wniosku, że jest to prąd ściśle związany z najnowszym postępem nauki, organicznie złączony z wiedzą współczesną, a nie jakieś sztuczne, wbrew postępowi nauki uczynione, zaszczerpienie prastarej doktryny witalistycznej na gmachu współczesnej wiedzy i myśli.

BOHDAN RUTKIEWICZ.

---

<sup>1)</sup> Tak np. niewystarczającym jest dla uzasadnienia witalizmu samostwierdzenie, jak to nieraz czynią neowitaliści, celowości organicznej lub harmonii w procesach organicznych. W rzeczy samej, z wyżej wymienionych właściwości organizmów, nie wynika jeszcze w sposób bezpośredni, że w organizmie znajduje się pierwiastek suprafizyczny, a to dlatego, że maszyna może być podstawą stawania się celowościowego i harmonicznego. Aby mózł wywnioskować, czy harmonia i celowość, ujawniające się w procesach organicznych dają się, lub nie, wytłumaczyć mechanistycznie, należy zbadać dokładniej ich charakter i zanalizować warunki, w jakich one powstają i istnieją w organizmie.



# *Malarstwo holenderskie.*

---

Charakter odrębny malarstwa holenderskiego XVII wieku, tak silnie odbijający od wszystkich ówczesnych i dawniejszych szkół malarskich, starano się wogóle tłumaczyć warunkami politycznymi i społecznymi, w jakich znajdowała się Holandia w epoce niespodziewanie świetnego rozkwitu tej sztuki na jej niewyzyskanym dotąd pod tym względem gruncie.

Charakter ten, jak wiadomo, jest realistyczny i naturalistyczny, wynika bowiem z bezpośredniej obserwacji natury i jej naśladowania, bez żadnej transpozycji wszelkich jej objawów, a zwłaszcza tych, które dotąd, jako poziome, pospolite lub trywialne, ze sztuki były wyłączone. Przeciwstawia się on z tego względu zarówno spirytualizmowi mistycyzmu sztuki średniowiecznej, jak i idealizmowi piękna zewnętrznego natchnionemu przez sztukę starożytną mistrzom włoskiego Odrodzenia. Malarstwo holenderskie zatem, jeśli pominiemy nielicznych malarzów z okresu poprzedzającego połowę wieku XVI, jak Gerarda z Harlemu (około r. 1400) i Łukasza z Lejdy (1494 — 1533), należących całkowicie do średniowiecznej szkoły flamandzkiej, uważać trzeba za wytwór miejscowy, samorodny nie mający bliższego związku z żadnym znanym przed lub w czasie jego powstania kierunkiem tej sztuki w innych krajach. Zjawia się ono nagle w najburzliwszej chwili walki o niepodległość, rozwija się i dochodzi do szczytu równoległe ze wzrostem znaczenia politycznego narodu, by, wraz z temże, wypełniwszy niemal całe jedno stulecie—wiek XVII, zniknąć jak meteor. Od tej chwili, jeśli są jeszcze malarze holenderscy, to o malarstwie holenderskiem niema już mowy, gdyż zaszczerpione na zepsutych wzorach włoskich straciło ono

wtedy całą swą oryginalność i wszystkie zalety, którym zawdzięczało swe wyróżnienie wielkiego okresu. Pomiędzy rozwojem wypadków historycznych na tej wiecznie i zewsząd zagrożonej ziemi, a niezwykłym wykwitem talentów malarskich, wyrastających z gleby ojczystej jednocześnie i w wielkiej liczbie, jak grzyby po deszczu, zdaje się przeto zachodzić jakiś związek. Czy związek ten jest istotny, jak chce wielu historyków sztuki, czy tylko przypadkowy, jak skądinąd sądzić można, to w gruncie rzeczy jest obojętne. Fakt ukazania się nowej oryginalnej szkoły malarskiej, niemal bezpośrednio w swej fazie najwyższej, prawie bez okresu przygotowawczego, stanowi w każdym razie świetny i niewątpliwy dowód wyjątkowych przymiotów kulturalnych narodu holenderskiego. Niewątpliwie rozdział polityczny i religijny, jaki nastąpił wówczas pomiędzy Holandją i Flandryą, przyczynił się bardzo znacznie do wyzwolenia malarstwa holenderskiego od wpływów flamandzkich, którym do tej chwili było podległe. Wszakże tłumaczenie realizmu Holendrów, który zresztą leży już w podstawie sztuki flamandzkiej, a tylko przybiera inną formę — skutkami wypadków historycznych, dążeń politycznych oraz reformy religijnej, aczkolwiek przedstawia pozory racjonalne, przyjmować należy z zastrzeżeniem.

Wszystkie te czynniki miały bezwątpienia swój większy lub mniejszy wpływ w tym kierunku, ale nie stworzyłyby go same przez się, gdyby realizm nie leżał w usposobieniu Holendrów, i to realizm zwłaszcza w sposobie rozumienia i odczuwania natury, co, będąc właściwością wrodzoną, od wpływów zewnętrznych nie więcej zależy, jak np. rodzaj głosu śpiewaka nie zależy od jego wyznania lub przekonań politycznych, ani od otoczenia, w którym się wychował. Natomiast sposób interpretowania natury wiąże się bardzo ściśle ze sposobem jej odczuwania. Pierwsze wynikać musi z drugiego, jeżeli artysta jest szczery. A wiemy, że szczerłość jest pierwszym warunkiem wartości dzieła sztuki, ta bowiem zależy od sumy i jakości wyrażonego w niem wrażenia lub wzruszenia, pod którego bodźcem artysta je wykonał. Nieszczerość artysty, który stara się wyrazić wzruszenie, jakiego w istocie nie doznawał, odbija się z konieczności w jego dziele. Jest ono wtedy obojętnem, nie przemawiającem, konwencyonalem, jak to z łatwością daje się zauważyć u wszystkich naśladowców i epigonów. Malarstwo holenderskie wielkiego okresu, t. j. wieku XVII, jako bezwzględnie oryginalne, odznacza się właśnie w najwyższym stopniu tą szczerością i za to też przede wszystkim jest tak wysoko cenione.



Jeżeli ani ówczesne warunki polityczne Holandyi, ani reforma religijna, ściśle mówiąc, zasadniczego charakteru malarstwa narodowego nie wytworzyły, to nie ulega wątpliwości, iż wpłynęły na jego cechy zewnętrzne. Nieobecność dworu królewskiego i domów magnackich, a wskutek tego brak zapotrzebowania na wielkie kompozycje dekoracyjne, historyczne, alegoryczne i t. p., głoszące sławę władców i przeznaczone dla ozdoby ich pałaców, zmusiło malarzów holenderskich do zużytkowania swego talentu w skromniejszym zakresie i liczenia się z upodobaniami, potrzebami i środkami nabywców ze sfer mniej wysokich.

Z drugiej strony Reforma, wyłączając obrazy z kościołów, przyczyniła się w wysokim stopniu do porzucenia tematów religijnych, które, o ile zjawiają się jeszcze u mistrzów holenderskich tego okresu, to przybierają przeważnie drobne rozmiary i charakter wyłącznie ludzki i anegdotyczny zwyczajnych scen z życia powszedniego, a w każdym razie niepodobny do stylu, uświęconego w tym kierunku przez Odrodzenie. Tak więc rodzaje ornamentacyjny i religijny stały się dla malarstwa holenderskiego niedostępne. W zwykłych warunkach takie ograniczenie byłoby całkowicie stłumiło wszelkie skłonności malarskie, malarstwo, jako zbyt cenne, nie byłoby się wcale rozwinęło, a nieliczne zapotrzebowania w tym zakresie byłaby zaspokoila zagranica, jak to działo się u wielu narodów, nie posiadających sztuki i artystów własnych. Inaczej rzecz się miała tutaj. Te szczególnie niekorzystne dla rozwoju sztuki malarskiej okoliczności nietylko jej nie przeszkodziły, lecz przeciwnie dopomogły jej do pozyskania charakteru odrębnego, rodzimego i wybitnie oryginalnego. Cała kohorta talentów samorodnych powstała nagle z taką siłą, że nic ich ujawnienia powstrzymać nie mogło. Spotkawszy wyłuszczone wyżej przeszkody na drodze, wskazanej przez mistrzów włoskich i ich flamandzkich wychowawców, malarze holenderscy zwrócili się po wzór i natchnienie do tego, co najbardziej odpowiadało ich wrodzonym skłonnościom — do natury swojskiej i otaczającego ich najbliższej życia. Ze sztuki boskiej i pańskiej, jakiem było dotąd wyłącznie, malarstwo stało się tutaj ludzkim i tylko ludzkim, w znaczeniu najbardziej zwyczajnym i pospolitem. Dążenie do szlachetności linii i rysów idealnego piękna typu, którego tu nie znajdował, nawet w dalekiem przybliżeniu, którego też przeważnie wyobrazić sobie nie potrafił, artysta holenderski zastąpił poszukiwaniem efektów barwnych i świetlnych, w ich najsubtelniejszych odcieniach, i to stanowi, że tak powiemy, stronę idealną jego realizmu. Ar-

tysta jest tu więc przede wszystkim lub co najmniej stara się być kolorystą.

Pierwszy lepszy drobny obrazek, przedstawiający samą przez się mało znaczącą scenę z życia codziennego czy to w pokoju lub kuchni zamężnego mieszczańskiego domu, czy to w karczemnym wyuzdaniu lub orgii kiermaszu, jest arcydziełem sztuki, dzięki swym zaletom barwnym i ciekawym efektem światłocieniowym.

W sztuce starożytnej i Odrodzenia, równie jak i w średnio-wiecznej, postać ludzka stanowiła przedmiot dzieła niezbędną, niemal jedyną i wyłączną, bo w jej to kształtach albo wyobrażano sobie ideał piękna plastycznego i nadawano je bogom i bohaterom, albo stosownie do pojęć chrześcijańskich, widząc w niej podobieństwo boskie, a także istotę widzialną Boga-człowieka, starano się za ich pośrednictwem o wyrażenie ideału piękna duchowego. Przy takiej koncepcyi, postać ludzka, czy miała wyobrażać bogów i bohaterów pogańskich, czy Boga chrześcijańskiego, aniołów lub złych duchów, świętych i męczenników — była w obrazie wszystkim, wypełniała sobą wszystko, usuwając zeń zupełnie, cokolwiek nie miało form ludzkich, lub pozostawiając mu drobną i podrzędną rolę akcesoryun.

Malarze holenderscy, o ile obraz nie był portretem, udzielili natomiast człowiekowi, tyle tylko miejsca, ile on rzeczywiście zajmuje w naturze i rozszerzając coraz bardziej otaczające go ramy, nadali tej ostatniej znaczenie przeważające, aż wreszcie usunęli człowieka całkowicie, zastępując go zwierzętami, martwą naturą i samą przyrodą. Oni też to są pierwszymi pejzażystami, twórcami nowożytnego pejzażu. W ich obrazach nie znajdujemy żadnej uprzednio powziętej myśli, żadnego naprzdó doznanego uczucia, żadnych dążeń duchowych, żadnej wyobraźni, a zatem i żadnej poezyi. Cała zaleta ich dzieł polega na wybornem, wyłącznym malarskiem odczuciu odtworzonej sceny, osoby, przedmiotu lub widoku, w ich właściwym, bezpośrednio zaobserwowanym, zewnętrznym charakterze — w kolorze, światłocieniu, perspektywie, oddaleniu i powietrzności. Jedyłą ich troską, jedynym celem, zdaje się być możliwie dokładne odbicie i naśladowanie tego, co mieli przed oczyma, a więc powierzchowności swego kraju i jego życia w rozlicznych tegoż objawach. Ale sumiennosc ich obserwacyi jest tak ścisła i szczerosc tak zupełna; w życiu, które malują, biorą oni udział tak blizki, że poszukując li tylko rysów powierzchownych, odnajdują mimowolnie i bezwiednie głębszy i prawdziwy charakter życia narodowego. Z tego względu są oni też istotnie, jak ich trafnie określił Fromentin, portreci-



stami Holandyi. Podobnie, jak widoki i sceny rodzajowe starają się oni przedstawić, jak je widzieli, bez żadnej zmiany, bez żadnego innego celu, prócz chęci oddania malowniczego efektu, który pociągnął ich uwagę i pobudził zmysł malarski, tak też w portrecie osób szukają poprostu najdokładniejszego podobieństwa i nic więcej, bez upiększenia, bez idealizacyi, bez póż i efektów wyszukanych, bez zbytku akcesoryi. Ale i tu ściśle i sumiennie wystudyowanym rysom zewnętrznym umieją nadać tyle życia, że dają odczuć poza niemi wyraz i charakter indywidualny, a więc istotę duchową modelu.

W portrecie więc, równie jak w scenach rodzajowych i pejzażu są oni prawdziwymi mistrzami. W nim to ówczesni malarze holenderscy znaleźli sposobność malowania figur naturalnej wielkości i pole do popisów w charakterystycznym odtwarzaniu podobieństwa tak w rysach twarzy, jak i w szczegółach stroju. Portretem, którego użyteczność w praktycznym społeczeństwie najłatwiej zrozumiano, zyskali sobie ci artyści najwięcej uznania i wziętości u współczesnych i nie mniej korzyści materialnych.

Zapoczątkowany przez nich portret zbiorowy, którym zastąpili wielkie kompozycje, przyczynił im liczne zamówienia od różnych ciał społecznych i zawodowych. Burmistrzowie, członkowie cechów i stowarzyszeń, lekarze i uczeni zapragnęli przekazać potomności swe podobizny i ubiegali się w zamówieniach tego rodzaju u najbardziej cenionych mistrzów.

Do takich też należał pierwszy w szeregu wielkich portrecistów holenderskich, słynny *Franz Hals* (1584 — 1666), urodzony wprawdzie w Malines, ale ze względu na spędzenie całego życia i dokonanie całego swego dzieła w Harlemie, zaliczający się bez kwestyi do szkoły holenderskiej. Hals, który pewnością swej techniki, doskonałym posiadaniem wszystkich środków swej sztuki, łatwością i szybkością w ich użyciu, oraz pobobieństwem swych portretów przewyższał Rembrandta, jest wzorem, któremu pewnie dotąd nikt nie dorównał. Techniki swej, w której odrazu rzuca się w oczy odstęp, jaki go dzieli, a z nim całe malarstwo holenderskie XVII w., od szkół włoskich i flamandzkich, sam jest on twórcą. Nikt ze współczesnych i późniejszych mistrzów portretu nie potrafił tak, jak on, uchwycić, zaznaczyć i podkreślić rysu najbardziej charakterystycznego, nie zaniedbując przytem rysów drugorzędnych, dać ładzący wyraz życia malowanej postaci i uczynić tego z takim szerokim rozmachem, z taką siłą temperamentu, by, dać odczuć patrzącym żywą, zdrową werwę, z jaką dzieła swe wykonywał. Jest to talent szczęśliwy, rozpo-

rządzący okiem niezawodnem i bajecznej zręczności ręką, któremu życie w karczmie i niewylewanie za kołnierz nie przeszkodziło w uprawianiu sztuki z tak świetnym rezultatem aż do najpóźniejszej starości. Jego portrety, malowane od jednego rzutu, odznaczają się też świeżością barwy, użytej śmiało i bez wahania, i jeżeli nie dają nic więcej, prócz natury, to ją dają całkowitą, zupełną, z jej plastyką, z jej gammą barwną, z jej atmosferą i ze wszystkimi oznakami jej życia.

Jest to sztuka, odtwarzająca w całym tego słowa znaczeniu prawdę — prawdę materyjalną, pozytywną, zewnętrzną. Jest ona jasna, wyraźna, szczerą—mówi wszystko, co ma do powiedzenia, wprost, do ostatniego słowa, środkami własnymi, nie pozostawiając nic dla domysłów i komentarzy, nic, czegoby szukać trzeba poza nią.

I z tych wszystkich względów Hals ma pierwszorzędne znaczenie nie tylko w szkole holenderskiej, której jest jednym z najlepszych i najbardziej typowych przedstawicieli, ale i w ogóle w malarstwie nowożytnem.

Prócz tego, czem jest sam przez się, ma on jeszcze i tę niepospolitą zasługę, że przyczynił się pośrednio, choć mistrzem jego nie był, do urobienia, przynajmniej z pewnej strony, artystycznej indywidualności tego, który miał swym geniuszem wnieść malarstwo holenderskie na szczyty, jakich w historii sztuki świata dosięgły tylko wyjątkowo uprzywilejowane jednostki artystyczne. Ani Hals, ani Rembrandt, bo naturalnie, o nim tu mowa—te dwie potęgi, każda w swoim rodzaju niemal sobie równe — choć mieli uczniów, jednak szkoły własnej w ścisłym znaczeniu nie wytworzyli. Uczniowie Halsa bardziej, niż doktrynami malarskimi, przypominają go raczej cygańskim rodzajem życia, pijaństwem i hulanką, co też stało się przedmiotem ich obrazów. Rembrandt znalazł utalentowanych naśladowców, z których niektórzy potrafili bardzo blisko przyswoić sobie jego manierę, ale kontynuatorów nie miał. Życie *Rembrandta* (1607—1669) choć wielokrotnie i obszernie opisywane, posiada dotąd szczegóły nie wyjaśnione, nawet data jego urodzenia nie jest pewną — umieszczają ją zwykle pomiędzy r. 1606 a 1608, co wszystko, przy szczególnych, sprzecznych właściwościach jego charakteru, obyczajach niekiedy dziwacznych i życiu odludnem, czyniło zeń postać zarazem sławną, powszechnie znaną i zagadkową, jak jego dzieło, tylekroć razy sondowane i komentowane i zawsze tajemnicze, bo ukrywające ducha, który szukał drogi całe życie, dał przebłytny swej obecności olśniewające, ale wypowiedział się całkowicie tylko wyjątkowo.



Życie jego samotne, spędzone w nieustannej pracy nad udoskonaleniem sposobów wyrażenia swej sztuki i poszukiwania ideału, którego urzeczywistnienia chwilami zdawał się blizkim, nie było ani błyszczące, pomimo sławy i uznania, jakie posiadał stonkowo wcześniej, ani szczęśliwe. Jakaś gorczyz ukrytego cierpienia, jakieś dumne zaparcie wobec zawodów, niepowodzeń i nieszczęść, niesprawiedliwości losu i obojętności ludzkiej — daje się w nim odczuć. Zamiłowanie do pracy poważnej, do zbierania przedmiotów rzadkich i ciekawych, a również nieuczęszczanie do szynku, co wówczas było rzeczą wyjątkową i poczytywaną za dziwactwo, odosabniało go i odstręczało ludzi od przebywania w jego towarzystwie, do czego, zapewne, przyczyniał się też jego charakter surowy i niedość giętki, może zamknięty i nieprzystępny. Faktem jest, że przyjaciół prawdziwych Rembrandt nie miał. Sława nie przyniosła mu, jak Rubensowi, którego jest on przeciwieństwem pod każdym względem, ani bogactwa, ani zaszczytów, ani nawet współczucia u ziomeków, którzy go podziwiali, ale nie rozumieli. W życiu domowym nie był też szczęśliwszym. W związku małżeńskie wstępował aż trzy razy. Pierwsza jego żona, Saskia Uilenburg, młoda i piękna, którą kochał, którą malował niezliczoną ilość razy, w najrozmaitszych przebraaniach, lub rozebraną, która wniosła jaśniejszy promień niewieściego wdzięku do jego życia nieco posępnego, zmarła po ośmiu latach. Dom jego w Amsterdamie i zbiory, na które się rujnował, sprzedano mu przez licytację, dla zaspokojenia wierzycieli. Jednym słowem, niepowodzenie prześladowało go całe życie. Jest to widać cena, którą geniusz okupić musi swą wyższość. Szczęście w znaczeniu pospolitem wyjątkowo tylko jest jego udziałem. Ale cechą też geniuszu jest, że żadne przeciwności nie są w stanie go zniechęcić, odwrócić od dzieła, którego ma dokonać, ani sprowadzić z przeznaczonej mu drogi. Rembrandt w najgorszych chwilach tworzy swe najświetniejsze arcydzieła, nie mówiąc o sztychach, szkicach i drobniejszych pracach, od których się nigdy nie odrywał.

Za wszystkie przeciwności życiowe odebrał on wszakże nagrodę w sławie, która uczyniła go nieśmiertelnym, która z upływem czasu nie niknie, lecz wzrasta do coraz większych rozmiarów. Imię jego słynie w całym cywilizowanym świecie. Wielkość jego geniuszu, mówiąc nawiasem, nie zawsze dobrze rozumiana, nie ulega wątpliwości dla nikogo. Na czym polega ta wielkość? Jaka jest jego wartość istotna? Za co go tak wysoko cenimy? Oto pytania, na które u najbardziej zapalonych je-

go wielbicieli i komentatorów rzadko kiedy znajdujemy ścisłą odpowiedź.

Geniusz Rembrandta jest wogóle przyjęty przez nich, jako fakt nadprzyrodzony, jako dogmat, którego się nie dyskutuje. Dzieła jego zatem wymagają podziwu i uwielbienia dla tego samego, że są jego tworem. Z tych pochwał i zachwytów nieumiarkowanych i często zastosowanych niewłaściwie, przeważnie nic, prócz nic nieznaczących ogólników, wycisnąć nie można.

Czy jest to godne człowieka tej miary i tych zasług, co Rembrandt? Sądzimy, że nie i że o wiele więcej uznania okaże mu, kto stara się jego dzieło poznać i zrozumieć, aniżeli kto sili się na próżne pochwalne frazesy, nie wiedząc w gruncie, albo nie tłumacząc, lub, co gorsza, tłumacząc błędnie, jakie są tegoż prawdziwe przymioty, dzięki którym Rembrandt wzniósł się tak wysoko w oczach świata i które go wyróżniły z pośród licznych i świetnych otaczających go talentów. W istocie, przymioty te są nader złożone i zmienne, a nawet sprzeczne. Dlatego są tak nieuchwytny, pomimo, że uderzają, i stąd też pochodzi, że w wygłaszanych o nim sądach, chociażby w sumie błędnych, jest zawsze część prawdy.

Powiedziano o nim, że jest wyrazem reakcji realizmu przeciw idealizmowi oraz panowaniu tematów religijnych i mitologii w szkołach Odrodzenia, a nie było chyba nigdy malarza więcej zamiłowanego we wszystkim, co nadzwyczajne, tajemnicze i zagadkowe, jednym słowem — w nierealnym, zaś tematy biblijno-religijne zajmują w jego twórczości poważne miejsce, znajdują się wśród jego najcenniejszych arcydzieł i wskutek tego, wbrew ogólnemu przekonaniu, które go stawia na czele szkoły holenderskiej, Rembrandt jest w tej szkole prawdziwym wyjątkiem. Uznano go za wynalazcę metody światłocienia, a przecież była ona stosowana przed nim i nietylko w Holandyi. Stawiano go, jako mistrza portretu, a wiadomo, że, z wyjątkiem kilku, portretem przezeń malowanym brak zasadniczego warunku — podobieństwa. Hals, Van der Helst, Ravesteyn, by wymienić tylko najpierwszych, przewyższają go na tym punkcie. Wreszcie uczyniono go największym, jaki kiedykolwiek był na świecie, kolorystą, co, jeśli określenie „kolorysta“ mamy przyjąć w znaczeniu ścisłym, nie jest prawdą.

Dodajmy, że wszystkie te sądy o Rembrancie zostały wydane na podstawie najśłynniejszego, ale i najbardziej niekonsekwentnego dzieła tegoż, znanego pod nazwą „Patrol nocny,“ dzieła, które skutkiem takiegoż niedokładnego pojmowania rzeczy,



a także rodzaju pansuggestyi, jakiej, zwłaszcza umysły mało krytyczne i skłonne do entuzjazmu dość łatwo ulegają, nawet wbrew wewnętrznym wątpliwościom, uczyniono mylnie największem arcydziełem mistrza, jednym z tych wyjątkowych arcydzieł, zaliczonych do rzędu t. zw. „cudów świata.“

O ile to wszystko nie zgadza się z prawdą, o ile wykrzywia i mąci pojęcie o rzeczywistem znaczeniu Rembrandta i jego zasługach istotnych, wyłożył nadzwyczaj wymownie i przekonywująco znakomity malarz i pisarz francuski, Eugeniusz Fromentin. Nikt lepiej od niego nie potrafił sprostować tych fałszywych, ale zakorzenionych sądów o mistrzu z Lejdy, które właściwiej nazwaćby można przesadami. Dla wyjaśnienia zatem tej kwestyi, niepotrzebnie zagmatwanej przez niekompetentnych wielbicieli, oprzemy się na powadze i wysokiej kompetencyi tego autora i pozwolimy sobie w tym celu przytoczyć niezmiernie ciekawe i nauczające ustępy, tyżące tego przedmiotu, z jego wybornego studyum p. t. „Les Maitres d'autrefois.“

Jakkolwiek „Patrol nocny“ nie daje w istocie miary najwyższego rozwoju w twórczości Rembrandta, jak to wogóle nieślusznie uznano, to jednak jest on dziełem dość charakterystycznym, tak ze względu na swe zalety i wady, jak i na to, że zawiera pomieszenie sprzecznych stron indywidualności mistrza i dążeń, jakie przedtem i potem w dziełach swych ujawnił, niekiedy łącznie, przeważnie oddzielnie, by dać dogodne pole do rozbioru jego prawdziwych właściwości. To też około tego to obrazu rozwija Fromentin główną część swych uwag i argumentów. Jak powszechnie wiadomo, już sama nazwa, którą dano temu dziełu, wynika z pomyłki, scena bowiem odbywa się w dzień, a nie w nocy. Przekonano się o tem względnie niedawno, gdy spostrzeżono cień ręki kapitana Kocka na kaftanie porucznika Rujtenberga, ale nazwa „Patrol nocny“ tak się ogólnie przyjęła, że, mimo jej fałszu, pozostawiono ją nadal. To samo dowodzi już wadliwości efektu obrazu, jeżeli taka pomyłka była możliwą. Wadliwą również jest kompozycya, która sceny wyraźnie nie tłumaczy, jest chwiejną, prawie pozbawioną akcji, niejasną, rozproszoną, a wskutek tego nie skupiającą uwagi. Znać w tem niezdecydowanie w samej koncepcyi, co tłumaczy się tem, że Rembrandt nie miał tu wolnego wyboru, musiał liczyć się z przeznaczeniem obrazu, w którym miał dać portrety dwudziestu gwardzistów obywatelskich, w czynności zastosowanej do tej ich funkcyi. Tą zbyt pozytywną realnością przedmiotu czuł się on skrzępowanym wobec fantazyi, jaką chciał tenże przedmiot podnieść,

uszlachetnić, odebrać mu zwykły, nieco zbanalizowany charakter grupy portretowej, zużytej przez tylu wybornych współczesnych mu potrecistów, a jednocześnie zadość uczynić żądaniom gwardzistów, którzy chcieli mieć w tym obrazie swe dokładne podobizny i nie życzyli sobie, by ich traktowano jako fikcye. I zapewne figury, biorące udział w tej scenie, jeżeli, jako portrety, nie odpowiadają ani temu, czego żądać można od malarza, który już był dał wyższą miarę swego mistrzostwa, ani, jak wiadomo, nie zadowolniły portretowanych, to jednak fikcyami nie są. Ale fikcya je tu otacza, o fikcyę się one ocierają, bo światło, w którym się ukazują, jak widma, wyłaniające się z ciemności, to światło gwałtowne, białawe i bezbarwne jest fikcyą, tak samo, jak fikcyą jest ta drobna osóbką, zamieszana niewiadomo dlaczego pośród patrolu. Dziwna ta figurka, nie przewyższająca wzrostem dziecka, ale ubiorem i uczesaniem przypominająca portrety kobiece Rembrandta, jest tu strojna w światło, którego fosforescencya rozlśniewa w najciemniejszym punkcie obrazu i tylko dzięki nadludzkiemu wysiłkowi sztuki nie rozrywa zupełnie jego efektu. Cała zagadkowość tego dzieła, która wzbudziła tyle źle zrozumianych zachwyków, tyle metafizycznych komentarzy, polega na tem właśnie zestawieniu rzeczywistości z fikcyą, bez ich prawdziwego połączenia. Stąd też pochodzą wszystkie jego niekonsekwencye, wszystkie błędy i braki.

Ale nie o wartość „Patrolu nocnego“ właściwie nam chodzi, lecz o to, czem jest sam Rembrandt. Czy jest on kolorystą, za jakiego uważają go jego bezwzględni czciciele? Zobaczmy, co nam na to pytanie odpowie Fromentin.

„Gdyby Rembrandt—mówi tenże—nie był kolorystą w żadnem znaczeniu, to nie popełnianoby nigdy pomyłki nazwania go kolorystą, a w każdym razie nie byłoby nic łatwiejszego nad wskazanie, dla jakich przyczyn nim nie jest. Ale oczywiście jest, że jego środkiem wyrażenia się najzwyczajniejszym i najpotężniejszym jest jego paleta i że tak w akwaforcie, jak w malowaniu wyraża się on lepiej jeszcze kolorem, niż rysunkiem. Rembrandta zatem, nie bez zasady, zaliczyć można do najtęższych kolorystów, jacy kiedykolwiek byli. Tak, iż jedynym sposobem wyodrębnienia go i wykazania właściwego mu daru, będzie odróżnić go od wielkich kolorystów, znanych jako tacy, i określić, jaka jest jego głęboka i wyłączna oryginalność w zakresie barwy. Mówi się o Veronesie, o Corregiu, o Tycyanie, o Giorgione, o Rubensie, o Velasquezie, o Halsie i o Van Dycku, że są kolorystami, ponieważ barwę odczuwają w naturze subtelniej jeszcze,



niż kształty, a także dla tego, że barwą posługują się z większą doskonałością, niż rysunkiem. Dobrze kolorować znaczy to, za ich przykładem, wytwornie lub suto chwycić odcienie, wybierać je dobrze na palecie i odpowiednio zestawiać je w obrazie. Część tej nader złożonej sztuki podlega w zasadzie dość ścisłym prawom fizycznym, ale niemniej w istocie zależy ona przeważnie od zdolności, przyzwyczajzeń, instynktów, kaprysów i nagłych wrażliwości każdego artysty. Byłoby o tem wiele do powiedzenia, gdyż barwa, to rzecz, o której osoby obce naszej sztuce mówią bardzo chętnie, nie rozumiejąc jej dokładnie, i o której praktycy malarstwa, o ile mi wiadomo, nie wypowiedzieli nigdy swego zdania.

„Sprowadzona do swego najprostszego wyrazu, kwestya ta da się w ten sposób sformułować: wybrać barwy piękne same przez się i następnie kombinować je w stosunkach pięknych, miśternych i trafnych. Dodajmy, że kolory mogą być głębokie lub lekkie, bogate w barwnik lub neutralne, czyli stłumione; szczerze, t. j. najbliższe barwy zasadniczej, albo w odcieniach; wreszcie mogą być rozmaitej wartości. Wszystko to jest rzeczą temperamentu, upodobania i stosowności. Tak więc Rubens, którego paleta jest nader ograniczona co do liczby barw, ale bardzo bogata w barwy zasadnicze i która przebiega najszerszą skalę, od prawdziwej białej do prawdziwej czarnej, umie się powściągnąć, gdy tego potrzeba, i zneutralizować swą barwę, gdy mu wypada jej efekt przytłumić.

„Veronese, który postępuje zupełnie inaczej, ulega, niemniej jak Rubens, wymaganiom okoliczności—niema nic tak barwnego, jak stropy pałacu książęcego i nic trzeźwiejszego nad „Uczę u Szymona“ (w muzeum Luwru). Zauważmy, że niema potrzeby wiele „kolorować,“ aby być wielkim kolorystą. Są ludzie, świadkiem Velasquez, którzy kolorują świetnie najbardziej ponuremi barwami.

„Ile arcydzieł wykonano temi kilkoma nieco stłumionymi tonami: czarnym, szarym, brunatnym i białym, zabarwionym asfaltem!

„Wystarcza do tego, by kolor był wyszukany, delikatny lub mocny, ale śmiało sporządzony przez człowieka, zdolnego odczuć i ustosunkować odcienie. Tenże człowiek, gdy mu się to podoba, może rozszerzyć lub ograniczyć swe środki. Dzień, w którym Rubens namalował bistrem we wszystkich dozach swą „Komunię Św. Franciszka z Assyżu,“ dzień ten, mówiąc tylko o przypadkach jego palety, był jednym z lepiej natchnionych w jego życiu.

Wreszcie, i to jest rys najważniejszy w tem summarycznem określeniu, kolorystą w ścisłem znaczeniu jest malarz, który barwom swej gammy, jakkolwiek by ona była: bogata lub nie, złożona lub uproszczona, potrafi zachować ich pierwiastek i ich własności i to zawsze i wszędzie, w cieniu jak w półtonie i aż w najżywszem świetle.

„Tem to przedewszystkiem odróżniają się szkoły i malarze. Weźmy malowidło bezimienne, zbadajmy, jakiego rodzaju jest jego ton lokalny, jakim się staje w świetle, czy się utrzymuje w półcieniach i w cieniu najgłębszym, a wtedy będziemy mogli określić z całą pewnością, czy to malowidło jest dziełem kolorysty i do jakiej należy epoki, kraju i szkoły. Jest co do tego w języku technicznym wyrażenie bardzo trafne. Każdym razem, gdy barwa przebywa wszelkie zmiany światła i cienia, nie tracąc nic ze swych przymiotów właściwych, mówi się, że światło i cień są „z tej samej rodziny,“ co znaczy, że jedno i drugie powinno zachować w każdym wypadku najłatwiejsze do rozróżnienia pokrewieństwo z tonem lokalnym. Sposoby rozumienia barwy są nader rozmaite. Od Rubensa do Giorgiona, od Velasqueza do Veronesa istnieją różnice, dowodzące olbrzymiej elastyczności sztuki malowania i zdumiewającej swobody ruchów, które geniusz może przybierać bez zmiany celu. Ale jest prawo wspólne dla nich wszystkich i zachowywane tylko przez nich, czy to w Wenecyi, Parmie lub Madrycie, czy to w Antwerpii i Harlemie, a mianowicie to właśnie pokrewieństwo cienia i światła i jedność tonu lokalnego poprzez wszystkie przypadłości światła.

„Czy tak też postępuje Rembrandt? Wystarczy rzucić okiem na „Patrol nocny,“ aby się przekonać, że jest przeciwnie. Z wyjątkiem paru barw szczerych—dwóch czerwonych, jednego ciemnego fioletu i paru błysków niebieskich, nie spostrzega się w tym bezbarwnym i gwałtownym obrazie nic, coby przypominało paletę i zwykłą metodę któregośkolwiek ze znanych kolorystów. Głowy mają raczej pozory, niżeli koloryt właściwy życiu. Są czerwone lub blade, ale nie mają ani bladeści Velasqueza, ani tych odcieni krwistych, żółtawych, szarawych lub purpurowych, które Frans Hals tak zręcznie przeciwstawia, gdy chce wyszczególnić temperamenty swych osób. W ubiorach, nakryciach głowy w tak rozmaitych częściach stroju, kolor nie jest prawdziwszy ani więcej wyrazisty, jak nie jest nią również forma. Gdy zjawia się barwa czerwona, to jest to kolor z natury nie zbyt delikatny i wyrażający bez różnicy jedwab, sukno i atlas.



„A niech nam też kto powie, jakiej barwy jest strój porucznika? Czy jest to kolor biały, zabarwiony żółtym, czy żółty, odbarwiony aż do białego?

„W rzeczywistości, ponieważ ta postać wyrażać ma środkowe światło obrazu, Rembrandt ubrał ją w światło bardzo umiejętnie, co się tyczy światła, bardzo niedbale pod względem koloru. I otóż tutaj to Rembrandt zaczyna się zdradzać. Dla kolorysty niema światła oderwanego. Światło samo przez się jest niczem. Jest ono wynikiem barw, rozmaicie oświetlonych i rozmaicie promieniujących, stosownie do natury promienia, który odbijają lub absorbują. Kolor bardzo ciemny może być nadzwyczajnie świecący i na odwrót kolor bardzo jasny może wcale nie świecić. Niema ucznia w szkole malarskiej, któryby o tem nie wiedział. U kolorystów zatem światło zależy wyłącznie od wyboru barw, użytych dla wyrażenia go i łączy się tak ściśle z tonem, iż można powiedzieć z całą prawdą, że u nich światło i kolor, to jedno i to samo.

„W „Patrolu nocnym“ niema nic podobnego. Ton znika w świetle równie jak i w cieniu. Cień jest czarnawy, światło jest białawe. Wszystko oświetla się lub ściemnia, wszystko promieniuje lub przyćmiewa się wskutek stopniowego znikania pierwiastku barwiącego. Są tam odstępstwa w wartościach raczej niż kontrasty tonów. I jest to taką prawdą, że piękny sztych, rysunek dobrze wykonany, litografia Mouilleron'a lub fotografia dają dokładne pojęcie o tym obrazie w wielkich rysach jego efektu i że rycina, utrzymana w zwyczajnej skali od białego do czarnego, nie psuje nic z jego arabeski. Oto, co chyba dowodzi najoczywiściej, że kombinacje kolorytu, jak się go zwykle rozumie, nie są bynajmniej właściwością Rembrandta i że trzeba szukać gdzieindziej tajemnicy jego prawdziwej potęgi i wyrazu, odpowiadającego jego geniuszowi.

„Tajemnicę tę znajdziemy w „światłocieniu,“ formie wyrazu bez żadnej wątpliwości jego własnej, przyrodzonej i właściwej jego wrażeniom i ideom. Inni posługiwali się nią także, ale nikt tak nieustannie i z taką namiętnością, jak on. Jest to forma w całym tego słowa znaczeniu tajemnicza, najbardziej osłonięta, najbardziej eliptyczna, najwięcej kryjąca domyślników i niespodzianek, jaka istnieje w języku malarza. Z tego względu jest ona więcej, niż jakakolwiek inna, formą uczuć wewnętrznych i idei. Jest ona lekka, lotna, dyskretna; udziela swego czaru wszystkiemu, co się ukrywa, pobudza do ciekawości, dodaje powabu pięknościom moralnym, nadaje wdzięk spekulacyom umysłu.

Ona też wreszcie bierze udział w uczuciu, we wzruszeniu, w niepewnym, w nieokreślonym i nieskończonym, w marzeniu i ideale. I oto dlaczego światłocieniowość jest poetyką i naturalną atmosferą, której geniusz Rembrandta nie przestał zamieszkiwać. Można by więc, z powodu tej zwykłej formy jego myśli, badać Rembrandta w tem, co ma najpoufniejszego i najprawdziwszego. W zwykłym, wspólnym wszystkim szkołom znaczeniu, światłocieniowość jest sztuką uczynienia atmosfery widzialną i malowania przedmiotu w otoczeniu powietrza. Celem jej jest odtworzyć wszystkie malownicze przypadkowości cienia, półcienia, światła, wypukłości i odległości i przeto dać więcej różności, jedności efektu, fantazyi i stosunkowej prawdy, czy to kształtom, czy to barwom. Przeciwnieństwem tego jest pojęcie prostsze i więcej oderwane, na którego mocy ukazuje się przedmioty tak, jak są widziane z bliska, bez powietrza, a więc i bez innej perspektywy prócz liniowej, tej, która wynika ze zmniejszenia przedmiotów i ich stosunku do horyzontu. Kto przyjmuje perspektywę powietrzną, ten przypuszcza już tem samem nieco światłocienia.

„Malarstwo chińskie nie zna go. Malarstwo gotyckie i mistyczne obeszło się bez niego, jak to świadczy Van Eyck i wszyscy prymitywi, zarówno flamandzcy, jak i włoscy. Trzebaż dodać, że jeżeli światłocien nie sprzeciwia się duchowi fresku, to również nie jest niezbędny jego wymaganiom. We Florencyi zjawia się on późno, jak wszędzie, gdzie linia ma przewagę nad barwą. W Wenecyi ukazuje się dopiero z Bellinim. Ponieważ odpowiada zupełnie osobistym sposobom odczuwania, zatem nie stosuje się on zawsze regularnie do rozwoju i postępu szkół. Tak więc we Flandryi, po pewnem przeczcuciu u Memlinga, światłocien znika na pół wieku. Z pośród Flamandów, którzy powrócili z Włoch, niewielu przyjęło tę metodę, chociaż przebywali z Michałem-Aniołem i Rafaelem. Perugino i Mantegna, uważając to za zbyt cenne dla oderwanego wyrazu swych idei, malowali na sposób malarza na szkle. Dopiero wielki człowiek—człowiek wielkiej duszy i wielkiego ducha wynalazł dla wypowiedzenia wysokości i głębokości swych uczuć pierwiastki wyrazu o wiele rzadsze i sposób oddania tajemnicy rzeczy przez tajemnicę. Leonard, do którego porównano Rembrandta, nie bez pewnej słuszności, z powodu mąk, które sprawiała obu potrzeba wypowiedzenia idealnego znaczenia rzeczy, Leonard jest rzeczywiście w pełnym okresie archaicznym jednym z najbardziej nieprzewidzianych przedstawicieli metody światłocieniowej. Posuwając się z cza-



sem, we Flandryi, od Othona Voeniusa dochodzi się do Rubensa. I jeżeli Rubens jest wielkim malarzem światłocienia, chociaż posługuje się zwyczajniej światłem, niż cieniem, to Rembrandt jest wyrazem światłocieniowości skończonym i absolutnym dla wielu powodów i nie tylko dlatego, że się posługuje chętniej cieniem, niż światłem. Po nim cała szkoła holenderska, od początku XVII wieku aż do pełni XVIII, piękna i płodna szkoła półtonów i światła scieśnionych obraca się w tym wspólnym dla wszystkich elementach i przedstawia całość tak bogatą i różnaitą dlatego tylko, że raz przyjąwszy tę formę, potrafiła ją urozmaicić w najświetniejszych metamorfozach.

„Wszystko osłonić, wszystko pograżyć w głębinach cienia, nie wyłączając samego światła i wydobyć je zeń następnie, aby wyglądało więcej oddalonem, więcej promieniejącem, okrażyć falami ciemności środowiska oświetlone, dać im różne odcienie, uczynić niemniej ciemność przezroczystą, półcień łatwy do przeniknięcia, nadać wreszcie nawet barwom najtęższym rodzaj przepuszczalności, która nie pozwoli im stać się czarnemi — taki jest pierwszy warunek, takie są również trudności tej sztuki bardzo specjalnej. I rozumie się, jeżeli kto w niej celował, to był nim Rembrandt. Nic nie wymyślił, ale wszystko udoskonalił i metoda, którą się posługiwał częściej i lepiej, niż ktokolwiek, nosi jego nazwisko. Wyników takiego sposobu widzenia, odczuwania i odtwarzania rzeczy naturalnych można się domyślić. Życie nie ma już tych samych pozorów. Brzegi tracą swą ostrość, albo znikają; barwy ulatniają się. Modelacya, nie będąc już uwięzioną w sztywnym konturze jest więcej nieokreśloną w swym rysie, więcej falującą i, jeżeli jest traktowana ręką umiętną i czującą, to staje się sztuką najżywszą i najprawdziwszą, ponieważ zawiera w sobie tysiące sposobów, dzięki którym żyje życiem podwójnem—tem, które ma od natury i tem, które wynika z udzielonego wzruszenia.“

Takiem jest wogóle znaczenie światłocienia. Ale Rembrandt, który się różni z tyłu względów od wszystkich malarzów wszelkich szkół, pojmując to inaczej jeszcze.

Celem jego najwyższym, do którego dążył zawsze, który osiągnął niekiedy, w którego imię popełnił niejedną pomyłkę, było malować i rysować tylko za pomocą światła i cienia, dać światłu jaknajwięcej blasku i wyrazić w tem całą myśl dzieła. I czyni on to nawet niekiedy wbrew naturalnej logice oświetlenia, przeciw wszelkiemu prawdopodobieństwu i wbrew wymaganiom przedmiotu obrazu, dając się unieść swej pasyi, która go

olśniewa, aż do zaślepienia. Przykładem tego najwymowniejszym jest ów „Patrol nocny,“ w którym scena zwyczajna i ściśle realna jest oświetlona światłem nienaturalnem, z celem nadania jej charakteru idealnego wizyi. Stąd to pochodzi cała niekonsekwencya tego dzieła, jego błędy i jego zagadkowość, która przyczyniła się przeważnie do jego sławy.

Ale tymże sposobem Rembrandt wyraził też rzeczy, których nikt — przed nim ani po nim — wyrazić nie potrafił, mianowicie świat ideału, ducha, cudowności. Fromentin widzi w geniuszu Rembrandta i tłumaczy tem całą jego twórczość, dwie natury sprzeczne i prawie nigdy nie spotykające się jednocześnie w tem samym dziele: myśliciela, z trudnością poddającego się wymaganiom rzeczywistości, ale nieporównanego, gdy potrzeba ścisłego trzymania się prawdy nie krępuje jego ręki, oraz praktyka, który umie być świetnym, gdy nie przeszkadza mu wizjoner. Otóż „Patrol nocny,“ w którym te dwie przeciwne skłonności mistrza spotykają się, nie łącząc się, lecz szkodząc sobie wzajemnie, jest dziełem dwuznacznem, niejednolitem i nie charakteryzującym go ani w jednej, ani w drugiej. Obraz ten uważać trzeba raczej za próbę, za chybiony skutek usiłowań połączenia tych dwu właściwości w jednym dziele; usiłowań, które dopiero w „Syndykach,“ jego ostatniem arcydziele, miały być uwieńczone powodzeniem.

Wszakże przed osiągnięciem tego najwyższego rezultatu, Rembrandt stworzył skończone arcydzieła w każdym z tych dwu właściwych swej naturze kierunków. Pominąwszy zatem „Lekcję anatomii,“ która jest pierwszą próbą, jeszcze początkową i dość niezdecydowaną tego samego, co ujawniło się wyraźnie, ale wadliwie w „Patrolu nocnym“ i co znalazło swój wyraz zupełny w „Syndykach,“ takimi arcydziełami w charakterze bezpośrednim i realistycznym są portrety burmistrza Sixa oraz Marcina Daey i jego żony, najbardziej wyróżniające się i w każdym razie najświetniejsze pośród dzieł Rembrandta tego rodzaju.

W dziełach tych znajdujemy całą miarę jego mistrzostwa w interpretacyi natury, bez innej troski, prócz starania o jej odtworzenie z zupełną prawdą w jej charakterze, w jej życiu, w jej kolorze, w jej cechach indywidualnych, w jej atmosferze; ze wskazaniem i podkreśleniem wszystkiego, co wyróżnia portretowaną osobę i co ją łączy z pewną grupą, z pewną sferą lub klasą społeczną; co daje poznać jej pochodzenie, wychowanie i stopień kultury. I to wszystko wykonane z zupełną pewnością oka i ręki, z ogromną wiedzą praktyczną w użyciu środków malarskich, ale bez jej rozpościerania. Jestto więc sztuka trzeźwa, spokojna, szla-



chetna, bez wysiłku lub pozy; bez intencji ukrytych, ale tchnąca życiem prawdziwym i głębszem—sztuka w swoim rodzaju bardzo wysokiego gatunku, w której Rembrandt nie ustępuje żadnemu z najświetniejszych malarzów portretu wszystkich czasów.

Cóż dopiero powiedzieć o jego dziełach czystej wyobraźni i natchnienia duchowego? Tu niema on sobie równych, bo on jeden tylko umiał zastąpić piękno fizyczne wyrazem moralnym, bezpośrednie naśladowanie rzeczy ich metamorfozą, życie zwyczajne życiem nadprzyrodzonym, prawdę naturalną i zewnętrzną prawdą idealną i wewnętrzną—wyrazić myśl i uczucie i to wszystko, co się daje odczuć, lecz co się nie wypowiada lub wypowiedzieć nie da.

Z tej kategorii Luwr paryski posiada pewną ilość dzieł niezmiernie cennych, jak „Miłosierny Samarytanin,“ „Rodzina cieśli,“ „Dwaj filozofowie,“ „Tobiasz,“ a szczególnie „Uczniowie z Emmaus.“ „Miłosierny Samarytanin“ pociąga głębią wyrazu sceny, jaką przedstawia, wyrazu zwłaszcza nie do opisania bólu, cierpienia, bezwładności u człowieka ciężko zranionego, któremu już niewiele należy się od życia, i zarazem zadowolenia, pociechy moralnej, że go ratują ludzie litościwi. Obraz ten budzi jednocześnie podziw przedziwnymi, jego własnymi i zupełnie odrębnymi zaletami wykonania, w gammie tonów ciemnych zmierzchu, ciężkich, a jednak przezroczystych, przesyconych jakoby przetopionem złotem.

Więcej jeszcze podziwu godnym jest mały obrazek, w którym Chrystus daje się poznać uczniom w Emmaus. Jak podczas ostatniej Wieczerzy, Jezus, zasiadłszy za stołem pomiędzy dwoma uczniami, łamie chleb. Jeden z uczniów, który poznał w tejże chwili boskiego Mistrza, pochyla się przed nim z czcią i uwielbieniem. Drugi patrzy nań w osłupieniu, jak gdyby, nagle przejrzawszy, uczuł się olśnionym nadziemskim blaskiem, bijącym od tej postaci wychudłej, zmizerniałej, Syna Człowieczego, który przeszedł mękę i śmierć, a jednak jest tu z nimi, „żyw w swem własnem cieles; z którego wychudłej twarzy, oczy, jakby za duże, patrzą, jak nie z tego świata. Blask ten, który niema nic z konwencyonalnej aureoli, lecz jest rodzajem fosforescencyi, emanacyi nadprzyrodzonej, dobywającej się, jak ze swego centrum z postaci Odkupiciela, daje fantastyczne oświetlenie całej scenie, pojętej i przedstawionej w sposób pozatem najprostszy, zaledwie naznaczonej w rysunku, a jednak tak wymownej, [tak pełnej] znaczenia i głębokiego wyrazu, zarówno w całości, jak i u każdej z tych czterech figur.

Tutaj twórca jest zupełnie konsekwentny — chciał przedstawić scenę cudowną i dał jej wyraz nadprzyrodzony, charakterowi jej odpowiadający. Ta jasność niezwykła, nie pochodząca ani od światła dziennego, ani od światła sztucznego, jest tu na miejscu, a zatem jest zrozumiała; znaczenia obrazu nie tylko nie ukrywa, ale je podnosi i podkreśla; nie komplikuje jego stosunków i nie rozrywa całości, lecz wprowadza doń harmonię dziwnego, uderzającego i porywającego uroku. Nastrój, jaki stąd wynika, wyraża jednocześnie zdziwienie i przestach, uwielbienie i litość, cierpienie i radość, ubóstwo i majestat; coś niezwykłego, coś nadludzkiego, coś wielkiego, co każe paść na twarz i korzyć się, nie z obawy lecz z miłości, przed Tym, który, opuszczony, zdradzony, napojony goryczą i umęczony, ma dla nas spojrzenie tak nieskończonego miłosierdzia. I niema tu ani piękna fizycznego, ani wdzięku, ani nawet poezji, w jej znaczeniu estetycznym—całe wrażenie, jakie wywiera ten obraz, jest czysto moralne, duchowe, niezmiernie głębokie i niezmiernie podniosłe. Znajdujemy w nim całego Rembrandta, gdy ten poddaje się w zupełności swej naturze idealnej, gdy jest tylko i wyłącznie czystym spirytualistą.

„Rodzina cieśli“ nie ma już tej podniosłości. Jest to sobie scena rodzinna o charakterze poufnym, dość zwyczajna w swym rodzaju holenderskim, ale zupełnie indywidualnie rembrandtowska w traktowaniu światłocienia, które ją wyróżnia, podnosi i idealizuje tak samo, jak padający na nią od okna promień słońca zyskuje na blasku wśród cienia, w jakim jest pogrążone całe wnętrze. Natomiast oba obrazki, przedstawiające filozofa, pochyłego nad księgą, w jakiejś wielkiej, tchnącej pustką i ciszą, niby klasztornej sieni, pod olbrzymimi, kręconymi schodami, ma wysoki, poważny nastrój tajemnicy, którą myśl ludzka, w poszukiwaniu wiedzy, stara się przeniknąć; wśród której zamieszkuje samotnie, zdala od zgiełku świata, jego dążeń na niedaleką metę i krótkotrwałych uciech. W niezmiernego spokoju harmonii światłocienia daje tu mistrz najwyższy, jaki kiedykolwiek środkami malarskimi uzyskano, wyraz abstrakcji.

Słynny obraz, powszechnie znany pod nazwą „Syndyków“, czyli starszych cechu sukienniczego, składa się z sześciu portretów tychże, umieszczonych na wspólnym płótnie, i przedstawia ich podczas zgromadzenia i narady, a więc podobnie jak w „Lekcji anatomii“ lub w „Patrolu nocnym“—w chwili pełnienia właściwych im funkcji. Ale w dziele tem niema już nic z niepewności, niezdecydowania, niejasności lub niekonsekwencji, jakie dają się zauważyć w tamtych.



Tutaj Rembrandt jest u szczytu swego mistrzostwa, nie szuka więc, lecz stosuje z całą pewnością wiedzę niezawodną, którą nabył, wypróbował i sprawdził poprzednio w obu właściwych swej dwoistej naturze kierunkach, połączonych ostatecznie w tym imponującym obrazie. I dlatego jeżeli wśród jego dzieł niejedno więcej może uderza, zadziwia, wzrusza lub zachwyca, to jednak to ostatnie jest i pozostanie jego arcydziełem. Mówiąc o twórczości Rembrandta, niepodobna pominąć jego sztychów akwafortowych, których zostawił wielką liczbę i w których odnaleźć można wszystkie jego właściwości, jego dążenia, jego próby, poszukiwania, wahania i tryumfy. Prace te najzupełniej osobiste, robione przeważnie tylko dla siebie, pozostają dotąd, co się tyczy sposobu ich wykonania, w większej części zagadką, zaś pod względem swej wartości, jako dzieła sztuki, jako oryginalny wyraz geniuszu mistrza, nie ustępują one najpierwszym jego dziełom malowanym.

Oto jak przedstawia się naprawdę Rembrandt, ten największy z Holendrów, tyłoma węzłami złączony ze szkołą holenderską XVII wieku, a jednak w niej wyjątek jedyny i bez przykładu, tak samo, jak nim jest wogóle w całej sztuce świata.

Wiadomo, że twórczość Rembrandta nie ogranicza się do dzieł, wymienionych tutaj tylko jako przykłady — wykonał ich bardzo dużo, zachowanych częścią w Holandyi, częścią rozproszonych po wszystkich muzeach Europy, oraz w kolekcjach prywatnych, ale wszystkie wyróżniają się zawsze temi samemi zaznaczonemi już i charakteryzującemi mistrza cechami, z większą lub mniejszą przewagą jednej z dwu głównych jego dążeń. Z pośród mistrzów portretu wielkiego kroju, obok poprzedzających Rembrandta—Halsa, Revesteyna i Keysera, wyróżnia się najbardziej współczesny mu i często w uznaniu publicznem szczęśliwy współzawodnik, Bartłomiej Van der Helst (1612 [1613?] — 1670), którego arcydziełem najsłynniejszym jest t. zw. „Uczta gwardyi obywatelskiej“ — obraz, gromadzący dwadzieścia pięć wybornych portretów naturalnej wielkości, oficerów święcących pamiętną chwilę pokoju w Münster (traktat westfalski r. 1648), którym została zagwarantowana niepodległość Zjednoczonych Prowincyi holenderskich. Równie cenionem jest także inne jego dzieło tego samego rodzaju—„Starsi bractwa rusznikarzy.“

Van der Helst jest malarzem wiedzy nieomyślnej, pewnej umiejętności, doskonałym wykonawcą portretu w ścisłem naśladowaniu natury, dobrze pod każdym względem odczutej, w charakterze, podobieństwie, w ugrupowaniu figur i ułożeniu całej sceny

stosownie do przedmiotu, jaki ma wyrażać—jednem słowem jest on mistrzem w swej sztuce nader sumiennym, ale brak mu tylko nieco szerszego rozmachu w traktowaniu formy i koloru Halsa, oraz wyższego polotu Rembrandta. Z bezpośrednich uczniów tego ostatniego, bo Rembrandt miał uczniów, chociaż szkoły własnej nie wytworzył, odznaczyli się również głównie w portrecie: Govaert Flink (1616—1660), Ferdynand Bol (1611—1681) i Jan Victoor (1600—1670).

Wokoło tych artystów w wielkim stylu grupują się tak zw. mniejsi mistrzowie holenderscy, mniejsi nie dlatego, by byli mniej wari, lecz z powodu zarówno mniej wysokich aspiracji, jak i wogóle niewielkich lub drobnych rozmiarów ich obrazów. Jak wiadomo, ci mniejsi mistrzowie uprawiają wyłącznie krajobraz, zwierzęta, sceny rodzajowe, kwiaty i martwą naturę, czyli to wszystko, co, wedle kwalifikacji dziś jeszcze do pewnego stopnia uznawanej, zajmuje w hierarchii sztuki miejsca drugorzędne. Jest ich moc niezliczona, a wśród nich, prócz talentów ciekawych i zajmujących, znajdują się artyści wysokich i niepospolitych przyniotów. Wszyscy zaś bez wyjątku, starając się o najdokładniejsze odtworzenie życia i przyrody swego kraju i czasu, położyli niespożytą zasługę, wobec swej ojczyzny w szczególności i świata wogóle, już przez to samo, iż w dziełach swoich dali z tego względu prawdziwe dokumenty ludzkie. Ale to wszystko. Umiejmy więc ograniczyć się do tego, co jest naprawdę, tem więcej, że jest to już bardzo dużo, i nie szukajmy nic poza tem, bo nic w tej sztuce ukrytego niema.

Doszukiwać się u tych prostych, szczerych i sumiennych naśladowców jakiegoś panteizmu, a więc jakiejś doktryny spekulatywnej, jakiejś myśli oderwanej, jednem słowem jakiejś filozofii, jak to uczynili pewni, nigdy nienasyчени ich komentatorowie z powodu Spinozy, który ani na malarstwo holenderskie, ani na umysłowość Holendrów żadnego wpływu nie miał, byłoby prawdziwym nonsensem. Cała ich zasługa w tem właśnie, że nie kierowali się niczem innym, jak tylko doskonałem malarskiem odczuciem życia i form, które mieli przed oczyma, bez żadnej apriorystycznej idei, bez żadnych dążeń przechodzących horyzonty, jakimi ograniczyli sferę swych obserwacji bezpośrednich, w ich naturalnej naiwności. W tem też leży cały ich prosty, swojski, oryginalny i nieporównany charakter. Wylizywać ich tu wszystkich, rzecz prosta, nie będziemy. Wszyscy wiedzą, że Van Goyen malował w tonach szarych i brunatnych widoki rzek, kanałów i miast, grupujących się nad ich brzegami i odbijających w wo-



dach ich swe wieże; że Van der Neer celował w widokach nocnych i księżycowych; że Adryan Van der Velde jest malarzem natury świeżej i wesołej, gdy brat jego, Wilhelm, słynie, obok Ludwika Backhuysena, z widoków morskich; że poetyczny i smętny marzyciel Jakób Van Ruisdael wraz z trzeźwym Meindertem Hobbemą są powszechnie uznani za największych pejzażystów Holandyi; że uniwersalny, bo uprawiający wszystkie rodzaje, słoneczny Albert Cuyp, oraz równie uniwersalny i znacznie od niego późniejszy Mikołaj Berghem odznaczyli się najbardziej, jako malarze zwierząt, obok najstymniejszego mistrza w tym rodzaju, Pawła Pottera; że Adryan Brauwer, Adryan Van Ostade i Jan Steen są znakomitymi w swym rodzaju i charakterze odtwórcami karczemnych orgii i uciech ludowych; że Filip Wouwerman jest w drobnych rozmiarach anegdotycznym batalistą i malarzem życia szlacheckiego, kawalkad, polowań i t. p.; że Gerard Terburg (który jest także autorem w swym rodzaju obrazu historycznego „Pokój Westfalski“), Gerard Dov, Gabryel Metz, Franciszek Miëris, a także przewyższający ich wszystkich poczuciem światłocienia i koloru Pieter de Hoogh słyną ze swych wewnątrz przeważnie zamożnych i eleganckich—rozmów, zalotów, koncertów towarzyskich i tym podobnych scen z życia domowego, w salonie, przy toalecie albo w kuchni.

Przy całej różnaitości, jaką tu widzimy, są cechy wspólne, które ich łączą wszystkich, mianowicie, szczerłość i rzetelność obserwacyi, sympatya dla naśladowanego przedmiotu, a stąd przejęcie się nim naiwne i zupełne. Ta sympatya, to naturalne odczucie dodaje ich obrazom życia, ciepła moralnego, czegoś poufnego, co się udziela patrzącemu bez żadnego z jego strony wysiłku, wskutek czego mogą podobać się i wogóle podobają się każdemu. Ale pod tą łatwością zewnętrzną ukrywają się zalety solidne, umiejętność rysunku, nie będąca wynikiem żadnej naprzód ustanowionej zasady w zastosowaniu do przedmiotu, lecz pochodząca z dokładnej i bezpośredniej obserwacyi, skąd jego charakter zarazem nieosobisty, bo nie ukazujący się poprzez żadną formułę własną lub nabytą artysty, ale pełen wyrazu, bo uchwycony i odtworzony wprost z natury. Malarz holenderski nie szuka popisu w swej wiedzy technicznej, nie chodzi mu o pokazanie jakimi środkami się posługuje przy wykonaniu dzieła—środek pozostaje u niego środkiem, nie staje się celem, jak to się często trafia u malarzów dzisiejszych, celem zaś jego jest jaknajbardziej zbliżyć się do prawdy, dać możliwie zupełne jej złudzenie. Wszakże sztuka jest sztuką i złudzenie to dać może tylko przy pomocy

sposobów jej właściwych, jakich użycie wymaga wiedzy nader skomplikowanej, nader subtelnej, którą, chociaż nabyli jej wprost od natury, nigdy się od niej nie oddalając, malarze holenderscy posiadać muszą i posiadają istotnie. Ale, powiedzieć można, że ją posiadają niemal bezwiednie, jak gdyby przy wykonywaniu dzieła natura wprost kierowała ich ręką; do tego stopnia strona techniczna w wykonaniu u nich nie występuje naprzód, nie narzuca się, lecz przeciwnie, usuwa się i ukrywa najstaranniej wobec jedynej troski o prawdę w odtworzeniu przedmiotu, w jego charakterze, w jego wyrazie, we wszystkich szczegółach, które się nań składają, i w warunkach, w jakich się przedstawia. I to jest sztuka bardzo wielka. W kolorze Holendrzy są trzeźwi. Efekt ich obrazów jest skupiony, z przewagą cienia nawet w krajobrazie, łudzący przestrzenią, oddaleniem horyzontów, dzięki dokładnej znajomości i stosowaniu perspektywy liniowej i powietrznej. Wykonanie ich jest staranne, sumienne, czyste, u niektórych do przesady.

Wszystko to, razem wzięwszy, są to właściwości wspólne malarzów holenderskich, które w sumie składają się na ich styl odrębny i stanowią to, co wogóle przywykliśmy nazywać szkołą.

\*

\*

\*

W maju ubiegłego roku, staraniem miesięcznika „L'Art et les Artistes,” urządzono w Paryżu wystawę „Wielkich i małych mistrzów holenderskich XVII wieku,” na której niemal każdy z nich figurował w jednym lub paru swych dziełach, których użyczyli na ten cel przeważnie właściciele zbiorów prywatnych, co tem więcej przedstawiało zajęcie, że dzieła te są inaczej dla ogółu niedostępne. Rozumie się, żadnych nowych odkryć, co się tyczy malarstwa holenderskiego, wystawa ta przynieść nie mogła, ale oddała tę wielką przysługę tak mieszkańcom Paryża, interesującym się sztuką, jak i gromadzącym się w tem wielkiem centrum obcokrajowcom, że skupiając tu na przeciąg trzech miesięcy w porze największego ruchu przyjezdnych, okazy prawie wszystkich tych wielkich i małych mistrzów szkoły holenderskiej, umożliwiła poznanie na miejscu niejednego z nich, których w muzeum Łuwru albo niema wcale lub są tam słabo przedstawieni. Tak



więc, jeśli wspomnimy tylko paru, były na tej wystawie piękne próbki obu Ruysdałów; nadzwyczajne życiem, charakterem i wyrazem, śmiejące się główki dziecinne Halsa, oraz równie tryskający życiem i wesołością jego portret własny („Człowiek z fajką“). Rembrandta przedstawiał tu piękny w spokojnym, ściśle naturalnym charakterze, wyrażającym głęboką medytację, jego portret „Staruszki z biblią“; również utrzymywane w wysokim stylu światłocieniowym „Zdjęcie z krzyża“, a także ciekawy wariant „Uczniów z Emmaus“ z Luwru — obraz, traktowany w taki sam sposób świetlisty, z różnicą w ugrupowaniu figur. Chrystus nie siedzi tu za stołem nawprost patrzącego, lecz daje się poznać przestraszonym uczniom, ukazując się w profilu ciemnym na bliższym planie i rzucając na nich nadprzyrodzone światło bijącego odeń blasku. Rzecz ta, nieco sztuczniejsza w efekcie, sprawia podobnie chwytające wrażenie, jak słynne dzieło z Luwru. Obok tych i innych większych mistrzów, byli tu zwłaszcza obficie reprezentowani malarze krajobrazu.

KONRAD OSTROWSKI.

# SZKOLNICTWO UZUPEŁNIAJĄCE

## na Zachodzie

---

Z dotychczasowego doświadczenia narodów na polu oświaty ludowej należy przedewszystkiem wyciągnąć ten wniosek, że przymus szkolny posiada istotne znaczenie tylko o tyle, o ile z obowiązkiem posyłania dzieci do szkoły łączy się ze strony państwa zapewnienie faktycznie bezpłatnego nauczania. Przez nauczanie bezpłatne należy zaś rozumieć uwolnienie rodziców nietylko od obowiązku jakiegokolwiek bądź wpisowego za naukę swoich dzieci, ale i od konieczności ponoszenia takich ofiar materyalnych, których ciężar przenosiłby stanowczo ich siły. Nie trzeba bowiem zapominać, że sam obowiązek posyłania dzieci do szkoły aż do pewnego wieku pozbawia je możności zarobkowania, chociażby przez pomaganie rodzicom w gospodarstwie, co obciąża znacznie budżet przeciętnej rodziny z warstw pracujących, a przedewszystkiem budżet rodzin włościańskich.

Na dowód słuszności powyższego twierdzenia można się powołać na przykład Francyi, w której prawo z dnia 28 marca 1882 r. wprowadziło powszechne, świeckie, obowiązkowe i bezpłatne nauczanie dla wszystkich dzieci francuskich do lat 12-tu. Nadzieje, pokładane podówczas w skuteczności systemu szkolnictwa elementarnego, zorganizowanego przez pp. *Jean Macé* i *Jules Ferry*, szły tak daleko, iż wolna rzeczpospolita postanowiła nawet zerwać z największą zdobyczą cywilizacyjną wieku XIX, z uznana we Francyi przez t. zw. *loi Falloux* 1850 r. zasadą wolności nauczania przez systematyczne aż do ostatnich czasów tamowanie tak świetnie przedtem rozwijającej się inicjatywy prywatnej w dziedzinie szkolnictwa ludowego.



Skutki niedługo kazały na siebie czekać. Niebawem stwierdzono smutny fakt, że w początkowych szkołach francuskich mniej więcej  $\frac{1}{20}$  część uczniów usuwa się systematycznie od uczęszczania do szkoły, a chociaż przyczynę tego zjawiska starano się odnaleźć w niedostatecznej kontroli ze strony nauczycieli oraz członków komisji szkolnych i delegacyi kantonalnych, pozostających w zupełnej zależności od swoich wyborców, to ogłoszone przed dwoma laty cyfry statystyczne o ilości analfabetów w armii francuskiej nakazały zwrócić baczniejszą uwagę na stan oświaty ludowej we Francji. Impuls w tym kierunku dało ministeryum wojny, które, urządziwszy przy poborze sprawdzenie wiadomości, przyniesionych do wojska przez rekrutów, skonstatowało, że ilość analfabetów w r. 1906 wynosiła ni mniej ni więcej, jak 3,5% ogólnego kontyngensu poborowych i że cyfra ta powiększa się z każdym rokiem.<sup>1)</sup> „Głównej przyczyny tego zjawiska — pisze francuski minister oświaty w swym cyrkularzu z dn. 25 października 1908 r. — należy szukać w tem, iż ów znaczny, bo dochodzący 11-u tysięcy głów kontyngens analfabetów w armii, opierający się żywiłowo wszelkim usiłowaniom zaszczepienia nauki elementarnej, składa się z dzieci, pochodzących z warstw najniezamożniejszych, albo też anormalnych, włóczęgów, a także pochodzących z odludnych okolic, gdzie ludność jest rzadka, i gdzie normalnej frekwencji szkolnej stoi na przeszkodzie nietylko brak dróg, lecz i bardzo często przyczyniają się do tego warunki klimatyczne.“ Należy dodać, że pomimo obostrzenia kontroli przez powierzenie jej inspektorom szkół początkowych, a więc urzędnikom państwowym, niezależnym zupełnie od wyborców danego okręgu i przeto mniej skłonny do zamykania oczu na nadużycia rodziców, stosunki szkolne we Francji w ostatnich latach pod tym względem nie poprawiły się bynajmniej. Świadczy to, że olbrzymia większość wypadków nieuczęszczania dzieci do szkoły elementarnej tłumaczy się niemożnością faktyczną posyłania ich przez rodziców ze względów czysto materyalnych. Powyższe fakty, zapożyczone z praktyki szkolnictwa ludowego jednego z najbogatszych krajów na świecie, dowodzą aż nadto wymownie, iż nie dosyć nakazać dzieciom przychodzić do szkoły, lecz należy jeszcze dać im możność chodzenia do niej. Innemi słowy, sam przymus szkolny nie rozwiązuje kwestyi zapewnienia ludności bezpłatnego nauczania w zakresie nauki elementarnej, ko-

<sup>1)</sup> F. Buisson w *La France militaire*, Juillet 1909.

niecznym jest oprócz tego udział dobrowolnego współpracownictwa inicjatywy prywatnej, chociażby tylko w zakresie zapewnienia środków materialnych, któreby pozwoliły uczęszczać do szkoły elementarnej tym wszystkim, dla których dzisiaj bezpłatność nauczania, zagwarantowana w wielu państwach na Zachodzie, pozostaje tylko czczym wyrazem.

Ale w skomplikowanych warunkach życia współczesnego sam przymus szkolny, nawet pod warunkiem zorganizowania odpowiadającej rzeczywistości potrzeby sieci szkół ludowych i faktycznego umożliwienia wszystkim dzieciom korzystania z dobrodziejstw nauczania powszechnego, nie rozwiązuje bynajmniej kwestyi właściwego przygotowania młodego pokolenia do spełnienia zadań, jakie je oczekują zarówno w zakresie ogólnego rozwoju umysłowego, jak i przygotowania technicznego.

Zaznaczyć należy przedewszystkiem, że system przymusu szkolnego, to jest powszechne, obowiązkowe i bezpłatne kształcenie dzieci przez państwo w zakresie nauczania początkowego, obejmuje stosunkowo dość krótki okres ich życia, mniej więcej od lat sześciu do lat dwunastu, jak we Francyi, lub czternastu, jak np. w Niemczech, Szwajcaryi, Holandyi, krajach skandynawskich i w Anglii. Tylko dla dzieci wyjątkowo nierozwiniętych lub opornych okres ten jeszcze o rok jeden przedłużonym być może, w rzeczywistości jednak znakomita większość dzieci opuszcza szkołę w trzynastym lub czternastym roku życia dla pracy zarobkowej. Tym sposobem przymus szkolny, pomimo niezaprzeczonej korzyści, którą przynosi społeczeństwu, i prawdziwego błogosławieństwa, jakie dlań stanowi, nie jest w stanie sam przez się zapewnić krajowi zarówno należytego wykształcenia, jak i moralnego i obywatelskiego wychowania podrastającego pokolenia. Rola szkoły elementarnej ogranicza się z konieczności zarówno co do zakresu wpływów, jak i co do czasu ich trwania. Wpływy te są przedewszystkiem krótkie i noszą charakter przejściowy, albowiem dziecko, uczęszczające do szkoły ludowej, podlega jednocześnie innym wpływom, często odmiennym lub nawet wprost sprzecznym, np. wpływom rodziny, otoczenia, ulicy, opinii publicznej i t. p. Z rzadkimi wyjątkami, w których mamy do czynienia z wrodzonymi lub odziedziczonymi cechami charakteru, większość dzieci w tym wieku stanowi tę przeciętną, bezbarwną masę, która z czasem stanie się tem, co z niej zrobią okoliczności, otoczenie i wpływy, te zaś najczęściej zwracają się przeciw nim nie tylko pod względem umysłowym, lecz i pod względem moralnym. Pod tym ostatnim względem wychowawcy szkół ludowych,



pozbawieni najczęściej tej wyrafinowanej miłości rodzicielskiej, jaka od kolebki otacza dzieci ze sfer zamożniejszych, już w bardzo wczesnym wieku spotykają się, niestety, oko w oko ze złem, od którego tak troskliwie bronią swe dzieci rodzice bogatsi, a czasami nawet wprost z występkiem i zbrodnią.

Nie należy przytem zapominać, że samo nauczanie w szkole ludowej musi nosić z konieczności charakter niewystarczający i powierzchowny,—niewystarczający, albowiem początki wiedzy, dostępne w tak młodym wieku, nie są w stanie przygotować dzieci zarówno do wymagań praktycznego życia, jak i do spełniania ogólnych obowiązków społecznych, powierzchowny—bo dzieci wogóle zbyt łatwo zapominają nabyte wiadomości, a wychowawcy szkół ludowych w olbrzymiej większości żyją w środowisku, w którym umysł ich niema sposobności do odświeżania wrażeń, otrzymywanych w szkole. Zadaniem szkoły jest zarówno rozbudzanie zdolności intelektualnych, jak i dyscyplinowanie umysłów. Ale umysł dziecka nie jest przygotowany do należytego przyswojenia i przetrwania wiadomości, które podaje mu szkoła, skąd płynie konieczność zwracania się w tem stadyum nauczania przeważnie do pamięci, tej najmniej szlachetnej właściwości duszy ludzkiej. Praktyka wszystkich narodów stwierdza, że z chwilą opuszczenia szkoły ludowej, to jest zaniedbania należytej uprawy pamięci, dziecko nietylko zapomina tego, czego się w swoim czasie było nauczyło, lecz i poniekąd staje się już niezdolnem do przyswajania sobie dalszych wiadomości, a zjawisko takie daje się spostrzegać przedewszystkiem tam, gdzie, jak np. we Francji, przy względnie krótkim okresie nauki elementarnej (do lat 12) i zbyt obszernym programie szkolnym nauczanie początkowe nosi z konieczności charakter przeważnie pamięciowy.<sup>1)</sup>

\*

\*

\*

Pragnąc usunąć skutecznie wszystkie przytoczone powyżej braki nauczania początkowego, należałoby okres obowiązkowego pozostawiania młodzieży w szkole ludowej przedłużyć conajmniej

---

<sup>1)</sup> Zob. Maurice Pellison, *Les oeuvres complémentaires et auxiliaires de l'école en France* 1903 i A. J. Soulet, *La crise de l'oeuvre postcolaire française* 1910.

aż do ukończenia 18-go roku życia, co jednak ze względów ekonomicznych jest nawet w najbogatszych społeczeństwach wręcz niewykonalnem. Nic więc dziwnego, że uznając dzisiejszy niezadawalniający stan rzeczy, a nie mogąc zmienić go w sposób radykalny, chwycono się półśrodków, usiłując przynajmniej w późniejszym wieku odrobić choć w części to, czego z konieczności musiano zaniedbać w swoim czasie. Instynktownemu dążeniu klas pracujących do uzupełnienia niedostatecznego przygotowania, wyniesionego ze szkoły elementarnej, zawdzięczają swoje powstanie uniwersytety ludowe.

Istotę uniwersytetów ludowych, czyli systemu t. zw. *University Extension*, zapoczątkowanego, jak wiadomo, przez Cambridge w r. 1872, stanowi rozszerzenie bezpośredniego wpływu naukowego istniejących ognisk wykształcenia akademickiego przez powiększenie liczby ich słuchaczy. System ten jest ściśle związany z ogólną demokratyzacją społeczeństw w dobie obecnej i rozszerzeniem praw politycznych szerokich mas ludowych, albowiem uprzystępnienie tym masom udziału w życiu politycznem musi prowadzić za sobą i uprzystępnienie wykształcenia, pozostającego dotychczas przywilejem jednostek, lub w najlepszym razie warstw wyższych. Przewodnią myślą systemu *University Extension* jest, że skoro wprowadzenie do uniwersytetów szerokich mas ludowych okazuje się z wielu względów absolutnie niemożliwem, to uniwersytetom nie pozostaje nic innego, jak tylko wyjść poza dotychczasowy swój zakres działalności, uprzystępniając swoje wykłady dla mas, łaknących nauki i wiedzy.

Takie uprzystępnienie wykładów uniwersyteckich dla szerokich mas ludowych wypływa ze stwierdzenia i zrozumienia niewątpliwego faktu, że w dzisiejszych czasach wiedza i nauka stanowią poniekąd nieodzowne warunki życia ludzkiego, a opiera się na wytworzeniu systematycznego zetknięcia pomiędzy szerokimi masami ludowymi i tymi, którzy otrzymali tradycyjne i prawidłowe wyższe wykształcenie akademickie. Najpotężniejszymi czynnikami systemu t. zw. *University Extension* są bezwątpienia: potęga żywego słowa i wpływ osobistego zetknięcia się prelegenta ze słuchaczami. Dobry prelegent — a innych wszak być nie powinno — stanowi sam przez się źródło prawdziwego natchnienia dla swoich słuchaczy, a podając im w przystępnej formie owoc gruntownej nauki i systematycznego czytania, potrafi zachęcić skutecznie do pracy w domu przez wzbudzenie zainteresowania i zdolności zastanawiania się nad zawilszemi kwestyami i ich dyskutowania.



Dlatego też uniwersytety ludowe odegrały wszędzie rolę potężnego bodźca społecznego w dziedzinie samokształcenia, zarówno przez zachęcanie do nauki, jak i nadawanie jej odpowiedniego kierunku, odkryły i wyprowadziły na szerszą widownię wiele ukrytych talentów, któreby bez nich nazawsze pozostały w ukryciu, wreszcie przyczyniły się do rozwoju czytelnictwa ludowego. Zaznaczyć jednak należy, iż w większości wypadków nie przyniosły tych korzyści, jakich się po nich spodziewano, głównie z powodu ciągłej walki z trudnościami natury pieniężnej, w części zaś dla tkwiącej w samym założeniu chaotyczności wykładów i braku ciągłości nauczania. Tak np. we Francji uniwersytety ludowe przybrały z biegiem czasu charakter nietylko instytucji nauczających we właściwym znaczeniu tego słowa, ile raczej klubów dyskusyjnych, przeznaczonych już nie dla młodzieży, ale dla dorosłych robotników. W tym zakresie — jak to zostało stwierdzonem na trzecim zjeździe przedstawicieli tych instytucji w Bourges w 1907 r. — przyczyniły się one niewątpliwie do rozwoju umysłowego klas pracujących i do wniesienia pewnej orientacji i dyscypliny do opinii publicznej, błakającej się bardzo często po manowcach, ale właściwe cele i zadania francuskich uniwersytetów ludowych rozbiły się nietylko o brak środków materialnych w tym najbogatszym kraju na kontynencie, lecz i o warunki współczesnego systemu politycznego we Francji, nieznoszącego poza państwem żadnej zorganizowanej siły społecznej. Natomiast w Anglii, jako w ojczyźnie idei uniwersytetów ludowych, system *University Extension* zaznaczył się przede wszystkim pogłębieniem w masach ludowych znajomości dziejów historii i literatury ojczystej, rozbudzeniem chęci samodzielnego czytania, wreszcie osłabieniem ultra-utylitarnego poglądu na cel i zadania nauki wogóle, którym tak często grzeszą Anglicy, nawet należący do wyższych warstw społecznych.<sup>1)</sup>

Przeniesiony na grunt amerykański, przybrał system *University Extension* w Stanach Zjednoczonych charakter współdziałania profesorów uniwersyteckich z dotychczasową pracą oświatową miejscowych instytucji zarówno kościelnych, jak i świeckich. System ten zdążył się tam zaznaczyć w dwóch kierunkach: a) przez wysyłanie prelegentów z ramienia władz uniwersyteckich pod

---

<sup>1)</sup> Por. James Russel, *The Extension of University Teaching in England and America* w N. Y. (State) Home Education Departament. O. Alb. 1895, str. 215 i nast.

kontrolą i za odpowiedzialnością tychże władz, b) przez zorganizowanie odpowiednich pomocy naukowych na miejscu, jako lokalnych ognisk wiedzy (bibliotek, czytelni, muzeów, klubów dyskusyjnych) w związku z odczytami, wygłaszanymi przez tychże prelegentów. System ten nosi w Ameryce specjalną nazwę *Home Education*, dosłownie „system kształcenia się u siebie w domu,“ i oznacza — podług trafnego określenia jednego z amerykańskich profesorów — „całokszaft czynników, stanowiących system wyższego wykształcenia domowego dorosłych w przeciwstawieniu do normalnej działalności zakładów naukowych, poczynając od szkoły średniej, a kończąc na uniwersytetach.“<sup>1)</sup> Konsekwentne rozwinięcie idei *University Extension* w Stanach Zjednoczonych doprowadziło nawet do zniesienia w kilku amerykańskich uniwersytetach wakacji letnich i zaprowadzenia t. zw. systemu czterech kwartałów (Chicago, Harvard), umożliwiającego korzystanie latem z normalnych wykładów uniwersyteckich młodym ludziom, zajętym w innym czasie pracą zawodową, a przede wszystkim nauczycielom szkół ludowych i średnich, pragnących uzupełnić swoje dotychczasowe wykształcenie. Należy dodać, że w zamian za przeszczepiony na grunt amerykański system *University Extension*, Anglia zapożyczyła od Stanów Zjednoczonych powstały w Ameryce na gruncie historycznym system kółek samokształcenia domowego, kierowanych za pomocą korespondencji lub wskazówek, umieszczanych na szpaltach czasopism specjalnych. System ten ma przede wszystkim na celu rozbudzenie zamiłowania i umiejętności samodzielnego czytania książek naukowych, a także określenie, ustalenie i usystematyzowanie umiejętnego wyboru lektury, przyczem raz na tydzień członkowie kół miejscowych schodzą się razem w celu przedyskutowania następujących się kwestyi i wyjaśnienia nasuwających się wątpliwości. I pod tym względem zaznaczyć wypada, że cieszący się powszechnem uznaniem po tamtej stronie kanału a założony w r. 1887 przez d-ra Patona z Notingham „Narodowy Związek czytania w domu“ (*The National Home Reading Union of England*) jest niczem innym, jak tylko przeniesieniem na grunt starego lądu i przystosowaniem do potrzeb publiczności angielskiej organizacji, znanej na drugiej półkuli pod popularną nazwą *CLSC*, czyli literacko-naukowych kursów w Chautauqua w stanie New York (*The Chautauqua Literary and*

---

<sup>1)</sup> Herbert B. Adams, *Summer Schools and University Extension w Butler's Education in the United States*, 1900, t. II, str. 845.



*Scientific Circle*), tak jak czasopisma angielskie *The Special Courses Magazine* i *The General Course Magazine*, zawierające odpowiednie wskazówki dla samouków, są ściśle wzorowane na wychodzącym w Ameryce miesięczniku p. t. *The Chautauqua*. Ta indyjska nazwa miejscowości, leżącej na wybrzeżu jednego z wielkich pięciu jezior, przenosi nas w nową organizację wykładów ludowych, stworzoną na rodzinnym gruncie amerykańskim w postaci t. zw. szkół letnich (*Summer Schools*). Szkoły te rozwinęły się z prastarych anglosaskich zwyczajowych zebrań pod gołym niebem, posiadających na starym łądzie charakter przeważnie polityczny (*mass meeting*), w Ameryce zaś charakter przeważnie religijny (*camp meeting*). System szkół letnich, zwany powszechnie *systemem Chautauqua* na pamiątkę pierwszego obozowiska metodystów w Fairpoint nad brzegiem jeziora tej nazwy, ma na celu szerzenie powszechnego wykształcenia w zakresie wyższym przez konsekwentnie przemyślane i opracowane programy różnych działów wiedzy ludzkiej w ścisłym dostosowaniu do współczesnych wymagań i rzeczywistych potrzeb społeczeństwa. Stąd też profesor Albert G. Cook określa bardzo trafnie system powyższy, jako „braterskie i pełne poświęcenia, metodyczne i zorganizowane dążenie do podniesienia, wzbogacenia i natchnienia indywidualnego życia w całkowitym zakresie, przez zwrócenie się do wrodzonych uczuć ciekawości, ambicji i miłości własnej tych, którzy, właściwie mówiąc, pozbawieni są wszelkich innych środków doskonalenia się zarówno pod względem umysłowym, jak i moralnym.“<sup>1)</sup> Innemi słowy, system ten polega na równomiernem uwzględnianiu potrzeb zarówno umysłu, jak i serca, nauki i religii, wiedzy i moralności, nic więc dziwnego, że w życiu amerykańskim stał się w wielu wypadkach świątynią i błogosławieństwem młodych ludzi.

Taki sam charakter *par excellence* cywilizacyjny i kulturalny posiadają też skandynawskie uniwersytety ludowe, czyli t. zw. *Folkehjoejskolen* w Danii i Norwegii, a w części także w Szwecji i Finlandyi. Te „wyższe szkoły ludowe,“ zorganizowane podług przewodniej myśli wielkiego reformatora narodu duńskiego w wieku XIX, Mikołaja Grundtviga, stanowią wcielenie światopoglądu ich założyciela o konieczności dążenia do ideałów wszechludzkich w ścisłej łączności z pierwiastkami chrześcijaństwa i narodowości. Stąd też duńskie „Folkehjoejskolen“ na wzór amerykańskich „Chautauqua Summer Schools“ dążą przede wszystkim

<sup>1)</sup> W *Butler's Education in the United States*, 1900, t. II, str. 831.

przez potęgę żywego słowa w ustach odpowiednio dobranych prelegentów i przewodników do wzbudzenia w młodzieży obojga płci idealnych sił i aspiracji, bardziej do rozszerzenia ogólnego horyzontu pojęć, niż do systematycznego budowania zakończonego gmachu wiedzy ludzkiej, a właściwy ich cel da się określić, jako usiłowanie wytworzenia systemu ogólnoludzkiego wychowania najszerzych warstw narodu, jako szerokiego podłoża dla jednolitej kultury narodowej. <sup>1)</sup>

\*

\*

\*

Praktyka wskazuje jednak, że ani przymus szkolny, ani system uniwersytetów ludowych nie są w stanie zapewnić młodemu pokoleniu tego rozwoju umysłowego i moralnego, jaki w dzisiejszych czasach okazuje się nieodzownym dla stworzenia i utrzymania rzeczywistej potęgi narodowej w sferze interesów zarówno kulturalnych jak i ekonomicznych.

W każdym razie nie ulega żadnej wątpliwości, że z ogólnej liczby dzieci, które ukończyły szkołę elementarną, w najlepszym razie jedna trzecia część otrzymuje po wyjściu ze szkoły jakiegokolwiek bądź dalsze wykształcenie, bądź ogólne bądź też specjalne. <sup>2)</sup> Natomiast pozostałe dzieci są pozbawione wszelkiej możliwości uzupełniania nauki, nabytej w szkole elementarnej, a dzieci te—co stanowi względ ważny—rekrutują się głównie z młodzieży najbardziej zaniedbanej pod względem ogólnego rozwoju zarówno umysłowego jak i moralnego. Lata zaś, idące bezpośrednio po latach nauki szkolnej w zakresie początkowym, stanowią właśnie najniebezpieczniejszy okres dojrzewania, w którym więcej niż kiedykolwiek bądź zachodzi potrzeba odpowiedniego kierunku moralnego i dbałości zarówno o rozwój umysłowy w ogóle, jak i o nabywanie dalszych wiadomości praktycznych. W okresie tym bar-

<sup>1)</sup> Por. Christoffer Brunn, *Folkelige Grundtanken*, 1886, L. Schröder, *Den nordiske Folkhøjskole*, 1905, A. H. Hollmann, *Die dänische Volkshochschule*, 1909 i I. S. Thornton w Sadler's, *Continuation Schools in England and elsewhere*, 1908, str. 483—512.

<sup>2)</sup> Por. zbiorową pracę pod redakcją M. E. Sadler'a p. t. *Continuation Schools in England and elsewhere, their place in the Educational system of an Industrial and Commercial State*. (2 wyd.) 1908.



dzo wiele pod powyższymi względami zrobić można, natomiast wszelkie zaniedbanie nie da się już później wynagrodzić. Dodajmy jeszcze, że przy dzisiejszym ustroju gospodarczym, w większych miastach i środowiskach pracy ludzkiej dzieciom w wieku ponad lat czternaście stosunkowo łatwo znaleźć zajęcie, niewymagające wiadomości fachowych, a dość wysoko wynagradzane i pociągające perspektywą zupełnej niezależności od rodziców („na posyłki“), ale zajęcie takie trwa zaledwie lat kilka i nie daje żadnego przygotowania zawodowego do pracy w późniejszym wieku. <sup>1)</sup> Śmiało powiedzieć można, że tak rozwinięta w większych miastach niefachowa praca nieletnich niszczy fizyczny i moralny kapitał przyszłych pokoleń w stopniu, który, o ile samo społeczeństwo nie przedsięwzięnie odpowiednich środków, może stać się przyczyną dużych strat w życiu narodowym i zagrozić poważnem niebezpieczeństwem społecznem.

Niedostateczność i powierzchowność nauczania w zakresie szkoły elementarnej, niemożność ze względów zarówno skarbowych jak i ogólno-ekonomicznych przedłużenia przymusu szkolnego poza czternasty rok życia, konieczność wyspecjalizowania się w danym zawodzie przy dzisiejszej organizacji pracy przez uzupełnienie ogólnego wykształcenia, nabytego w szkole ludowej, szeregiem wiadomości fachowych, zarówno teoretycznych jak i praktycznych, wreszcie groźne niebezpieczeństwo obniżenia ogólnego poziomu rozwoju umysłowego młodego pokolenia przez zaniedbanie dalszego ćwiczenia jego władz intelektualnych, a co za tem idzie, niebezpieczeństwo zmarnowania znacznego zasobu kapitału, czasu i energii, poświęconych na zorganizowanie systemu obowiązkowej i bezpłatnej szkoły ludowej—to wszystko zniewala społeczeństwo do obmyślenia szeregu środków zaradczych. I w danym wypadku specjalnie należy się zastrzedz, że przy rozwiązywaniu tego zagadnienia nie względy ekonomiczne, lecz względy ogólnoludzkie powinny mieć znaczenie czynnika rozstrzygającego. Zapewne, ogólny dobrobyt narodu wiąże się ściśle ze stopniem fachowego przygotowania robotnika, a Ruskin zaznaczył słusznie, że rodzaj zajęcia ma ścisły związek ze stanem moralnym i umysłowym ludności. <sup>2)</sup> Nie wypływa z tego jednak wcale, aby zadania polityki wychowawczej państwa miały na

<sup>1)</sup> Por. ciekawy artykuł Kittermaster'a p. t. *Unemployment and Boy Labour* w *S-t George's Magazine*. Styczeń, 1907.

<sup>2)</sup> Zob. John Ruskin, *Arrows of the Chace*, t. II, str. 193.

uwadze jedynie tylko wymagania fabryki, warsztatu lub sklepu. Tego rodzaju rozwiązanie kwestyi byłoby zbyt jednostronnem, nie samym bowiem chlebem żyje człowiek, i troska o moralne udoskonalenie natury ludzkiej winna posiadać niemniejsze znaczenie od troski o zaspokojenie wymagań egoizmu ekonomicznego. I pod tym względem nieodzownym jest harmonijne skombinowanie prawodawstwa, administracyi państwowej, inicjatywy samych pracodawców, a także sprawności, rozsądku i osobistych wysiłków jednostek, wnoszących do służby społecznej znajomość rzeczy, a także miłość Boga i ludzi.

Przechodząc do wniosków konkretnych, musimy zaznaczyć, że potrzeby wychowania narodowego, którego zaniedbanie nadwyręza zasadę współżycia ludzkiego i grozi niebezpieczeństwem normalnemu rozwojowi stosunków ekonomicznych, wymagają przede wszystkim dalszego ograniczenia pracy nieletnich pod względem długości dnia roboczego i obowiązkowego odpoczynku świątecznego w celu umożliwienia im w przeciągu pewnej ilości godzin w tygodniu korzystania z wykładów uzupełniających, zarówno ogólno-kształcących, jak i specjalnych lub zawodowych. Dla ułatwienia tego zadania państwo powinno zachęcać organizacje samorządne, instytucje i osoby prywatne do zakładania i utrzymywania odpowiednich szkół dalszego kształcenia, mających na celu nietylko nauczanie we wskazanym powyżej zakresie, lecz i przygotowanie nieletnich do oczekujących ich z czasem obowiązków, do rozwinięcia w nich zasad obywatelskości i społecznienia. Wreszcie, wychodząc z zasady, że przedsiębiorcy, zatrudniający w swoich zakładach nieletnich, winni, niezależnie od umowy najmu usług osobistych, wykonywać nad nimi w pewnym zakresie władzę rodzicielską: być dla nich niejako *in loco parentium*, a co za tem idzie, ponosić też za nich odpowiedzialność, prawo powinno zobowiązać pracodawców bądź do nieprzeszkadzania zatrudnionym u nich chłopcom od lat 14 do 18 w uczęszczaniu na takie wykłady, bądź też tam, gdzie się to okaże możliwem — do przymusowego posyłania ich do odpowiednich szkół dalszego kształcenia, utrzymywanych przez państwo lub korporacje publiczne, pod osobistą ich odpowiedzialnością.

Tym sposobem system szkoły dalszego kształcenia może się opierać bądź na zasadzie przymusu szkolnego, rozszerzonego poza normalny wiek szkolny, bądź też na zasadzie dobrowolnego uczęszczania na wykłady, i trzeba przyznać, że obie te zasady posiadają we współczesnej literaturze jednakowo gorących i zdecydowanych zwolenników. Jedni zwracają uwagę na fakt nie-



wątpliwy, że dobrowolne uczęszczanie do szkoły podnosi jej ogólny poziom, gdy natomiast przymus wprowadza w jej progi żywioły odporne i niechętne, co pociąga za sobą dwie prawdziwe kłębki szkolne: spóźnianie się na wykłady i opuszczanie lekcji, a co za tem idzie, konieczność reagowania za pomocą konsekwentnie przeprowadzonego systemu kar szkolnych. Ale na zarzut obniżania poziomu szkoły odpowiadają zwolennicy przymusu, że dzieci, opuszczające szkołę ludową, nie są jeszcze dojrzałe do samodzielnego decydowania o sobie, i że wskutek tego obowiązkiem społeczeństwa powinno być właśnie ułatwić im walkę z grożącym niebezpieczeństwem przez przyczynienie się do wyrabiania charakteru, chociażby w drodze przymusu. Obniżeniu poziomu szkoły uzupełniającej da się zapobiedz przez odpowiednią klasyfikację uczniów i lepsze przygotowanie nauczycieli, zresztą obniżenie to może mieć tylko charakter przejściowy, zanim ludność nie przyzwyczai się do przymusu w tej dziedzinie, jak się już przyzwyczaiła w dziedzinie przymusu w szkole ludowej.

Zasada przymusowego uczęszczania do szkoły dalszego kształcenia znalazła szerokie zastosowanie w ustawodawstwie fabrycznym Niemiec i Szwajcaryi, inne zaś państwa trzymają się dotychczas przeważnie systemu dobrowolnej frekwencji, starając się jednocześnie o to, aby szkoła dalszego kształcenia stała się jaknajbardziej dostępną dla szerokich warstw ludności zarówno miejskiej jak i wiejskiej.

Uchwalone przez parlament niemiecki prawo przemysłowe z d. 1 czerwca 1891 r., uzupełnione nowelą 30 czerwca 1900 r., stanowi (art. 120), że pracodawcy są obowiązani zatrudnionym u nich osobom płci obu poniżej 18 lat wieku, a pragnącym korzystać ze szkoły uzupełniającej, utrzymywanej przez rząd lub instytucje lokalne, pozostawić tyle wolnego czasu, ile okaże się niezbędnym dla prawidłowego uczęszczania do niej podług przepisów, ustanowionych przez właściwe władze miejscowe, przy czem zajęcia w szkole są dozwolone w niedziele i dnie świąteczne o tyle tylko, o ile nie przeszkadzają w wykonywaniu obowiązków religijnych. Organy samorządu prowincjonalnego i miejskiego mają prawo nakazać obowiązkowe uczęszczanie do szkoły dalszego kształcenia (Fortbildungsschule) wszystkim chłopcom w wieku poniżej lat osiemnastu; w tym celu powinny być wydane specjalne przepisy ze szczegółowym określeniem obowiązków samych uczniów, a także rodziców, opiekunów i pracodawców. Chłopcy, uczęszczający do szkół zawodowych, mogą być zwolnieni od obowiązku

uczęszczania do szkoły uzupełniającej, o ile szkoły te przez odnośne władze uznane zostaną za równorzędne. Wreszcie za ewentualne wykroczenia przeciw powyższym przepisom grozi kara do 20 marek, względnie do 3 dni więzienia.

Historycznie biorąc, niemiecka *Fortbildungsschule* rozwinęła się z utrzymywanej i prowadzonej przez duchowieństwo protestanckie szkoły niedzielnej, w której dzieci, już po ukończeniu szkoły ludowej, uczyły się jeszcze w dalszym ciągu katechizmu i Pisma Świętego w celu odpowiedniego przygotowania się do confirmacji i pierwszej Komunii. Z biegiem czasu szkoły niedzielne utraciły swój charakter konfesyjny i zamieniły się na rzeczywiste szkoły dalszego kształcenia, inające na celu rozwinięcie i pogłębienie wiadomości, nabytych w szkole ludowej, ze szczególnem uwzględnieniem wymagań praktyki zawodowej, ale posyłanie lub nieposyłanie dzieci do takich szkół było w zupełności pozostawione uznaniu rodziców lub opiekunów. W r. 1873 pierwsza Saksonia rozszerzyła zasadę przymusu szkolnego i na szkoły uzupełniające, a w rok później sejm wielkiego księstwa badeńskiego uchwalił szczegółowo opracowane prawo o szkołach uzupełniających, które posłużyło za wzór do naśladowania większości państw wchodzących w skład Rzeszy Niemieckiej. Prawo badeńskie (z dnia 27 lutego 1874 r.) stanowi, że nauczanie elementarne winno być rozszerzone w ten sposób, aby dzieci w przeciągu dwóch lat po opuszczeniu szkoły ludowej były jeszcze obowiązane uczęszczać po kilka godzin dziennie do szkoły uzupełniającej dla wyrobienia w sobie zrozumienia bezpośredniego związku wiadomości, nabytych w szkole ludowej, z wymaganiami życia, tak, aby każdy z uczniów mógł z wiadomości tych korzystać jako z pomocy, zastosowanej do własnego zawodu czy fachu. W tym celu w każdej gminie powinna znajdować się szkoła dalszego kształcenia, a rodzice lub zastępujący ich miejsce mają dbać o to, aby dzieci posiadały książki i przybory, nieodzowne do nauki, a to pod odpowiedzialnością, wypływającą z ogólnych przepisów o przymusie szkolnym. Od obowiązku uczęszczania do takiej szkoły zwolnione są dzieci, uczęszczające do szkół technicznych i innych fachowych lub do wyższej szkoły ludowej, a także te, które udowodnią, że otrzymują u siebie w domu wystarczające nauczanie prywatne, lub że już wiadomości, wykładane w szkole uzupełniającej, na innej drodze nabyły. Nauczanie w szkole uzupełniającej powinno mieć przedewszystkiem na celu wydoskonalenie uczniów w czytaniu tudzież ćwiczeniach ustnych i piśmieniowych w dziedzinie języka ojczystego i rachunków, poza tem po-



winno dawać również szerszy zakres wiadomości w ścisłym zastosowaniu się do wymagań miejscowych, i mając zawsze na widoku przede wszystkim względy praktyczne. Nadzór nad szkołami dalszego kształcenia należy do miejscowego komitetu szkolnego, zarządzającego tą szkołą ludową, przy której istnieje odpowiednia szkoła uzupełniająca, albowiem w zasadzie szkoła uzupełniająca powinna być ściśle złączona ze szkołą ludową i z organizacją władz szkolnych w państwie.

Od daty wydania tego prawa z ogólnej liczby dwudziestu pięciu państw, wchodzących w skład Rzeszy Niemieckiej (nie licząc w tem Alzacyi i Lotaryngii, które, jak wiadomo, stanowią osobny „Reichsland“), już w dwudziestu jednym uczęszczanie do szkoły dalszego kształcenia stało się obowiązkiem dla całej młodej generacji lub przynajmniej znacznej jej części, a czas trwania nauki, następujący zawsze bezpośrednio po ukończeniu szkoły ludowej, określa w każdym wypadku specjalne prawo miejscowe. Przymusu w zakresie szkoły dalszego kształcenia nie wprowadziły dotychczas u siebie Hamburg, Lubeka, księstwo Reuss starszej linii i księstwo Schaumburg-Lippe, a ludność tych czterech państwek wynosi milion dwakroćstotysięcy głów, to jest zaledwie jedną czterdziestą szóstą ogólnej cyfry ludności w całych Niemczech. W jedenastu państwach obowiązek uczęszczania do szkoły dalszego kształcenia w przeciągu pewnego okresu czasu wypływa z praw ogólnopństwowych, w dziewięciu, a w tej liczbie w większej części Prus, przymus w tym zakresie istnieje tylko na mocy odpowiednich postanowień władz samorządu lokalnego. W Bawaryi, Württembergu, Saxen-Meiningu, Waldeck-Pyrmont i w części Prus do szkoły uzupełniającej obowiązani są uczyć się zarówno chłopcy jak i dziewczęta, w pozostałych zaś krajach przymus istnieje tylko dla chłopców.

Tym sposobem w ustawodawstwie niemieckim, wychodzącym, jak wiadomo, z pojęcia wszechwładzy państwa, zasada obowiązkowego uczęszczania młodzieży do szkoły dalszego kształcenia jest, właściwie biorąc, zupełnie konsekwentnem rozwinięciem zasady przymusu szkolnego w zastosowaniu do dzieci, uczących się w szkołach ludowych, a wzorowa organizacja powszechnej służby wojskowej umożliwiła zaprowadzenie jeszcze dokładniejszej kontroli nad dorastającym pokoleniem.

Właściwem zadaniem szkoły dalszego kształcenia powinno być ogólne przygotowanie przyszłych pracowników do wszystkich zawodów zupełnie niezależnie od tego, czy będziemy widzieli w niej dalszy stopień szkoły ludowej, czy też pierwszy etap

w rozwoju szkoły zawodowej. Przy dzisiejszej organizacji pracy, opartej na specjalizacji, posuniętej do ostatecznych granic, pracownik, o ile nie potrafi ovladnąć swoim fachem, stanie się z pewnością jego niewolnikiem, a każdy fach, oprócz rutyny ręcznej, wymaga jeszcze szeregu wiadomości specjalnych, prowadzących do lepszego zrozumienia jego tajników. Ale oprócz interesu prywatnego—chęci nabycia sprawności zawodowej, a co zatem idzie, zdobycie lepiej płatnego stanowiska—nie należy spuszczać z oka interesu publicznego. Pod tym właśnie względem szkoła dalszego kształcenia powinna przygotowywać swoich wychowañców w ten sposób, aby każdy z nich w swoim zawodzie mógł przyczynić się skutecznie do najwyższego rozwoju sił twórczych swojego kraju ze ścisłem, rzecz prosta, uwzględnieniem zawodu i środowiska swoich wychowañców. Nie idziemy bynajmniej tak daleko, aby wzorem lipskiego ekonomisty, prof. Stiedy, przypuszczać, że stworzenie doskonałego systemu wykształcenia technicznego i zawodowego w związku z organizacją korporacji zawodowych i rozwiązaniem kwestyi dostarczania siły roboczej w postaci motorów domowych może z czasem rozwiązać dzisiejszą skomplikowaną kwestyę socyalną, ale trudno zaprzeczyć, że państwo jest w najwyższym stopniu zainteresowane w utrzymaniu typu samodzielnego wytwórcy, jako przeciwstawienia obecnemu systemowi industrializacji i kapitalizmu, a co za tem idzie, powinno dążyć do zmodernizowania dzisiejszej drobnej wytwórczości, zbyt jeszcze tracącej zabytkami średniowieczyny (terminowanie u majstra). To zmodernizowanie powinno polegać na ułatwieniu przyszłemu pracownikowi tego wszystkiego, co może się przyczynić do lepszego zrozumienia przezeń swojego fachu, co czyni go sprawniejszym i zręczniejszym, a jednocześnie podnosi go pod względem moralnym, materyalnym i intelektualnym. I w tym zakresie działania należy zaznaczyć niewątpliwą wyższość niemieckiej *Fortbildungsschule* w porównaniu z francuską fakultatywną *école primaire supérieure*, która, stanowiąc rodzaj wzorowego warsztatu, zwraca uwagę prawie wyłącznie na ręczną stronę rzemiosła, podczas gdy w Niemczech zadanie szkoły uzupełniającej polega przedewszystkiem na udzielaniu uczniom wiadomości ogólnych, mogących się im przydać w przyszłym ich zawodzie.

Nie wdając się w bliższe szczegóły organizacji i metody nauczania w szkole dalszego kształcenia w różnych krajach, należy zaznaczyć, że zarówno ze społecznego jak i z gospodarczego punktu widzenia stanowi ona bardzo ważny czynnik w życiu każdego kulturalnego narodu. Szkoła taka przedewszystkiem odświe-



za wiadomości, nabyte w szkole elementarnej i strzeże je od zapomnienia, pozatem wywiera poważny wpływ wychowawczy, przyczyniając się do wyrobienia w dorastającym pokoleniu w krytycznym okresie dojrzewania poczucia karności i dyscypliny społecznej, nie mówiąc już o jej uodpornieniu fachowem w oczekującej po wyjściu w świat walce o byt na polu ekonomicznem. Przemysłowy i handlowy rozwój każdego narodu wymaga koniecznie fachowego przygotowania młodego pokolenia w związku z jego ogólnem wykształceniem i wychowaniem, ale i moralny rozwój społeczeństwa ucierpiałby na tem, gdybyśmy nie starali się przedsięwziąć wszelkich możliwych środków w celu przeciwdziałania szkodliwym wpływom współczesnych wielkich środowisk miejskich na zdrowie moralne dorastających pokoleń.<sup>1)</sup>

Wskazaliśmy niewątpliwie korzyści szkoły dalszego kształcenia, jako dalszego stadyum w ogólnym rozwoju oświaty ludowej, winniśmy też zwrócić uwagę i na jej ujemne strony, które nie pozwalają oprzeć wyłącznie na niej wielkiego dzieła uspołecznienia przyszłych pokoleń i zmuszają społeczeństwo do szukania nowych sposobów rozwiązania tego pierwszorzędnego zadania cywilizacyjnego. Nie zapominajmy bowiem, że kultura ducha i sprawność techniczna stanowią wartości nie równorzędne, i że każdemu ruchowi wychowawczemu, wywołanemu, jak w danym wypadku, potężnymi względami natury ekonomicznej, grozi niebezpieczeństwo zejścia na bezdroża i manowce i zatracenia tego idealnego pierwiastku, który nadaje wychowaniu moc nad charakterem człowieka i prowadzi ludzkość do prawdy, dobra i piękna. Niebezpieczeństwo to tkwi nietylko w ekonomicznych warunkach dzisiejszego życia, lecz i w psychologicznych właściwościach współczesnego człowieka. Rozwój krytycyzmu pociągnął za sobą w szerokich masach niewątpliwie osłabienie powagi rodzicielskiej, tem niebezpieczniejsze, że sami rodzice nie rzadko wahają się co do zakresu i granic własnego autorytetu, nie mówiąc już o tem, że wyższy naogół poziom wykształcenia młodego pokolenia im przedewszystkiem imponuje najbardziej. Dodajmy do tego ogólne dążenie młodzieży do wyemancypowania się z pod władzy rodzicielskiej przez jaknajwcześnie zdobycie niezależności i samodzielności zarobkowej i względną łatwość jej uzyskania

---

<sup>1)</sup> Por. w tej kwestyi: D-r Georg Kirschensteiner, *Staatsbürgerliche Erziehung der deutschen Jugend*, 1901, i Prof. Paul Natorp, *Gesammelte Abhandlungen zur Sozialpädagogik*, 1907.

w dzisiejszym ustroju społecznym, a będziemy mieli całokształt sił zarówno intelektualnych, jak i gospodarczych, składających się na wytworzenie charakterystycznej tendencji współczesnej myśli ludzkiej — dążności do indywidualności i samookreślenia, która ujęta w karby dyscypliny społecznej oznacza dzielność, energię, uczciwość, zapał do pracy i gotowość do poświęceń, a nie zrównoważona uspołecznieniem i karnością wewnętrzną, przybiera najczęściej potworne formy anarchizmu i chuligaństwa.

BRONISŁAW BOUFFAŁ.



# PIŚMIENICTWO.

JÓZEF WEYSSENHOFF. *Soból i panna*, cykl myśliwski. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka, 1912, 8-ka, str. 379.

Nikt temu zaprzeczyć nie zdoła, że Weyszenhoff przeżywa obecnie (od 1906 roku) najpiękniejsze chwile swej twórczości. Mieliśmy już sposobność zdawać sprawę na tem miejscu z ostatnich kilku etapów rozwoju jego wielostronnego talentu. I zaiste, autor „Podfilipskiego“ dał literaturze naszej dużo więcej, niż obiecywał: z satyryka „wielkiego świata“ przedzierzgnął się w bystrogo obserwatora spraw politycznych, a potem w artystę *pur sang*, w poetę, człowieka pierwotnego, dla którego nic w naturze obcej nie jest.

Tę nową stronę uzdolnień Weyszenhoffa zauważyliśmy już w „Unii“, z której bije potężna fala uniłowania przyrody, tej rozkosznej, odurzającej swymi wdziękami ziemi litewskiej. I wyraziliśmy przypuszczenie, że czar zakuwania w nieśmiertelne kształty słowa lubych sercu obrazów zniewoli na dłuższy czas wyobraźnię autora „Dni politycznych“: kto raz spróbował tego trunku, rozmiłuje się w nim na zawsze; kto raz czuł rozkosz nadawania pod czułymi palcami miękkiej i posłusznej glinie mowy rodzimej kształtów pożądaných, ten nie zapomni tego wrażenia—do śmierci.

Przewidywania nasze sprawdziły się w zupełności: oto leży przed nami cykl myśliwski p. t. „Soból i panna.“

Daleko jesteście od wytwornych, połyskliwych salonów Podfilipskich, Zbaraskich *e tutti quanti*. I autor już nie ten sam, co wówczas: w tym przesiąkniętym zapachem pól i lasów, mokrym od rosy, utyłanym w błocie, przyodzianym w ubiór gruby i prostacki myśliwcu któżby domyślił się światowca, który przed kilku

jeszcze laty z taką wielkopańską „dezynwolturą“, lekkimi, nie dbały mi ruchy mistrza floretu strącał z piedestałów mniemane wielkości ze „świata nudów“?

W każdym z nas, w mniejszym lub większym stopniu, pokutuje, a może tryumfuje, pomimo wszelkich wysiłków kultury tysiącoletniej, pra-instynkt człowieka jaskiniowego, który z oszczędnością kamienną w muskularnej dłoni brał się za bary z praszczurem dzisiejszych niedźwiedzi. Człowiek Zachodu, dla którego wyraz „puszcza“ kojarzy się z czemś niezmiernie dalekiem, egzotycznym, ma tego w sobie coraz mniej: gaskońscy Tartarinowie, dla których najpiękniejszą zdobyczą jest biedny, oszołomiony pukaliną bezcelową królik, aż do Algieru jeździć muszą po trofea myśliwskie, wątpliwej zresztą autentyczności... Chyba że jakiś Anglik podróżny, jak Kipling, zapuści się w dżungle indyjskie, by tam, zdala od łoskotu kolei podziemnych i gwizdu syren fabrycznych, w jednej z kolonii, nad którymi Wielka Brytania rozciągnęła swe panowanie, posłuchać, jak bije tętno przyrody.

Tylko więc literatury słowiańskie, zrodzone wśród niezmiernych borów i bajorów, mogły dać skończony wyraz artystyczny przyrodom i wrażeniom myśliwskim: szczycą się, i słusznie, Rosyane „Notatkami myśliwca“ Turgeniewa, mieliśmy i my „Pana Tadeusza“, a potem Dygasińskiego i jego niezrównany epos zwierzęcy „Godów życia“.

Do tego szeregu przybywa obecnie „Soból i panna“ Weysenhoffa.

Posłuchajmy, co mówi on o jednym ze swoich bohaterów, młodym myśliwym, Michale Rajeckim: „W tej Burbule włączył się czasem po wiecznie rosistej, bujnie na rdzawym torfie zatrawionej ziemi, i nie myślał o polowaniu, lecz wynajdywał nie nazwane pokrewieństwa między człowiekiem a resztą przyrody, powstawanie uczuć z zapachów, uczuć ze szmerów — uczył się fonetyki porozumień ze zwierzem, z lasem, z wiatrem. Może nie myślał—jeżeli myślał jest już sąd sformułowany i prawo odkryte—ale wchłaniał te fale ostrych, bezpośrednich doświadczeń, które zgęszczają się później w wypowiedziane myśli. W rozmowie z pachnącym gąszczem olszowym stawał się poetą; gdy wychodził z niego na kraj, uśmiechnięty słońcem, niósł jeszcze w oczach, w uszach i w nozdrzach pełno tajemnic lasu. Wietrzyły potem, ale osadzało się z nich coś na dnie duszy.“

A oto jeszcze jedno niezmiernie znamienne zwierzenie: „Las się rysował i oblekał już w barwy, a w sercach młodych strzelców budziło się pragnienie ogromne—nie tego już cietrzewia roz-



tokowanego, nawet nie tych ust pięknej, znajomej dziewczyny, pragnienie uścisku wszechświata. Wyssać z niego całą słodycz, być współczującą monadą rozkoszy w tym błogosławnym pędzie wiosennym do wiekuistego życia!

Widzimy stąd, że między Kiplingiem i Dygasińskim z jednej strony a Weyssenhoffem z drugiej — zachodzi pewna różnica w sposobie odczuwania natury: tamci są bardziej animistami, przedziwnie odtwarzają psychologię swych kudłatych i pierzastych bohaterów; on w swem uwielbieniu i miłości dla cudów przyrody, w swem „pragnieniu uścisku wszechświata“ jest — panteistą, z instynktu raczej, niż z wyrozumowania, jako myśliwy i poeta w jednej osobie. A choć nie gardzi i psychologią zwierząt, zwłaszcza psów, wiernych towarzyszy myśliwego, chociaż zna ją zresztą doskonale, ze wszystkimi cechami indywidualizmów (arystokratyczna Hetka, zapalczywy Fox, mądry Kuchta, wreszcie Cezar i Minka, flegmatyczne i mające we krwi poczucie tresury wyżły rasy niemieckiej i t. d.), uważa jednak te „wyżle dusze“ za szczegóły w ogólnym obrazie natury.

Nazwaliśmy autora „Sobola i panny“ panteistą z instynktu: on przecież, jak mało kto już w dzisiejszej naszej literaturze, wypatrywać umie kształty i barwy, wsłuchiwać się w głosy i sznery, odczuwać wonie subtelne a zmieszane. To wchłanianie w siebie wrażeń z obcowania z przyrodą wszystkimi zmysłami jest dowodem bogatej wyobraźni i wielkiego talentu.

I chciałoby się, dla stwierdzenia powyższego, przytoczyć długi szereg obrazów, scen, szczegółów, określeń przedziwnie plastycznych — niepodobna jednak przepisywać całej książki. Musimy więc ograniczyć się do kilku najznamienniejszych przykładów.

Oto jak patrzy Weyssenhoff: „Bezkwietne murawy łąk i łągów międzypolnych przekładały ciemną, strzyżoną zielenią dale podorane, czerwone i zboża tu i owdzie pozostałe na pniu: rude pszenice-jarki, potargane i brudne wyki nasienne, przywiedłe kartofle“ i t. d. Albo jeszcze: „Nie straszyły już gąszcze, teraz koronkowo przejrzyste, nie groziły przepastne miejsca polany, łatwe w dzień do obejścia, znaczone rdzawym kożuchem, okolone jaskrawym, chłopskim haftem, żółto-biało-różanym na srebrnej murawie... I rumieniły się już czuby drzew, nad nimi błękit srebrzysty wołał w nieskończenie świeżą i radosną przestrzeń.“

Ale Weyssenhoff-kolorysta (przepyszne krajobrazy polne, i leśne, i błotne, i jeziorne, o wschodzie i zachodzie słońca, i w noc ciemną, na „tokach“) ma i ucho niemniej subtelne. I znowu wy-

starczyć nam musi kilka zaledwie urywków: „Zadzwoniło po lesie głuchym dzwonkiem, niby zdławionym śmiechem, potem wybuchnął szum, jak wystrzelony gdzieś daleko szmermel. Czarny kogut podjeżdżał, chrzęszcząc w pióra, do romanowo gruchającej cieciorki. Zagrało powtórnie bliżej w brzezynie, ale zanim pyszny szmermel zakończył miłosnego kuranta, wybuch strzału potrząsnął lasem... Lekkie szmery w konarach drzew dały poznać...“ i t. d. „W harmonii powstającego dnia... śmiertelny przemysł ludzki z a z grzytał fałszem.“ A o dwie stronicie dalej taka symfonia leśna: „Nie wybuchały już po lesie nagłe, namiętne wołania i trzepoty; po ukojonej, liściastej i szpilkowej powodzi płynął koncert surdyną, niby melodyjny wiatr, złożony z weseleń drobnych ptasząt, nieponętnych dla myśliwego, więc bezpiecznych; do starych pni przywarłe prostopadłe, bębniły takt dziecioty“ i t. d.

A teraz nacieszymy powonienie przedziwnymi zapachami, zalatującymi z kart tej niezwykłej książki. „Kraj wydawał z siebie wonie wyborne: traw, koszonych na otawę, ajeru i łąk przyjeziornych, przy osadach zaś lekką woń drzewnego dymu.“ Albo inny, niepospolitej siły obraz: „Owocowe zapachy dojrzałego lata wionęły z sadu, odmłodzone przez technienie poranka, precedzone przez rosę, kapiącą z liści.“ Kilkanaście kart dalej: „Zalatywała prądami specyficzna woń lnu, rozсланego po łące lub moczonego w kałużach i jeziorkach.“ Inny znów szczegół: „Lekka woń ziół i drzewnego dymu sprawiała, że w cichej izbie było coś z atmosfery wiejskiego kościoła...“ Jeszcze gdzieś: „Zakurzył się wonny dymek (tytuniu) w połączeniu z silnymi zapachami lasu i podnieceniem nieprzespanej nocy — haszyszowo odurzający.“ A oto obraz o odmiennym nastroju: „Upał, nasycony mocnymi woniami, był pełen faunicznej namowy; coś dziko i namiętne dyszało w pobliżu, niby lubieżne, przyśpieszone oddechy; w powietrzu były elektryczne dreszcze, w ciszy — kobiece wołania...“

Nierychło skończylibyśmy, chcąc wyliczać wszystkie te niezwykłe piękności. Ale niepodobna pominąć milczeniem jednego jeszcze szczegółu: subtelności w odczuwaniu wrażeń, dostarczanych przez zmysł smaku. Oto trzy drobne przykłady: „Smak powietrza był rzeźwy i cierpki, zaprawny fermentami późnej pory roku;“ a gdzieś: „Tymczasem las rozbudzony był już pełen ciepłej słodyczy;“ i wreszcie: „Sad parował słodyczą owoców...“



Nie będziemy mnożyli przykładów. I z powyższego już bowiem widzimy, że „nienazwane pokrewieństwa między człowiekiem a resztą przyrody“ odzywają się w autorze „Sobola i panny“ z całą potęgą żywiołu, iż posiada on rozległą, rzadko spotykaną skalę zmysłowości w najszlachetniejszym znaczeniu tego wyrazu, a co zatem idzie, i plastyki artystycznej.

A ludzie? I oni również są tylko częścią krajobrazu, ożywającą martwość „stafażem“ malarskim, albo lepiej jeszcze, „spółczującą monadą“ w oceanie wszechświata. Dwaj naczelnii bohaterowie, przyjaciele-myśliwcy, Michał Rajewski, człowiek bardziej „miastowy“, a więc już dotknięty trądem refleksyi, i Stanisław Pucewicz, wychowaniec kniei i łęgów, natura dziewicza i bezpośredniość w swem umiłowaniu przyrody, w swej pogardzie rubasznej dla szerokiego świata z jego cywilizacją i przesadami, w swej mowie śpiewnej, suto zaprawnej prowincjonalizmami litewskimi, tak bardzo typowy i tak bardzo rodzinny, obaj oni spełniają rolę jak gdyby nici jedwabnych, na które nanizano barwne paciorki krajobrazów, scen myśliwskich, obrazków rodzajowych i t. d. A ich przygody miłosne, tak proste, a tak piękne i poetyczne, to znowu jakby jeden głos w powszechnym hymnie natury na cześć potęgi życia! Tylko że Stanisław, nieodrodne dziecię puszczy litewskich, nie myśląc wiele (jak gdyby znał nieśmiertelny paradoks Rousseau'a: „Człowiek, który medytuje, jest zwierzęciem zepsutem“), żeni się z dzielną córką gospodarską, Janielką Trembelówną; a wrażliwszy od niego na podszepty czujnej rozwagi Michał depce w sobie popęd przemożny, popychający go w objęcia pięknej dryady leśnej, córki i wnuczki „ochotników“, Warszulki Łaukinisówny, i odda ją, nietkniętą, w ręce nie kochanego mężczyzny, ku swojej i jej serdecznej nęce.

Takie są proste, a jednak pełne urocznego czaru dzieje serc łowieckich, tak dyskretnie, zlekka, a mimo to z taką wyrazistością traktowane (śliczny profil Warszulki, z niezmierną subtelnnością nakreślony).

Inne postacie w „Sobolu i pannie“ to raczej sylwetki, kilku pociągnięciami pióra narysowane, posiadające jednak nieraz dużą siłę wyrazu i wiele charakteru, tem piękniejsze, im bliższe natury. Tu należą np.: stary wyga leśny i kłusownik, Łaukinis, stryj Warszulki, lub też inny stróż nieprzebrodzonych ostępów, leśnik Czerwiński — z upodobania, Czerwinskij — z potrzeby, Szyrwintas — od wypadku. Albo takie np. świetne portrety dwu księży, Stulgińskiego i Lelejki: pierwszy — szlachcic-rubacha, myśliwiec zawołany, kompan niezrównany, drugi — dziecię ludu, niezręczny i za-

trwożony, ale piastujący w duszy szczytną ideę uduchowiania się i popędów cielesnych w człowieku. Lub wreszcie dwie przepyszne sylwetki dwu starców, tak niepodobnych do siebie, a jednak zbiegających się we wspólnych umiłowaniach, może wbrew ich własnej woli: starego Pucewicza, ojca Stanisława, i starego Trembela, dziadka Janielki — to także niepoślednie piękności w tem niepowszedniem dziele.

Pozostawiając wreszcie na stronie długi szereg figur epizodycznych: strzelców, łowczych i nadleśnych, zakończymy te nasze uwagi o „Sobolu i pannie“ jednym jeszcze szczegółem. Idzie o to mianowicie, czy wolno z małżeństwa Stanisława Pucewicza, z wynurzeń jego ojca i Trembela wysnuwać daleko idące wnioski o zawartej jakoby w utworze idei politycznej? Sądzymy, że autor nie dał nam do tego dostatecznego upoważnienia. Jeżeli już w „Unii“ polityka była sprawą drugorzędną, to tem bardziej przybijanie do takiego dzieła sztuki, jak „Soból i panna“, sztyldziku z napisem, np. „demokratyzm polsko-litewski“, byłoby rzeczą śmieszoną i wprost—rażącą.

Ludzi i klasy zbliża w „Sobolu i pannie“ nie jakaś z góry powzięta, sztywne i zimne „idea“, ale wspólne od wielu, wielu pokoleń życie na łonie przyrody; zbliża ich mocna, chlebowa woń świeżo zoranej, czarnej, rodzajnej gleby, pełnej aromatów, wilgotny podmuch z łąk dalekich, tęgie zapachy, bijące od nieruchomej, świat grodzącej ściany lasów na horyzoncie.

HENRYK GALLE.

---

EDMUND KOŁODZIEJCZYK. *Ludność polska na Górnych Węgrzech*. Kraków, 1910. Odbitka ze „Świata Słowiańskiego“, czcionkami drukarni W. Korneckiego i K. Wojnara.

Ludność północnych komitatów Węgier, przytykających do Galicji zachodniej, błędnie uważana za słowacką, jest w rzeczywistości narodowości polskiej, co stwierdzili uczeni nietylko polscy, ale nawet czescy i słowaccy. Powszechnie ogół uważał granice państwa za granice narodowości i stąd powstał ów błąd, utrzymujący się przez szereg lat. Statystyka rządowa, nie uwzględniając języka tej ludności, podała wszystkie wsi polskie za słowackie.

Przeprowadzenie jednak ścisłych badań językowych wykazuje, że Karpaty nie mogą być uważane za „słup graniczny“ Pol-



ski. Autor omawianej broszury podał gwary językowe na miejscu i na tej podstawie ułożył mapę etnograficzną południowych stoków Karpat, Beskidów i Tatr. Według tej mapy lud polski rozsiadł się nieprzerwanym pasmem w żupaństwach: trenczyńskim, orawskim, na Śpiszu, w abaujskim i zemplińskim poza Preszów i Koszyce, nadto tworzy wyspy językowe w środkowo-słowackich żupaństwach, liptowskim i giemerskim.

W przeważnej części nie jest to ludność napływowa, lecz tu-byleza. Chociażbyśmy się zgodzili na polską kolonizację w ziemi słowackiej, musielibyśmy odnieść to osadnictwo nie do jakiegoś faktu historycznego, lecz do bardzo dawnych czasów, kiedy różne narody spływały przez Karpaty na żyzną a bezludną nizinę panońską.

Narzecze tej ludności, bliższe języka piśmiennego polskiego od kaszubszczyzny, posiada brzmienia, właściwe tylko językowi polskiemu i jest bardzo zbliżone do gwary górali podhalańskich. Wprawdzie narzecze to uległo większemu wpływowi języka słowackiego, aniżeli u Podhalan. Jednakże naleciałości słowackie łatwo zrozumieć, jeżeli zważymy tę decydującą okoliczność, że od kilku wieków w rękach słowackich jest szkoła i kościół, a język słowacki towarzyszy temu ludowi od kolebki aż do grobu. Wielkiemu wszakże skażeniu uległ język polski tylko w żupaństwach wschodnich. Tam znów statystyka rządowa trzyma się zasady, że wszystkich wyznawców greckiego obrządku zalicza do Rusinów.

W najnowszych czasach osady polskie są zasilane rodakami z Podhala, którzy kupują tam ziemię, znacznie tańszą, niż po stronie galicyjskiej. Imigranci ci poniekąd powetowują straty, poniesione wskutek zesłowaczenia się.

Według niektórych pisarzy liczba Polaków na Węgrzech dochodzi do ćwierć miliona, w każdym razie z czystym sumieniem można uznać 125 tysięcy za minimum siły polskiej na Węgrzech.

Ludność polska jednak na Węgrzech topnieje stopniowo. Cały szereg wsi, uważanych w wieku XVIII za polskie, dziś liczą się już jako czysto słowackie. Polsko-słowacka granica językowa stale cofa się na północ, pozostawiając jednak na opuszczonych miejscach widome ślady w postaci gwary mieszanej polsko-słowackiej lub znacznej domieszki polszczyzny w narzeczu słowackim. Działacze słowaccy świadomie działają na lud polski w kierunku wynarodowienia.

Politycy madziarscy sprzyjają temu, gdyż nie chcą stwarzać u siebie kwestyi polskiej, o której rozwiązanie damagałaby się

sąsiednia Galicya. Kiedy ksiądz Stojałowski schronił się na Węgry przed pościgiem władzy świeckiej i duchownej, wszędzie przyjmowano go grzecznie, jako „męczennika wolności.“ Pozwolono mu też przenieść drukarnię swych pism do jednego z miast słowackich. Kiedy zaś na Śpiszu wszczął agitacyjną pracę w celu zorganizowania stronnictwa ludowego, zaraz zabroniono mu pobytu wśród wsi polskich. Wzbraniają Węgrzy księżom galicyjskim przyjeżdżać z polskimi kazaniami na Orawę i Spisz, gdzie ludność jest polska, a pozwalają w słowackim Budzynie. Robią również trudności osadnictwu polskiemu na Śpiszu.

O przyłączeniu tych ziem polskich do Galicyi obecnie marzyć nie można, należy jednak domagać się dla naszych rodaków polskiego nabożeństwa, polskich kazań i polskiego wykładu elementarnego. Odpowiednim terenem do tego są wspólne delegacye austro-węgierskie.

Autor nawołuje, by nie marnować przez niedołęstwo polityczne pięknego szmata ziemi polskiej i nie patrzeć z obojętnością aż obce fale pochłoną 125 tysięcy ludu nawskróś naszego, stanowiącego kość z kości, krew z krwi naszej.

W. D.

JERZY ŻUŁAWSKI. *Gród słońca*, baśń dramatyczna w trzech aktach. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie. 1911. Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 214.

Najnowsza „baśń dramatyczna“ Żuławskiego jest tak typowa w swoim rodzaju, że choćby z tego względu zasługuje na obszerniejsze omówienie. Nietylko bowiem dziełom wybitnym i oryginalnym należy się szczegółowa analiza, ale czasami także i takim, które, skupiając w sobie pewne cechy charakterystyczne, stają się przedstawicielami pewnej manieri literackiej, zastępującej szablonami i schematami rzetelny wysiłek twórcy, sentymentalizmem szczere uczucie, a gładkim wierszem brak treści duchowej.

Zwrócenie uwagi na wartość takich produkcji jest tembardziej obowiązkiem, jeżeli przerastać ona zaczyna pewne granice i miary, jeżeli zasypuje rynek księgarski swymi wytworami, a w dodatku znajduje nawet poparcie w prasie codziennej i czasopismach, dzięki czemu staje się popularna, uznana, czytana... i kupowana.

Takimi właśnie wytworami częstuje nas p. Jerzy Żuławski od szeregu lat. Niegdyś, w młodości, miał i on górne porywy,



a poezye jego miały w sobie tendencye głębsze i formę własną. Od czasu jednak przerzucenia się tego autora na pole *sui generis* dramatyczne, wzięła w nim górę dążność ujmowania w formy „baśniowo-dramatyczne“ rozmaitych popularnych, rozpowszechnionych i zbanalizowanych „problematów.“ Ujawniło się to wyraźnie w głośnym swego czasu, granym na wszystkich scenach polskich z wielkiem powodzeniem, dramacie p. t. „Eros i Psyche,“ gdzie zagadnienie miłości i duszy przeprowadzone było w szeregu obrazków przez rozmaite epoki ludzkości, w sposób bardzo mało oryginalny i głęboki, ale zato bardzo łatwy i prosty, a więc przypadający do smaku przeciętnej publiczności. Za tym utworem poszedł później cały szereg innych, w których duch poety, cofnąwszy się w epokę średniowiecza, albo wprost w czasy jakiegoś bezdziejowo-symbolicznego, snuł swoje baśnie o „Ijolach,“ „Donnach Aluicach“ i innych „La bestiach,“ nie troszcząc się już nawet o zagadnienia popularne, ale nurzając się w papierowym świecie srogich rycerzy, olśniewających kasztelanek, nieszczęśliwych kochanków, krwawych katastrof i t. p.

„Gród słońca“ należy do tej ostatniej epoki twórczości Żuławskiego. Treść jego przedstawia się jak następuje:

W akcie pierwszym widzimy zrab klasztoru na wzniesieniu; nieopodal wiedzie droga w dół ku miastu. Przed furtką klasztorną kilka mniszek w nadzwyczajnem podnieceniu spogląda w dół i co chwila z piersi ich dobywa się okrzyk zachwytu lub zaciekawienia. Sytuacya niezwykła. Niebawem dowiadujemy się, że powodem tego wszystkiego jest *Bohater*, główna figura dramatu, który właśnie odbywa wjazd tryumfalny do zdobytego miasta. Z pośród mniszek Młoda zakonnica najbardziej interesuje się Bohaterem i ma nawet zamiar posłać mu trochę kwiatów przez jednego z przechodniów. Udaremnia jednak ten zamiar Xieni, która, choć niewidoma, widzi wszystko i nie pozwala na ofiarowywanie kwiatów z grobu świętej Marcyny temu „bezbożnikowi.“ Mniszki, a zwłaszcza Młoda zakonnica, starają się bronić Bohatera, ale napróżno. Autor bardzo przejrzyście daje do zrozumienia, że właśnie między nieugiętą Xienią a Bohaterem dojdzie do konfliktu tragicznego. Jakoż przypuszczenia te się spełniają. Niebawem zjawia się Majordomus Bohatera z rozkazem do Xieni, aby dobrowolnie oddała mu klasztor, gdyż on tu chce postawić sobie pałac, oddawszy swe zamki w mieście na łaźnie i teatry dla ludu. Konflikt się zaostrza. Xieni, naturalnie, ani słyszeć o tem nie chce i cofa się za furkę klasztorną. Pozostaje Majordomus z dworakami, którym już cięży władza Bohatera i do dusz wkrada się uczu-

cie buntu. Z rozmowy ich dowiadujemy się na razie tylko tyle, że urodzenie Bohatera nie jest bynajmniej bardzo wysokie, a kryje je jakaś tajemnica. Zjawia się nareszcie on sam ze swoim ojcem, dawniej sławnym rzeźbiarzem, obecnie żyjącym już tylko sławą syna. W rozmowie z ojcem wygłasza Bohater cały szereg długich tyrad, które mają ujawnić, czem on jest, czego pragnie i jakie są jego cele. Jest młody i ufny w swe siły, pragnie, „by człowiek był jak dziecię, a z życia nie znał nic oprócz wesela,“ celem zaś jego najwyższym jest postawienie „grodu słońca“ na miejsce, gdzie dotychczas stał ciemny i ponury klasztor. Wypadki idą dalej dość szybko. Ponieważ Xieni nie chce się zgodzić na dobrowolne oddanie klasztoru, więc go Bohater odbiera przemocą, mianuje Młodego Budowniczego egzekutorem tego rozkazu. Nad głową jego jednak zaczynają już ukazywać się chmurki. Oto Astrolog przeczuwa coś złego i nie radzi budować zamku w tem miejscu. Z rozmowy zaś ojca z Xieni dowiadujemy się, że Bohater jest ich synem, a ponieważ Xieni pochodzi z królewskiego rodu, więc teraz staje się zupełnie zrozumiałe, skąd w nim tyle temperamentu i fantazyi. Oto ekspozycja dramatu.

Zajęłoby to zbyt wiele miejsca, gdybym chciał opowiadać dalej szczegółowo dzieje Bohatera. Jest to nawet niepotrzebne. Z powyższego można już nabrać wyobrażenia o charakterze całości. Jak się łatwo domyśleć, Bohater burzy klasztor i stawia na jego miejscu „gród słońca,“ uwiódłszy wprzód Młodą zakonnice i przyłączywszy ją do posiadanych już czterech żon. W akcie drugim Bohater jest u szczytu potęgi, ale równocześnie Majordomus z dworakami zaczynają snuć około niego sieć intryg, które mają go w rezultacie zgubić. Zabity zostaje podstępnie Młody Budowniczy, lud podburzony przeciw swemu władcy, który w dodatku nieopatrznie pozbawia się swego hufca „orłów“ z Wodzem na czele, wysyłając ich na pomoc walczącemu z przemocą ludowi górskiemu. W akcie trzecim wre walka pomiędzy garstką robotników, oddanych Bohaterowi, a tłumem, na którego czele stoi Majordomus. Ojciec i Młoda, siedząc na wieży Astrologa, wyczekują przybycia hufców wystanych, bo one tylko wrócić mogą panowanie Bohaterowi. Ten ostatni, nie tracąc wiary w siebie, udaje się na pole walki i wraca z niej nieuszkodzony, ale sam—wszyscy jego obrońcy wyginęli. Wierzy jeszcze w swe zwycięstwo i przybycie „orłów.“ Ale tu psuje mu szyki kobieta. On, który dotychczas nigdy urokowi niewieściemu nie ulegał, którego serce było za obszerne, aby mogło pójść na usługi jednej wybranej (miał ich zresztą pięć)—teraz zmęczony i uznojonny, zdejmuje hełm (spo-



dziewając się w każdej chwili napadu!) odkłada włócznię, tarczę i miecz i oddaje się słodkiemu odpoczynkowi u nóg ukochanej. Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że napada nań Majordomus i powala jednym uderzeniem w jasne loki. W chwilę potem nadlatują orły, co wywołuje zrozumiały niepokój u Majordoma. Dramat cały kończy zjawienie się Wodza, który „stał wsparty na gołym mieczu—nieruchomy, olbrzymi, kamienny, straszny...” Bohater będzie pomszczony.

Zastanówmy się teraz pokrótce nad tem, z jakich elementów złożona jest ta „baśń dramatyczna.“ Przedewszystkiem tła i epoki historycznej niema. Sam to autor wyraźnie zaznacza w scenariuszu: „Czas i miejsce działania nieokreślone.“ Ta nieokreśloność czasu i miejsca pociąga za sobą z konieczności także nieokreśloność osób działających, a to jest dla wszelkich rodzajów dramatu zabójcze. Żuławski pragnął zapewne, aby postaci jego były wszechludzkie czy ogólnoludzkie, jak sobie też wyobrażał, że akcja jego baśni ma te same znamiona, to jest może się dziać zawsze i wszędzie. Skutek tymczasem jest taki, że postaci te, z powodu nagromadzenia rysów ogólnych, są bezkrwiste, bezduszne i pospolite. Niema w nich ani jednej cechy oryginalnej, osobistej, nowej — wszystko znane, wszystko oklepane, wszystko schematyczne. W ten sposób przedstawia sobie np. „bohatera“ każda pensyonarka, jako młodzieńca o obowiązkowych jasnych lokach, nieodzownej greckiej zbroi, deklamującego o słońcu i weselu, walczącego z wszelką przemocą, uszczęśliwiającego lud przez łaźienki i teatry i t. d., i t. d.

Tak samo rzecz się ma z innymi postaciami. Majordomus to ośmieszony już doszczętnie i dziś już tylko w wodewilach pokazywany „czarny charakter.“ Xieni to przedstawicielka tradycji taka, jak bywały w literaturze pseudo-klasycznej uosobienia złości, niezgody i t. p. Ojciec jest może trochę żywszy, ale tylko chwilami, jakby przez zapomnienie—i jego bowiem wsadził autor na koturny jakiegoś wyrzeczenia się, czy poświęcenia swej sławy i talentu dla syna. Reszta figur z Wodzem na czele, to manekiny, poruszające się mechanicznie, jakby nakręcone. Jest i szablonowy, łatwowierny lud i poczciwy burmistrz, i zaskrzepli pedagogowie, i zgięci w kabłąk urzędnicy—jednym słowem wszystkie te bezosobowe, sztywne pojęcia, a raczej terminy, nazwy, nie same przez się nie mówiące, lecz potrzebujące dopiero tchnienia potężnego talentu, aby ożyć i przemówić. Czasami zdaje się, jakby autor wprost umyślnie zacierał pewne żywsze rysy, jakie mu się tu i owdzie wymykają. Tak jest np. z Młoda zakonnicą.

Z chwilą tylko, gdy autor zauważył, że uczucie jej ma akcenty szczerości i bezpośredniości, natychmiast robi z niej coś w rodzaju przedstawicielki „des Ewigweiblichen“ w znaczeniu ujemnem, co „bohaterom“ w decydujących chwilach wyjmuje z rąk włócznię i miecz, a głowę odkrywa na ciosy wroga.

Ten sam charakter szablonu i schematyzmu, jaki posiada tłum figur „Grodu słońca“ — mają też i konflikty między niemi zachodzące. Weźmy parę znamienych przykładów np. ojca i Xieni. Ona z rodu królewskiego, on sławny artysta, cóż dziwnego, że się pokochali, a nawet, że mieli syna. Autor jednak i pod tak zwyczajną sprawę stara się podłożyć konstrukcyę sztuczną, czysto umysłową, obcą wszelkiej grze namiętności. Oto Xieni oświadcza, że dlatego jakoby pokochała rzeźbiarza, iż miłość jej potrzebną mu była, aby wznieść się nad wszystkich.“ Przestała go zaś kochać z chwilą, kiedy on, „niegdyś sławny, złożył ręce i stał się niczem, odkąd posiadał dziecko.“ Sztuczny i sprzeczny z naturą namiętności jest ten pomysł Żuławskiego. O stosunku ojca do syna już mówiłem. Bunt dworzan i ludu przeciw Bohaterowi, jego stosunek do Młodej, jego mowy do rozmaitych posłów, przybywających prosić o pomoc, nawet stosunek Bohatera do matki—wszystko to nie zawiera w sobie nic świeżego, nic zabarwionego jakąś indywidualną siłą.

A „sens moralny“ całej baśni dramatycznej? Trudnoby go było wyłuskać z tej powodzi słów pustych i obrazów mdłych. Jak nie wiemy dobrze, o co temu Bohaterowi właściwie chodzi, tak samo nie wiemy dlaczego pada? Czy przyczyny upadku są wewnętrzne i tkwią w jego zbytnej ufności w siebie i pewności, czy też zewnętrzne, tkwiące w obłudzie Majordoma, przekleństwie matki, czy wreszcie w osłabiającym wpływie Młodej? Wszystko bowiem miesza się z sobą i staje się równie nieokreślone, jak czas i miejsce akcji. Z tego zawikłania stara się autor wydobyc, jak zwykle — komunałem. Oto wprawdzie zginął bohater, ale idea jego żyć będzie. Spadkobiercą tej idei będzie zapewne dekoracyjnie ustawiający się nad zwłokami Bohatera—Wódz.

Rzecz cała napisana wierszem gładkim, nużącym w swej poprawności, płynącym wolno i leniwie, a szarym, jak cały ten „gród słońca.“

M. KRIDL.



*Przyczynki do dziejów wychowania i oświaty w Polsce.* I. Nakładem „Muzeum.”  
Lwów, 1910. 8 o, str. 206.

Dla historii ruchu unysłowego w Polsce wiek XVI jest wielce znamienym i obfitym w epizody dzisiaj nieznanne lub zapomniane, które jednakże posiadają duże znaczenie. Szczególnie upośledzona i niesłusznie, ze względu na swą wartość, jest historia wychowania, która w wieku XVI może się wykazać wcale niepoślednim dorobkiem.

Unieszczona na pierwszym miejscu w omawianej książce rozprawa d-ra Kota, napisana starannie i ze skrupulatnem uwzględnieniem ówczesnego stanu literatury pedagogicznej, przedstawia godne uwagi poglądy Andrzeja Frycza z Modrzewa, na szkołę i wychowanie.

Zdaniem głośnego polityka, autora „De Republica emendanda,” niezbędne są trzy warunki do należytego postanowienia Rzplitej: ład społeczny, religijność i wychowanie należyte, „albowiem z dobrego młodych ludzi ćwiczenia, jeśli nie we wszystkich rzeczach, tedy w przedniejszych, tak nabożeństwu, jako też spólnemu ludzkiemu obcowaniu wiele użytku przychodzi.” Sprawy pedagogiczno-szkolne rozstrzyga Frycz ze stanowiska polityka, nie miesza się do zagadnień ściśle wychowawczych lub dydaktycznych, aczkolwiek jest czytany w odpowiedniej literaturze, lecz chce tylko przekonać czytelnika, „iż jest to z korzyścią Rzeczypospolitej stan szkolny ochraniać i wszelkimi sposobami pielegnować.” Spraw wychowawczo-moralnych nie pomija milczeniem, nie głosi w nich rzeczy oryginalnych, ale też nie powtarza przesądów, od których nie byli wolni współcześni mu wychowawcy. Mając do wyboru sprzeczne poglądy, oświadczał się za tymi, które nie odbierały wiary w polepszenie złego stanu rzeczy, lecz zachęcały do pracy nad własnem udoskonaleniem (np. w sprawie predestynacy i tabula rasa). Patrząc na wychowanie, jako na przygotowanie do przyszłej służby ojczyźnie, „nie pogardza niskimi zajęciami,” t. j. rzemiosłami, bo uważa je również za pożyteczne dla Rzplitej, jak i nauki. Z tego stanowiska ostro powstaje na wychowanie wielkopańskie, na demoralizujący wpływ dworów magnackich, gdzie, dzięki próżniactwu, szerzy się rozpusta i zepsucie wśród przebywającej tam młodzieży. Nawołując w tym kierunku do poprawy, proponuje nawet utworzenie osobnej instytutcyi, złożonej z zacnych a poważnych mężów, którzyby czuwali nad obyczajami młodzieży i w razie potrzeby ją karali.

Nie uważając dworów za pożądane ogniska dla kształcenia młodzieży, baczniejszą uwagę zwraca na szkoły, które chciał widzieć w dużej ilości i tak zorganizowane, aby były dostępne jaknajszerszym sferom społecznym. Zadaniem szkoły chrześcijańskiej ma być przygotowywanie do spełniania powinności religijnych i społecznych, zarząd więc jej winien spoczywać w ręku osobnej instytucji, złożonej z dygnitarzy świeckich i kościelnych, a fundusze na utrzymanie tak szkół, jak i studentów, powinno dawać duchowieństwo, które posiada ogromne majątki. Beneficya kościelne zostały ustanowione nie dla osobistych wygód jednostek, lecz dla krzewienia nauki i oświaty, jak to same tytuły nadań wskazują. Przodkowie nasi zapisywali dobra na kościoły, bo przy nich istniały szkoły, potrzebujące środków na utrzymanie.

Po rozbiore poglądów Frycza autor w ten sposób charakteryzuje jego stanowisko w literaturze powszechnej: „Nie znamy żadnego dzieła w literaturze politycznej Europy do czasu „Poprawy“ Frycza, któreby przy ogóle kwestyi politycznych uwzględniało szkolnictwo na równi z innymi. Dziś, kiedy obowiązuje powszechne nauczanie, a opieka nad szkolnictwem stanowi jedną z najważniejszych gałęzi administracyi państwowej, wydaje nam się to rzeczą naturalną. Nie wolno jednak zapominać, że całkowite objęcie szkolnictwa przez państwo jest zdobyczą dopiero końca XVIII stulecia. Frycz, który jeszcze w połowie XVI wieku kładł na Rzeczpospolitą obowiązek utrzymywania, zarządzania i nadzorowania szkół, uważając wychowanie za jedną z agend państwa, równorzędną obronie granic lub wymiarowi sprawiedliwości, pierwszy jest pod tym względem wśród statystów europejskich.“<sup>1)</sup>

Druga rozprawa d-ra Kota p. t. „Szkoła lewartowska. Z dziejów szkolnictwa aryańskiego w Polsce“ odnosi się również do XVI wieku. Na podstawie zapomnianej broszury, dochowanej tylko w jednym egzemplarzu w bibliotece Ossolińskich p. n. „Schola Levartoviana restituta... Autore Alberto Calissio eiusdem scholae Rectore“ przedstawił d-r Kot sylwetkę Wojciecha Kaliszczyka, porównując jego poglądy pedagogiczne z poglądami słynnego strasburskiego rektora Jana Sturm'a.

Kaliszczyk w sprawach wychowawczych teoretycznej i praktycznej natury kopiował Sturm'a, robiąc jednak tam wyjątki, gdzie tego wymagały jego osobiste przekonania lub warunki, wśród któ-

<sup>1)</sup> Luter o ćwierć wieku wcześniej żądał tego samego.



rych działań. Aryanin, zlecydowany przeciwnik papieża i jezuitów, na szkolnym terenie był tylko pedagogiem, dalekim od najłżejszego zabarwienia wyznaniowego. Sprawie wychowania poświęcił się całkowicie i niezmordowanie borykał się z ciężkimi warunkami bytu, chociaż dzięki swym zdolnościom i gruntownemu wykształceniu łatwo mógł dojść do wielkiego znaczenia na innem, mniej upośledzonym polu pracy. Wiedza jego i zalety charakteru były tak wielkie, że cieszył się uznaniem i poza kołami swych współwyznawców. Powołany ze szkoły chmielnickiej do Lewartowa (dziś: Lubartów) na rektora, potrafił swą nową szkołę w krótkim czasie postawić na takim poziomie, że dążyli do niej nietylko dawni uczniowie z Chmielnika i bez różnicy wyznań młodzież okoliczna, lecz nawet młodzieńcy z Rygi i Dorpatu, oraz studenci Akademii Krakowskiej, pogrążonej wówczas w letargu. Świetny rozwój szkoły, o której odzywali się z uznaniem profesorzy uniwersytetów zagranicznych, został przerwany przez napad Tatarów, wybuch morowego powietrza i śmierć wojewodziny Firlejowej, hojnej opiekunki szkoły. Nowy dziedzic Lewartowa, po pewnem wahaniu, zajął się szczerze losami szkoły, lecz trwało to niedługo, albowiem po jego śmierci brat Krzysztof, biskup kijowski, heretyckie gimnazjum „rozpuścił na wiatr.“

Trzecia rozprawa d-ra Józefa Lewickiego nosi tytuł: „Geografia za czasów Komisji Edukacji Narodowej z uwzględnieniem ówczesnej metody nauczania.“ Jest to staranne i wymagające dużego nakładu pracy zestawienie podręczników do geografii, używanych w szkołach polskich za czasów Komisji Edukacji Narodowej, z dodaniem niektórych szczegółów dotyczących dydaktyki. Autor przychodzi do wniosku: „Na polu geografii nie wyprzedziliśmy Europy zachodniej, ani się z nią zrównali, ale szliśmy jej śladem, i to niech nam chlubą będzie.“

Zamyka książkę praca d-ra Karbowiaka p. t. „Kazimierz Brodziński na niwie wychowawczo-oświatowej.“

Zmuszony przykrymi warunkami materialnymi, Brodziński już od wczesnej młodości zajmował się uczeniem dzieci. Po ukończeniu studiów uniwersyteckich w Krakowie przeniósł się do Warszawy, gdzie przez pewien czas pracował w Komisji Oświecenia. Niezadowolony przepisami na czysto papierów, porzucił swe zajęcie i w r. 1818 rozpoczął systematyczną pracę pedagogiczną, jako nauczyciel konwiktu żoliborskiego i pijarskiego seminaryum, w trzy lata później został powołany na profesora literatury do Liceum warszawskiego, a w r. 1822 został uniwersyteckim profesorem „historii krytycznej literatury polskiej,“ któ-

ra to godność piastował aż do zamknięcia uniwersytetu w r. 1831. Obowiązki swoje traktował niezwykle sumiennie, rozumiał ich wielką doniosłość, więc też studiował literaturę pedagogiczną oraz zajmował się kwestyami metodycznymi i dydaktycznymi. Umysł religijny i praktyczny nie interesował się wielce zagadnieniami czysto teoretycznymi, chociaż nie była mu obca znajomość filozofii, w której, podobnie jak i w pedagogii, zajmował stanowisko krytyczno-eklektyczne. Kładąc duży nacisk na religijno-moralną stronę wychowania, nie upośledzał jednak rozwoju intelektu, który jest czynnikiem niezbędnym i powinien być jak najwszechstronniej rozwijany.

Tak próżne światło tam, gdzie niema cnoty,  
Próżna cnota wśród ciemnoty:  
Szczęsny, kto cnotę łącząc przy rozumie,  
Jedno drugim wspierać umie.

Nie zamykał Brodziński oczu na prawdziwe zdobycze postępu, ale nie wyrzekał się dla byle nowinki przeszłości i tradycji rodzinnej. Głosił potrzebę stateczności i równowagi wewnętrznej, jednak równocześnie nawoływał młodzież do energicznej, rzutkiej pracy, do śmiałych przedsięwzięć, aby tylko z wytrwałością. W młodzieży widział przyszłość narodu, przyszłych obywateli kraju, który sam kochał gorąco, i miłość tę starał się wpoić wśród swych uczniów. Należy dodać, że Brodziński nie przeoczył doniosłości sprawy wychowania kobiet, których rola w rodzinie, a przez to i w społeczeństwie, jest bardzo znaczna. Nie uszły jego uwagi ani sprawa oświaty ludowej, ani szczegóły wychowania domowego, gimnazyjalnego i uniwersyteckiego, ani zalew Polski przez francuskie romansidła lub okropną polszczyznę tłómaczone książki, wydawane za granicą. I chociaż w ujmowaniu zagadnień brak mu jakiegoś głębszego, filozoficznie uzasadnionego stanowiska, to brak ten nagradza zacną chęcią i rzetelnym pragnieniem dobra społecznego.

Powyżej przedstawioną rozprawę cechuje zwykła sumienność d-ra Karbowiaka w uwzględnianiu szczegółów; zebranie w jedną całość rozproszonych poglądów pedagogicznych Brodzińskiego, aczkolwiek zbyt wysoko ocenionych, maluje nam w sympatycznych barwach postać jego, jako wychowawcy.

Niemile brzmią używane przez autora przyimki: „we wieku,“ „we wielu,“ „we wierszu“ i t. d... nie rozumiemy również, co ma oznaczać wyrażenie: „odślania nam B. cały *proceder* psychologiczny“ (str. 155).



W zakończeniu d-r Karbowski rzuca projekt, mający na celu pobudzenie do pracy nad historią pedagogii w Polsce: „Oto ogłosimy rok jeden jako pedagogiczno-historyczny, poświęćmy miejsca w sprawozdaniach szkolnych <sup>1)</sup>, w dodatkach do Muzeum i wszędzie, gdzie to być może, wyłącznie rozprawom historyczno-pedagogicznym, rozpiszmy na nie kilka nagród... Przy odpowiedniej dobrze zorganizowanej akcji dałby się zebrać poważny fundusz na nagrody, a tem samem stworzyć nie lada zachętę do pisania.“ Projekt taki, to dobry półśrodek, zdolny do wywołania chwilowego ruchu, ale nie do stworzenia podwalin pod gmach stałego systematycznego badania dziejów naszego wychowania. Zarządzić złemu mogłaby katedra pedagogii, kreowana na jednym z uniwersytetów polskich; do energicznej akcji w tej sprawie jest powołane społeczeństwo galicyjskie, a przedewszystkiem ci, którym leży ona na sercu.

„Przyczynki“ polecamy uwadze czytającej publiczności i oczekujemy na ciąg dalszy.

D-R Z. BUJAKOWSKI.

BARWIŃSKI EUGENIUSZ dr. *Dyaryusze i akta sejmowe z roku 1591 — 1592.*  
(Pisarze dziejów polskich, tom XXI), str. 457. Kraków 1911.  
Nakładem Akademii Umiejętności.

Dziwnym zbiegiem okoliczności dwie nasze instytucje naukowe wystąpiły w roku obecnym z publikacją dyaryuszy sejmowych. Dziennik sejmu 1748 r. wydany przez d-ra Władysława Konopczyńskiego, tudzież „Dyaryusze i akta sejmowe z r. 1591—1592“ prawie jednocześnie opuściły tłocznie drukarskie. Znany jest powszechnie fakt, że dyaryusze sejmowe z jednej strony przedstawiają materiał niesłychanie ważny, z drugiej strony tak wielki, iż jedna instytucja z trudnością mogłaby się z nim uporać. Wobec tego, współdziałanie zasłużonej Akademii Umiejętności i wstępującego dopiero w życie Towarzystwa Naukowego Warszawskiego przy tak doniosłym dla nauki polskiej przedsięwzięciu uważać można za fakt nadzwyczaj pocieszający.

Akademia Umiejętności wydawanie dyaryuszy sejmowych prowadzi już od lat 40-u. W roku 1872 niezapomniany Józef

<sup>1)</sup> Gimnazya galicyjskie ogłaszają doroczne sprawozdania, w których są zamieszczane także naukowe prace profesorów danej szkoły. (Przyp. recen.)

Szujski wydał dzienniki sejmów koronnych z r. 1548, 1553, 1570, w lat 15 dr. August Sokołowski publikuje dyaryusze sejmowe z r. 1587, w roku 1901 ukazuje się dziennik sejmu z 1585 pod redakcją d-ra Czuczyńskiego. Od lat paru wydawanie dyaryuszy sejmowych z XVI wieku spoczęło w doświadczonych rękach d-ra Eugeniusza Barwińskiego, który przed czterema laty wypuścił już w świat dyaryusze z r. 1597. Opublikowany obecnie przez d-ra B. tom rzuca dużo nowego światła na pierwsze lata panowania Zygmunta III, mające tak decydujący wpływ na nasze losy późniejsze. Sejm inkwizycyjny r. 1591, zjazdy w Kole, Lublinie, Jędrzejowie były wszak jakby wstępem do rokoshu Zebrzydowskiego. Nie jednego z późniejszych bohaterów rokoshu, poczynając od samego Zebrzydowskiego, poznamy na zjazdach lat 1590—1592. Obok przyszłych rokoshan, spotkamy tu innych przedstawicieli dwóch pokoleń. Zgrzybiały działacz jagielloński, prymas Karnkowski, przesuwają się tu przed naszymi oczami obok hetmana i kanclerza Jana Zamoyskiego, spiritus movens całego ruchu, obok którego skupiają się wszystkie namiętności, wszystkie ambicje. Z pokolenia młodszego na zjeździe jędrzejowskim zobaczymy Stanisława Żółkiewskiego. I sam Zygmunt III stanie tu przed naszymi oczami. Dzięki wydawnictwu pana Barwińskiego, zapoznajemy się teraz dopiero ze sławną deklaracją królewską z 28 września 1592 r., znaną nam dotąd z niezbyt dokładnej relacji Heidensteina, a w której, według słusznej uwagi Szujskiego, dał sobie pierwszy z naszych Wazów testimonium paupertatis.

Materyał, jaki dr. Barwiński zdołał zgromadzić w swem wydawnictwie, jest niezmiernie bogaty. Podzielił go autor na 3 części: w pierwszej zgrupował źródła do dziejów zjazdów chmielnickiego, radomskiego, lubelskiego, jędrzejowskiego. Mamy tu więc wyjątki z depeesz, wysyłanych ze zjazdu przez agentów gdańskich, relacje wysłańców austriackich, uniwersały, zwołujące zjazdy, postanowienia zjazdowe i t. d. W drugiej części umieścił wydawca 24 instrukcje, dane przez sejmiki poszczególnych ziem koronnych posłom na sejm r. 1592, a także instrukcję królewską na sejmiki, wreszcie w trzeciej części wydrukował właściwe dyaryusze sejmu inkwizycyjnego. Mamy tu 3 teksty dyaryusza. Pierwszy, najobszerniejszy i najciekawszy, oparł wydawca na rękopisie, przechowywanym w bibliotece uniwersyteckiej we Wrocławiu, a porównawszy go uprzednio z dwoma innymi egzemplarzami, znajdującymi się w bibliotekach hr. Krasińskich w Warszawie, tudzież hr. Raczyńskich w Rogaliu. Drugi tekst wydał dr. Barwiński według rękopisu Rogalińskiego. Jest on znacznie



krótszy i mniej ciekawy od poprzedniego. Trzeci wreszcie tekst dyaryusza ułożył wydawca ze sprawozdań wysłańców gdańskich o obradach sejmowych.

Naogół mówiąc, materyał, zgromadzony w wydawnictwie d-ra Barwińskiego, imponuje swoim bogactwem; zdobył go też autor dzięki długoletnim, mozolnym trudom. Dość powiedzieć, że w poszukiwaniu instrukcyi sejmikowych przewertował wszystkie archiwa, gdzie się znajdują księgi grodzkie i ziemskie, a więc warszawskie, lwowskie, krakowskie, poznańskie, wileńskie, kijowskie. Nie zaniedbał również robienia poszukiwań w naszych prywatnych i duchownych archiwach, tudzież w instytucjach zagranicznych, odwiedzając nawet tak mało znane badaczom naszym zbiorry, jak biblioteka seminaryjna w Żytomierzu, biblioteka kapitulna i biskupia we Frauenburgu, archiwum namiestnictwa w Insbrucku, wreszcie Riksarkivet w Stockholmie.

I. B.

WŁADYSŁAW FEDOROWICZ. 1809. *Campagne de Pologne*. Vol. I. Documents et matériaux. Paris. Plon, Nourrit et C-ie. 1911. 8-o, str. IV + 447.

Pomimo wzrostu zainteresowania epoką pierwszego cesarstwa i wzmagającej się wciąż we Francyi produkcji twórczej w tym zakresie, literatura francuska lat ostatnich nie może poszczycić się wielkimi wydawnictwami źródeł z tej epoki (pomijając oczywiście wielką ilość wydawanych pamiętników, wspomnień i t. p.). Wydawnictwa źródeł urzędowych, sporządzone pod zwierzchnim dozorem sztabu generalnego francuskiego, nie odpowiadają skromnym nawet wymaganiom edytorskim i choć wszystkie zawierają materyał wartości pierwszorzędnej, wszystkie podają go w formie prawie nie do użycia. Pomijając fantastyczną wprost pisownię nazw i miejscowości cudzoziemskich i częstokroć najdowolniejsze ich przeinaczanie, trzeba im wytknąć cały szereg braków: brak przejrzystych tytułów, skorowidzów imiennych, wiadomości co do pochodzenia (archiwum lub biblioteka, w najlepszym razie podane jest archiwum bez bliższego określenia) i charakteru drukowanych dokumentów (drukowany czy niedrukowany, oryginał czy kopia, nieścista kopia urzędowa i t. p.). Wydawca zadawała się przedrukowaniem tekstu, bez najlżejszych uzupełnień lub objaśnień faktycznych, życiorysowych lub ortograficznych. Nawet układ wydawnictw tych musi wzbudzać wątpliwości: jedne

traktują dokumenty raczej jako *pièces justificatives* własnych wywodów autora (Saski, 1809), inne, choć widzą w dokumentach główny cel pracy, tworzą poprostu las nagromadzonych materiałów, przez który trudno bardzo przebrnąć (Margueron, a zwłaszcza Fabry, 1812).

Prywatne archiwa, w rodzaju korespondencji Murata, ogłaszanej przez Le Brethona, przedstawiają się lepiej, choć i one nie wolne są od wad: pomimo pozorów krytycznego wydania i cytów z różnych archiwów rządowych, wydawca oparł się na jednym tekście minut archiwum muratowskiego (o ile chodzi o własne listy Murata); co szczególnie razi w tem bardzo zresztą starannem wydawnictwie, to brak skorowidzów imiennych. Również wyżej od wydawnictw rządowych stoją francuskie edycje prac w. ks. Mikołaja Michałowicza, choć i u niego brak wskazówek dokładnych co do pochodzenia i charakteru dokumentów, a noty załączone noszą piętno dowolności, wreszcie skorowidze, choć dają najważniejszy kierunek informacyjny, są zrobione dosyć powierzchownie.

Odrębne miejsce zajmują tomy ogłaszane przez Towarzystwo historyi współczesnej (Société de l'histoire contemporaine). Wszystkie wydawnictwa tego Towarzystwa obowiązują te same zasady edytorskie, zgodne z wymaganiami nauki współczesnej.

Wyżej jeszcze należałoby może postawić wydawane przez Geoffroy de Grandmaison relacje La Foresta z Hiszpanii. Jeżeli wydawnictwa Towarzystwa powyższego uważać należy za najzupełniej poprawne z punktu widzenia techniki edytorskiej, to La Forest może zadowolić najzupełniej wyszukane gusta specjalistów. Dokumenty posiadają dobre streszczenie, daty i pochodzenie źródeł podane w sposób przejrzysty i rzucający się w oczy, noty bardzo szczegółowe i źródłowe, materiał układający się w całość obrazu stosunków hiszpańsko-francuskich.

Wydawnictwo p. Fedorowicza zajmuje godne miejsce pod względem sztuki edytorskiej obok pracy p. Gr. Tom dokumentów, zaczerpniętych przeważnie z archiwum dworu i państwa austriackiego, oraz spraw zagranicznych i wojny paryskich, przedstawia politykę austriacką w stosunku do Napoleona na terenie polskim w r. 1809. Materiały w tomie tym zawarte, zaczynające się od lipca 1808, a kończące na sierpniu 1809 r., obejmują faktycznie tylko styczeń—kwiecień, jako okres najgorętszy na naszym terytorium. Końcowe części (maj—sierpień), poza doniosłym bardzo a w tomie niniejszym w całkowitej formie podanym raportem Serry z 1 maja (poprzednio częściowo drukowanym u Skalkow-



skiego), zawierają tylko materyał, wyświełający austryackie zabiegi w Londynie, materyał bardzo ważny dla zrozumienia późniejszych wahań rządu wiedeńskiego.

Tom niniejszy składa się przeważnie z dokumentów, dotychczas niedrukowanych, zawiera także przedruki z wydawnictw innych i ze współczesnych dzienników i publikacji. Wszędzie bardzo dokładnie zaznaczone pochodzenie i charakter dokumentu. Tytuły i numeracya dokładne, porządek chronologiczny. Noty, bardzo nieliczne, posiadają zupełnie określony charakter, prostują błędne nazwy w tekście lub uzupełniają dane źródła niezbędnymi wiadomościami (np. ważna jest nota o Sherlocku); zachowana bez zmiany pisownia oryginału. Dodano do książki spisy adresatów i adresujących, i wyjątkowo sumienny skorowidz.

Wydawca zapowiada wydanie następnych tomów, które zawierać będą dokumenty w językach przedewszystkiem niemieckim i polskim. Zapowiedź taka uwolniłoby go była powinna od umieszczenia w tomie niniejszym kilku dokumentów, załączonych w tłumaczeniach przy raportach Serry, bądź też w tej samej formie podawanych w ówczesnych dziennikach francuskich. Dokumenty te—w myśl dotychczasowej metody—wypadnie w tomie III przedrukować raz jeszcze z oryginałów (№ 19, 188, 194, 195, 196, 198).

Opuszczenie tych dokumentów mogło być uwolnić wydawcę od niezbędnych sprostowań w nocie, od przeoczenia pomyłki w tekście, zawsze możliwej (zam. Cuba na str. 290 i w skorowidzu czytać należy Łuba), od całego szeregu zbytecznych, a faktycznie nieprawdziwych imion w skorowidzu, wynikłych w tekście z zachowania zasady niezmienności pisowni oryginałów.

Zdaniem mojem w sprawie tej możnaby, a nawet należało stosować inną zasadę, pisownię modernizować całkowicie, z zachowaniem wszystkich stylistycznych osobliwości, swoistości wymowy w transkrypcyi nam współczesnej i błędów oryginału. O ile chodzi o imiona własne (nazwiska i nazwy miejscowości), to jeżeli w języku dokumentu niema nazw ustalonych, używać wszędzie nazw kraju danego w pisowni polskiej.

W tomie I wydawnictwa p. Fedorowicza historyk polski znajdzie materyał pierwszorzędny do stanu sił i nastroju społeczeństwa polskiego w okresie sejmu i w początkach wojny, oraz nowe wyświełlenie czynów oręża polskiego pod władzą ks. Józefa.

# Kronika miesięczna.

---

Pod znakiem spraw polskich. — Walka o wolność sumienia przed forum Rady Państwa.—Trzy etapy sprawy polskiej w Izbie.—Interpelacya o tajne nauczanie przyjęta.—O rolę Żydów w samorządzie.—Deklaracya Kola i stosunek do niej różnych opinii. — Sprawa chełmska. — Memoryał mniejszości. — Rozprawy historyczne i mowy posłów polskich.—Na rok nowy.—Towarzystwo Naukowe we własnej siedzibie.

Obrady obu Izb prawodawczych obracały się w ostatnim okresie około spraw polskich. Dyskusya zasadnicza w Izbie wyższej przy rozpatrywaniu prawa o wolności sumienia była właściwie rozprawą o stopień uprzywilejowania religii urzędowej oraz o stopień drugorzędności katolicyzmu; ponieważ ten w przeważnej ilości wypadków jest równoznaczny z polskością, więc była to walka o jedno z praw zasadniczych duszy polskiej, o prawo spokojnego wyznawania wiary ojców i dziadów.

Jeden z najważniejszych i najszlachetniejszych aktów politycznych ostatniej doby, manifest tolerancyjny, dał zasadnicze rękojmie tego prawa. Kiedy jednak nastąpiły liczne przejścia byłych unitów na katolicyzm, w tym samym stopniu wzmożyły się obawy kół rządowych i nacjonalistów. Rezultatem był szereg ograniczeń w praktyce administracyjnej, w zupełności zależnych od dowolności administratorów. A że każde prawo lepsze jest od bezprawia, więc z zadowoleniem powitać było można określenie norm prawodawczych, w jakich zakresie obracać się miała zasada naczelna Manifestu z dn. 30 kwietnia. Gdy prawo jako tako wyszło z pod obrad Izby niższej, prawica Rady Państwa nadludzkie podjęła usiłowania, by szeregiem poprawek znaczenie prawa zmienić i obniżyć. Około dwóch naczelných postulatów obracały się rozprawy. Jeden—to stosunek prawa uchwa-



lonego w drodze zwykłej do tymczasowych przepisów administracyjnych; w obozie prawa znaleźli się obrońcy wolności sumienia, gdy zwolennicy pozostawienia przeważnej roli przepisom byli zarazem obrońcami dowolności. Drugi postulat—to rodzina religijna. Posłowie polscy, którzy wolności sumienia bronili, hr. Wielopolski, hr. Olizar, p. Woynicz-Sianożęcki, wykazywali, że rodziną religijną może być tylko rodzina jednoreligijna, spory bowiem w tej dziedzinie muszą osłabić jej jedność, a więc i rodzinę jako komórkę społeczną wogóle. Stąd wniosek praktyczny, że prawo zmiany wyznania przy zawieraniu związków małżeńskich przysługuje każdemu w tym wieku, w którym ma prawo do zawierania tych związków i że dzieci rodziców, zmieniających religię, przechodzą na nowe wyznanie razem z nimi, o ile nie mają jeszcze lat czternaście. W obronie tych słusznych zasad posłowie polscy, zarazem szczerzy katolicy, zdobywali się na trafne i mocne akcenty; hr. Olizar zwłaszcza, przypominając czasy pierwszych chrześcijan, przypomniawszy dzieje dwóch metod: oddziaływania moralnego i przymusu państwowego; w walce ulega, jak ulegał zawsze,—drugi.

Skrajną reakcją w rozprawach reprezentowali pp. Kobyliński i Stiszynski. Granicę wieku zmiany wyznania dzieci odraczali do prawnej pełnoletności, a do religii urzędowej zmuszać chcieli przywilejami służby państwowej, proponując w prawie grozę wypędzenia ze służby za porzucenie prawosławia.

Nie poszła większość wysokiej Izby za tymi heroldami reakcyi. Upadły najskrajniejsze poprawki, przeciw szereg zmian wstecz da sporo materiału do pracy komisji pojedynczej obu Izb. I w niższej zresztą wznaga się reakcyja, określając przez to samo znak czasu.

Schodząc niżej, trzema etapami spraw polskich, dojdziemy do dni historycznych ostatnich wysiłków w sprawie chełmskiej. Pierwszy etap—to interpelacya posła Jarońskiego w sprawie nauczania tajnego, jednomyślnie przyjęta przez komisję interpelacyjną Izby Państwowej. Chodzi tu o przepisy administracyjne, wydane 3 kwietnia 1892 r. dla kraju Zachodniego i rozszerzone 26 maja 1900 roku na Królestwo Polskie, których mocą sprawy o tajne nauczanie wyjęte są z pod kompetencji sądów i przekazane władzom administracyjnym. Zniesione one zostały przez Najwyżej zatwierdzoną 24 sierpnia 1906 r. uchwałę Rady ministrów, potępione przez Senat w ogólnem zgromadzeniu d. 31 marca 1907 r., przywrócone mimo to zostały przez postanowienie obowiązujące naczelników kraju Zachodniego i Królestwa, na

podstawie niedokładnej interpretacji prawa o ochronie wzmocnionej. Te właśnie postanowienia obowiązujące są przedmiotem interpelacji Koła, przyjętej przez komisję.

Drugi etap — ważniejszy — to sprawa samorządu dla Królestwa, jaskrawo oświetlona przez sprawę żydowską. Jak wiadomo, misą soczewicy, okupującą wyodrębnienie ziemi Chełmskiej, ma być wprowadzenie w Królestwie samorządu miejskiego; podano ją zatem przed główną potrawą nacyonalistyczną obecnej biesiady dumskiej.

Na wstępie obrad, imieniem Koła Polskiego, złożył poseł Grabski deklarację, w której myśl, mimo braków poważnych ze stanowiska polskiego nowej ustawy, Koło będzie za nią głosowało i nawet powstrzyma się od zgłaszania poprawek, uważa ją bowiem za lepszą od stanu obecnego, który oddaje gospodarkę miejską w Królestwie na łup dowolności magistratów i nominacji. W dalszych rozprawach poseł permski, gen. Babiański (Polak), poruszył sprawę równouprawnienia Żydów i oświadczył się za niem w imieniu szerokich kół społeczeństwa polskiego. To niespodziewane oświadczenie zmusiło naturalnych jego reprezentantów do zasadniczego określenia swego stanowiska. Uczynił to poseł Jaroński w drugiej deklaracji, której ustęp zasadniczy brzmi, jak następuje: „Żydzi u nas stanowią większość ludności wielu miast, pomimo to wszakże musimy miasta te uważać za polskie i nie możemy uznać ich za żydowskie. Pozatem Żydzi korzystają u nas już oddawna, oprócz praw cywilnych, jeszcze z prawa pewnego samorządu, który na gruncie wyznaniowym pozwala im urządzać według swego przekonania swoje sprawy w zakresie szerszym, aniżeli pozostała ludność. Skutkiem wyżej przytoczonych okoliczności oświadczamy się za redakcją artykułów, traktujących o Żydach, w formie przyjętej przez komisję Dumy państwowej.“

Było to wyraźne oświadczenie się za kuryami narodowościowymi. Sprawa to znana czytelnikom „Biblioteki,“ pisaliśmy bowiem o niej obszernie przed rokiem, nie będziemy więc do niej powracali. Ze stanowiska oportunistycznego możnaby się sprzeczać o wartość taktyczną deklaracji powyższej; wiadomo, że cała opozycja rosyjska jest na usługach Żydów i że wniesienie takiej deklaracji w przeddzień sprawy chełmskiej, jest narażeniem się na odwet opozycji.

Odgłosy deklaracji nie dały długo na siebie czekać. „Polacy — wołał poseł Nisselowicz — napisali sobie dzisiaj *testimonium paupertatis*, uznali się za naród niekulturalny, naród dziki, który



chce ograniczać inne narody, nie umiając z nimi walczyć środkami legalnymi.“ Następnie wśród posłów Izby ukazała się niepodpisana odezwa, wzywająca do stworzenia kuryi rosyjsko-żydowskiej na pogniębienie drugiej — polskiej. Nieznane jest dotąd jej źródło. Jeżeli pochodzi z jakichkolwiek kół żydowskich, okazali się Żydzi — jak w wielu zresztą wypadkach — wrogami własnych interesów, jak okazał się takim uniesiony wschodnim temperamentem poseł Nisselowicz. Z dwóch naszych dzienników radykalnych jeden uznał wystąpienie Nisselowicza tylko za... „nietaktowne“, drugi — wolał uderzyć obelgami na swoich, na — Koło Polskie. Naród, który ma tak zwartą opinię publiczną, może zasłużyć na obelgi obcych gości. Na szczęście, olbrzymia większość opinii polskiej stoi w tym wypadku przy Kole Polskiem.

Stosunek lewicy do spraw polskich został zresztą jasno określony przy obradach nad językiem przyszłego samorządu, głosowała bowiem bez wahania za uprzywilejowaniem języka rosyjskiego, za tem, aby obrady rad miejskich prowadzone były po rosyjsku. Więcej — kiedy z kół prawicy wniesiony został projekt, aby uprzywilejować Rosyan w kuryi pierwszej, a Polaków oddać na pastwę Żydom — w drugiej, cała lewica głosowała za nim, łącząc się po raz drugi ze znienawidzoną prawicą przeciw — Polakom.

Posłowie nasi w Petersburgu obowiązek swój w sprawie chełmskiej dobrze spełniali i spełniają. Ostatnim aktem ich pracy przygotowawczej w komisji był referat jej mniejszości, stojący zasadniczo na stanowisku polskiem w spornej przed Izbą sprawie, chociaż przez pewną część Rosyan podpisany. Gdyby argumentami można było wygrać sprawę, wygrałby ją ten referat, zawiera bowiem wszystkie do tego dane, i historyczne, oparte na najściślejszych badaniach, i statystyczne, obalające sztuczne i fałszywe cyfry projektu i argumenty, zaczerpnięte z praktyki administracyjnej, z korespondencyi wszystkich generał-gubernatorów warszawskich. Zwalcza dalej to *votum separatum* argumenty rządu o rzekomych gwałtach polskich i ucisku ludności prawosławnej, wykazuje nicość projektu, jako zapory przeciw polszczeniu kraju, wykazuje bezcelowość niszczenia układu życia administracyjnego, sądowego, podatkowego, do którego ludność od dawna przywykła. Wszystkie te szczegóły znane są czytelnikowi polskiemu, więc ich nie powtarzamy; sądzimy, że znane i posłom rosyjskim, którzy wszakże nie chcą być przekonani.

Rozprawy rozpoczęto d. 8 grudnia od szczegółu formalnego. Wniosek chełmski po przejściu przez komisję wniosków prawodawczych miał wejść jeszcze pod opinię komisji samorządowej.

Tymczasem — pomimo głosów polskich — Izba zdecydowała inaczej; 174 głosami przeciw 95 postanowiono przystąpić odrazu do dyskusji w pełnej Izbie. Ta większość określa zapewne stanowisko jej także i nie tylko co do strony formalnej, ale i co do strony faktycznej projektu, tembardziej, że niezupełnie zdecydowani dotąd październikowcy postanowili głosować za przejściem do rozpraw szczegółowych, ograniczając się jakoby tylko do wprowadzenia szeregu „liberalnych“ poprawek. Sprawę więc można uważać za przesądzoną z góry i możnaby ją załatwić bardzo prędko. Ale chodzi o uczynienie jej rozgłosną i o łatwe zaakcentowanie taniego patriotyzmu. Więc minister Makarow zdejmuje z rządu, przyzwanego przez p. Kokowcewa *odium*, jakoby był przeciwny wyodrębnieniu; więc hr. Bobrinskij używa mityngowych i uczuciowych efektów, więc bisk. Eulogiusz prowadzi do boju przeciw Polakom i użytkowuje nawet argument filozofski: „Wczoraj — mówi — jeszcze członek Dumy, Jaroński, w imieniu Koła Polskiego oświadczył, iż Żydom nie należy dawać równouprawnienia w samorządach miejskich. Jeśli chodzi o nich samych — taka jest logika Polaków, lecz gdy się tyczy innych — to oświadczenia oni „nie pozwalam“ i gotowi zapędzić w kózki róg i Żyda i rosyjskiego chłopca.“

Cóż na to posłowie polscy? „Mówcy polscy — donosi jeden z korespondentów — spotykają się z atmosferą, przygotowaną z góry: poszukiwanie pretekstu do skandalu, co się zaznaczyło ze strony prawicy zarówno u wstępu przemówienia posła Dymy, jak i Harusewicz, gwar rozmów podczas przemówień, umyślna poza lekceważenia ze strony prawicy, wymuszonych pozorów grzecznego chłodu — ze strony lewicy.“ Mimo to spełniają swój obowiązek: wygłaszają doskonale opracowane mowy.

Nie piszemy tu streszczenia obrad. Ale pragnęlibyśmy ułożyć tu mozaikę, splot najsilniejszych, zawartych w ich mowach argumentów, o ile możności z cytat. Pamiętać będziemy posłom polskim, że rzetelną i wielką pracę w obronę dobra narodowego włożyli. Na umiejętnym jej podziale oparli przemówienia swoje. Do chwili, kiedy słowa te piszemy, przemawiało ich trzech, poseł siedlecki, Lubomir Dymsza, poseł łomżyński, Jan Harusewicz i poseł lubelski, Józef Nakonieczny.

Posel Dymsza zwalczał projekt głównie ze stanowiska państwowego. Prostował fałszywe, zawarte w referacie większości komisji, fałszywe historyczne, statystyczne, etnograficzne, walczył ważnym, zdawałoby się, argumentem o stosunku wyższych władz miejscowych i władz centralnych do projektu wyodrębnienia.



Okazało się, że „nawet sam Pobiedonoscew, który był gorącym zwolennikiem tego projektu, zrzekł się go następnie i podpisał protokół, że nie nadaje się on do wykonania, kiedy wysłuchał uzasadnionej opinii, że sprawa ta nie ma niczego innego na celu, jeno zadowolenie agitacyi miejscowej i wówczas, kiedy uczestniczący w posiedzeniu generał-gubernator Czertkow dowiódł, że sprawę tę należy nietylko wycofać, lecz i że na zawsze powinna ona być pogrzebana, jako sprawa nie mająca znaczenia państwowego.“

Dane statystyczne i sposób zbierania ich przez rząd następcza także posłowi ciekawe uwagi. „Natychmiast po złożeniu w komisji obliczeń statystycznych rządowych zabrałem się do ich sprawdzania. Cóż się okazało? Okazało się, że statystyka urzędowa nie zgadza się z obliczeniami... warszawskiego komitetu statystycznego, oraz z obliczeniami Dziewulskiego i Wiercieńskiego, ani z cyframi zgromadzonemi przez Francewa, profesora warszawskiego, Rosyanina, któremu powierzyło bractwo prawosławne (Bogorodzicowe) zestawienie specjalnych tablic statystycznych. Prof. Francew sam oświadczył, że za statystykę narodowościową nie odpowiada, ponieważ na pograniczu między jedną narodowością a drugą ściśle dane statystyczne nie dadzą się zebrać. Ale prof. Francew nadesłał komisji statystykę wyznaniową. Cóż się z niej okazało? Okazało się, że w całym kraju, o którego wyodrębnienie chodzi, niema więcej prawosławnych nad 30%. Procent to niższy, niż wykazują nawet najsumienniejsze dane statystyczne, niż dane, zebrane przez Dziewulskiego i Wiercieńskiego! Natenczas podniosły się w komisji głosy, wołające: „Nie może być! Projekt rządowy przewiduje 50,000 katolików i tylu też ich i powinno być.“ Zwolennicy tedy projektu rządowego raz jeszcze zwrócili się do władz. Niech statystykę skorygują. I oto rząd powtórnie zażądał z Warszawy od gubernatorów wiadomości ściślejszych.“ Jakież były tego rezultaty? Oto „ten sam gubernator (mam wyjątki z jego sprawozdania) w r. 1907 przedstawił ministeryum przegląd spraw w gub. siedleckiej, w którym na str. 5, w dziale dotyczącym statystyki językowej w pow. konstantynowskim, wyliczono mieszkańców, mówiących po małorusku — 23,298, Wielkorosyan—1,574, t. j. 1% o, Białorusów—149, osób zaś, mówiących po polsku, wyliczono 42,215. Innemi słowy: Polaków było w roku 1907 — 53,1% o, osób, mówiących narzeczem miejscowem oraz Rosyan—29,2%. Kiedy jednak nadeszło z ministeryum rozporządzenie, aby przygotować, wskutek żądania komisji, statystykę narodowościową, oczywiście według smaku i celów auto-

rów projektu chełmskiego, to tenże gubernator wyliczył w r. 1909 (w 2 lata później) Polaków 18,261, Rosyan zaś — 50,598. Otrzymano zatem odsetek odwrotny, Polaków naliczono zaledwie 22<sup>0</sup>/<sub>10</sub>, a Rosyan — 62<sup>0</sup>/<sub>10</sub>.<sup>4</sup>

„Ci z panów — kończył referent — którzy, idąc do Dumy, obiecywali bronić mądrych zasad Manifestu październikowego, nie mogą cofnąć się, nie mogą głosować za przyjęciem obecnego projektu, obrażającego podstawowe zasady tego Manifestu. Jakakolwiek wszakże będzie uchwała panów, muszą powiedzieć jedno: Wy, przyjmując ten projekt, dacie wyraz prawu siły. Tak, jesteście silni, możecie obejść się z tą częścią Królestwa Polskiego tak, jak w danej chwili tego będą od was wymagały okoliczności. Ale moc prawa, prawda, uczciwość i sprawiedliwość pozostaną przy nas.“

Posel Harusewicz zajął się położeniem Kościoła katolickiego na ziemi wyodrębnianej oraz napaściami, jakich jest przedmiotem ze strony miejscowych pism i organizacji prawosławnych. „Porównanie położenia prawosławia i katolicyzmu w Chełmszczyźnie i na Podlasiu, daje nam nadzwyczaj interesujący obraz. Okazuje się, że wydatki skarbu na jednego parafianina prawosławnego wynoszą—4 rb. 35 kop., na parafianina zaś katolickiego zaledwie 7 kop.; na jednego duchownego prawosławnego skarb wydaje 1,238 rb., na księdza katolickiego zaś wszystkiego 38 rb. Ziemi posiada duchowny prawosławny częstokroć 120 dziesięcin i więcej, gdy obszar ziemi księdza katolickiego nie przynosi nawet 3 dziesięcin. To samo okazuje się przy porównaniu stosunkowej liczby świątyń i duchowieństwa. Okazuje się, że prawosławni posiadają 3 razy więcej cerkwi i 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> raza więcej duchowieństwa. Wogóle jest tam 78 gmin, pozbawionych kościołów, bez względu na to, że liczba ludności katolickiej, nawet według tendencyjnej statystyki rządowej, jest znacznie większa od liczby prawosławnych. I nic dziwnego, panowie, przecież w samym Podlasiu 23 kościoły katolickie—nie unickie, lecz katolickie — były zabrane pod różnymi pozorami przez duchowieństwo prawosławne.“ Gdy np. gub. czernihowska, licząca 1,015 parafii, otrzymuje 349,000 rb., dyecezya chełmska, licząca 280 parafii, dostaje z funduszków państwa 456,000 rb.<sup>4</sup>

A oto cytaty z „Chołmsko cerkownoj żizni“ i „Chołmsk.-nar. listka“ z lat 1909, 1910 i częściowo 1911. „Przedewszystkiem niektóre interesujące tytuły artykułów, nie wymagające żadnych komentarzy: „Czy katolicyzm jest chrześcijaństwem lub poganiżmem?“; „Czy katolik posiada duszę?“ Odpowiedź autora: wątpię.



„Nieprawdy wiary papieskiej“ i t. d. W różnych artykułach i z różnych powodów religia katolicka i jej duchowni kierownicy są zupełnie bezkarnie łżeni, nawet wbrew prostym uczuciom moralnym. Oto jakich wyrażen używa się, gdy mowa o katolicyzmie: „poza łgarstwem nie tam niema; to wiara psia, plugawa, jedno łgarstwo i fałsz, to przesąd; w religii katolickiej wymyślono dogmaty i obrządki; oburzający faryzeizm, bezwzględna hipokryzya (głos na prawicy: prawda!), instytucye pogańskie.“ Nawet biskup chełmski, w jednym ze swych kazań, wygłoszonem przy objeździe dyecezyi i wydrukowanem w „Chołmsko-cerkown. żizni,“ nazwał religię katolicką „okrutnem pastwieniem się nad prawdą.“ (Głos na prawicy: prawda! Biskup Eulogiusz z miejsca: w tej postaci, jak ona się przedstawia dzisiaj!). Ale to nie wszystko: kościół jest nazywany synagogą szatana, w kościele piekło i wieczne potępienie i podłości polsko-katolickie.“ Nie dość na tem. W tem samem piśmie, w artykule o suggestyjnym tytule: „czy zbrodniarze państwowi mogą być prawodawcami?“ redakcyja domaga się zastosowania kary śmierci... do październikowców!“

W przeciwstawieniu do tej pobłażliwości, język polski ograniczany jest na każdym kroku, w stowarzyszeniach, w szkołach, z których ludność polska nie może korzystać, chociaż płaci na nie lwią część podatków. Czyż istnieje więc potrzeba walki, tak ciągle akcentowana? „My — mówi dalej Harusewicz — nie mamy przeciw pokojowemu współzawodnictwu kultur w tej części Królestwa Polskiego o ludności mieszanej. Lecz projekt gotuje nam nie pokojowe współzawodnictwo, ale walkę — nieprzejednaną walkę nie na życie, lecz na śmierć. Nie dla rzekomej obrony wniesiono ten projekt; cel jego jest widocznie agresywny, zaborczy, napastniczy; niewątpliwie nadchodzą okropności z r. 1875, roku, który autor francuski, Le Bon, nazwał najczarniejszem piętnem w dziejach europejskich XIX stulecia. Działacze chełmscy, przegrawszy kampanię na pozycyi czysto religijnej, przechodzą na inną, rzekomo narodową. Jak wtedy, w r. 1875, działacze miejscowi w imieniu ludności unickiej oświadczyli, że ona dąży do prawosławia, że grunt do zjednoczenia prawosławia jest przygotowany, że potrzeba tylko uroczystego a dodającego otuchy aktu zjednoczenia, tak samo i obecnie nieproszeni obrońcy, nienawidzący tę samą ludność miejscową, utrzymują i oświadcniają nawet w tych samych wyrażeniach, że to jest ludność rosyjska, że ona pragnie pozostać rosyjską, i że tylko potrzeba zachęcającego aktu wyłączenia. Analogia jest zupełna.

Tymczasem ogromna większość ludności miejscowej uważa siebie za polską i katolicką i prosi o jedno swych nieproszonych obrońców i prześladowców: aby ją pozostawiono w spokoju, aby zapomniano o jej istnieniu. Sprawa samowiedzy narodowej, to sprawa sumienia ludzkiego w takiej samej mierze, jak sprawa wiary religijnej. W tych miejscowościach unickich, narodowość jest tak ściśle spojona z religią, jak nigdzie może na świecie, i dlatego prześladowania narodowe nieuchronnie i fatalnie stają się prześladowaniami religijnymi.“

Posel Nakonieczny rozpoczął mowę swoją od dosadnego argumentu: „Duchowi twórcy projektu—mówił—zajmują się „zbiieraniem ziemi rosyjskiej,“ lecz niechże twórcy owego hasła pamiętają, że każde hasło ma dwie strony, i, zabierając się do gromadzenia swej ziemi, jednocześnie i wszystkich innych uprawniając do tego. I coby ci panowie powiedzieli wówczas, gdyby Tatarzy, Turcy, Persowie, Chińczycy, Szwedzi, Polacy zaczęli również zbierać swoją ziemię i, mając odpowiednią po temu siłę, zażądali od Rosyi rozgraniczenia i porachunków—czy zgodziliby się na to?“ A następnie zajął się osławioną wycieczką nacyonalistów do Chełma, żądaniemi i nadziejami ludu, przez nią wywołanemi. Kto sieje wiatr, burzę zbiera. Z dziwnem uczuciem musieli słuchać konserwatyści Izby takich oto żądań petycyi: „1) Odebranie gruntów duchowieństwu prawosławnemu, wydzierzawianych często obywatelom ziemskim (Strzyżów, Horodło) i rozdanie włościanom. 2) Wykup ziemi dworskiej po zmarłych bezpotomnie większych właścicielach ziemskich w celu rozparcelowania włościanom przez Bank. 3) Zakaz wydzierzawiania Żydom gruntów dworskich, które także powinny być wykupywane i parcelowane. 4) Zakaz wywozu drzewa zagranicę z lasów rządowych i sprzedaż materiału leśnego włościanom po cenach niższych. 5) Zakaz wydzierzawiania folwarków ordynacyi Zamoyskich, wykup i rozparcelowanie tych gruntów przez Bank wśród włościan. 6) Zmniejszenie ilości zarządów gminnych do połowy i zakładanie 2-klasowych szkół gminnych w celach podniesienia oświaty i kultury. 7) Nadanie nowych serwitutów.“

Z systematycznym współczesnym burzeniem włościan prawosławnych przeciw większym właścicielom Polakom nasz poseł włościański zestawia dawne zapisy panów polskich, Podhorskich, Brzostowskich, zwłaszcza Staszica, czynionych dla włościan bez różnicy wiary i narodowości. I pytał: „Niechaj się panowie ruscy wykażą czemś podobnym na ziemiach polskich, odkąd obdarowani lub na ulgowych warunkach przyszli do posiadania tu



ziemi. Był czas po temu, boć wiele z tych nabytków od lat 100 z górą mają w swym ręku.“ A zakończył skargą: „Za cóż zadajecie panowie włościaninowi polskiemu takie krzywdy... Czyż za pomocą prawa takiego można dopiąć spokoju państwa, porządku i zgodnej pracy wszystkich obywateli na dobro państwa?“

Taki jest stan sprawy w tej chwili. Zdaje się, że nic już uratować jej nie zdoła. Niemniej jednak niepodobna i nie należy uważać już teraz wyodrębnienia ziemi Chełmskiej za fakt dokonany. Dopiero wtedy, gdy przejdzie obydwie instancje prawodawcze i zostanie przez Monarchę zatwierdzona, faktem się stanie. A do tego czasu być może dużo wody upłynie. Jeżeli istotnie październikowcy wniosą szereg poprawek „liberalnych“, mogą uczynić projekt nie do przyjęcia dla nacyonalistów Izby i dla Rady Państwa. Wtedy sprawa odwlec się może, a wiadomo, że sprawy, nie załatwione przez Izbę danego powołania, w następnej muszą znowu przejść całą długą drogę regulaminową. Zwracamy na to uwagę nie w celu budzenia nieuzasadnionych nadziei, ale pro prostu w celu zachowania trzeźwego i chłodnego sądu, który doskonale godzić można i trzeba z uczuciami żalu i poczuciem czynionej nam krzywdy.

\*

\*

\*

Dziwna dola kronikarza miesięcznego... Zanim słowa nasze dojdą rąk czytelników, smutne rozważania smutne mogą zastąpić fakty: mogą uderzyć w nas gromy wyodrębnienia i wykupu kolei wiedeńskiej. Zanim dojdą, zabłyśnie przyświecająca nam od setek lat gwiazda Betleemska, minie noc uroczna, na granicy lat ustawiona, przełamią się rodzinne opłatki, rozlegną się życzenia lepszego roku.

Rozlegną się może z wiarą w powodzenie osobiste, bo bez tej wiary życie codzienne, walka powszednia byłyby niemożliwe. Ale zbraknie wiary, by rok nowy był lepszy od poprzedniego. Gdyby zestawić roczne przeglądy od lat siedmiu, z roku na rok każdy wypadłby gorzej, gorzej zwłaszcza w porównaniu z wyśrubowanemi nadziejami.

A przecież naród bez wiary w lepsze jutro tak samo żyć nie może, jak jednostka w jej doli osobistej. Więc tylko tłóma-

czyć trzeba, że lata w życiu narodów, to chwile w życiu jednostek, chwile, których łańcucha przyszłego ogarnąć nie może unysł ludzki.

Wierzmy więc nie w lepszy rok, lecz w lepsze, dalsze jutro narodu, życzymy ogółowi lepszego jutra, nie lepszego roku. Bądźmy zwłaszcza przekonani, że nie w lekkomyślnych czynach i porywach, lecz w trudnem spełnianiu zadań powszednich tkwi nasz obowiązek, i że z wykonywania tych trudnych obowiązków splata się przyszłość narodu. W tem znaczeniu jesteśmy jej twórcami i budownikami.

Do innych czasów nie trzeba stosować dawnych metod. Szara, żmudna praca więcej dziś warta od jaskrawych, dekoracyjnych wystąpień, mamiących złudą czynów, którymi nie są. Wzniesmy serca, miłości dla Ojczyzny pełne, a wzniesienie to stwierdzajmy w życiu prywatnem i publicznem szeregiem zbiorowych drobnych usiłowań, cegiełek lepszego bytu, którego gmach wiekami wznosić trzeba.

\*

\*

\*

W ubiegłym miesiącu nastąpiło otwarcie własnego gmachu Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. O darze, który istnienie tego własnego gmachu umożliwił, pisaliśmy już w swoim czasie na tem miejscu. O przebiegu uroczystości mieli czytelnicy informacye we wszystkich pismach codziennych. Mniej uwagi zwrócono może na suche naturalnie w formie, choć bogate w treści sprawozdanie z czteroletniej przeszło działalności, złożone na tem pierwszym posiedzeniu publicznem. Owemu sprawozdaniu pragniemy kilka uwag poświęcić.

Plon pracy w różnych dziedzinach wiedzy nierówny. Owoc badań prawie wszystkich wybitniejszych uczonych tutejszych; mówimy: prawie, bo brak kilku może najwybitniejszych. We względy — dlaczego tak się stało — wchodzić trudno. Bardzo wiele drobnych przyczynków, zwłaszcza na wydziale przyrodniczym, przez co właśnie osiągnane są wyższe cyfry prac, niż na wydziałach innych.

Wydział pierwszy, językoznawstwa i literatury, ogłosił w sprawozdaniach dwadzieścia siedem prac Chrzanowskiego, Chlebow-



skiego, Korbuta, Kridla oraz inne. Wydział drugi, nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofii — trzydzieści jeden: Lotha, Majewskiego, Stołyhwy, Daszyńskiej-Golińskiej, Konopczyńskiego, Glogera, Grabskiego. Wydział trzeci, nauk przyrodniczych i matematycznych — sto dziewięćdziesiąt cztery, a wśród referentów nie brak przyrodników i matematyków zarówno starszego, jak i młodszego pokolenia. Na uwagę zasługują jeszcze prace komisji: językowej, która podjęła opracowanie monograficzne języka wybitniejszych pisarzy XIX stulecia; historii literatury, zajmującej się inwentaryzacją zabytków rękopiśmiennych literatury polskiej, przechowywanych w zbiorach warszawskich; historycznej, przystępującej do opracowania kodeksu dyplomatycznego Mazowieckiego, powierzonego J. K. Kochanowskiemu, oraz ogłaszania dyaryuszów sejnowych XVIII stulecia, wreszcie zbierania materyałów do historii wsi polskiej. W dziale przyrodniczym wymieńmy założenie Instytutu biologicznego im. Marcelego Nenckiego, który niebawem już istnieć będzie, oraz pracowni neurobiologicznej oraz antropologicznej. Dziś, gdy Towarzystwo rozporządza już własnym gmachem i większymi funduszami, owocna dotąd działalność stanie się z pewnością żywszą i intensywniejszą. Że wzbudziło wśród społeczeństwa duże zainteresowanie, o tem świadczy liczny poczet darów i zapisów, wymienionych na końcu sprawozdania.

---

# WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Wacław Karczewski

(MARYAN JASIEŃCZYK).

Przed ćwierć wiekiem blisko, w r. 1887, na konkursie dramatycznym im. Bogusławskiego, ogłoszonym przez redakcyę „Gazety Polskiej“, drugą nagrodę otrzymał dramat p. t. „Lena.“ Po otwarciu koperty autorem okazał się Wacław Karczewski. Nazwisko wczoraj nikomu prawie nieznanе jeszcze, dziś głośne, jutro tem głośniejsze, że utwór okazał się bardzo wybitnym, że szczęśliwie wytrzymał ogniową próbę sceny, dzięki coprawda nietylko swoim zaletom niepospolitym, ale i świetnej grze Wisnowskiej w roli tytułowej.

A przecież autor od dwóch lat blisko pracował na niwie literackiej, był członkiem redakcyi „Kuryera Warszawskiego“, gdzie pod pseudonimem Maryana Jasińczyka zamieścił już kilka nowel, a sprawozdania literackie pisywał w „Gazecie Polskiej“ i w naszej „Bibliotece.“ I był wówczas człowiekiem, chociaż młodym jeszcze, ale dojrzałym. Urodził się bowiem w r. 1855 w zamożnym domu ziemiańskim z ojca Feliksa i Justyny z bar. Heydlów, a wychowywał się w Wielgiem, pod kierunkiem pedagogicznym znakomitego pisarza, Adolfa Dygasińskiego, który na wychowanka wywarł wpływ niezatarty. Szkoły kończył w Krakowie, poczem czas jakiś gospodarował u siebie na wsi, ale bez powodzenia i wykołejony niejako ze zwykłej drogi życia, wziął się do pracy literackiej, tłómaczył Huxleya „Fizyologię“, pracował w „Gazecie Radomskiej“, poczem przeniósł się do Warszawy.

„Lena“ dała mu sławę, tak rozgłośną, jaką i u nas i gdzieindziej może dać tylko światło kinkietów i gwar kulis. Ugrun-



towała uznanie powieść „W Wielgiem,“ napisana w dziesięć lat później, a oparta na obserwacji bezpośredniej, na drogich, świetlanych wspomnieniach dzieciństwa sielskiego i anielskiego. Mniej już tych zalet posiadała na schyłku życia pisana a dwa lata temu drukowana w „Gazecie Warszawskiej“ powieść p. t. „Mieszek,“ której oryginalność polegała na tem, że była pisana prozą rytmiczną i była skutkiem tego dość ciężka do czytania.

W r. 1894 opuścił Karczewski kraj rodzinny, aby już do niego nie wrócić. Początkowo był korespondentem z Genewy do pism polskich, a w r. 1900 powołano go na stanowisko bibliotekarza Muzeum w Rapperswylu. Zamiłowany i zapalony bibliofil, z całym oddaniem się poświęcał czas swój bibliotece i był bibliotekarzem bardzo dobrym. Jak poprzednicy jego i on był w wiecznym zatargu z kusztoszem, z powodów, których tu omawiać nie będziemy, o sprawach rapperswylskich pisaliśmy już bowiem dwukrotnie. Niewyjaśniona dotychczas sprawa sprzedaży dubletów, która wypłynęła na tegorocznem posiedzeniu Rady muzealnej, przyczyniła mu niemało zgrzyoty i podkopała i tak już nadwątlone zdrowie. Przywieziony *in extremis* do Krakowa, zaraz po przyjeździe, na ziemi ojczystej, życia dokonał.

Pozostaje po nim świetny wybuch talentu „Lena“ i bardzo dobra powieść „W Wielgiem.“ Te trwać będą i zapewnią mu miejsce w literaturze polskiej.

## ś. p. Grzegorz Smólski.

Z polskiem życiem dziennikarskiem w Wiedniu ściśle zespolona była postać zmarłego. Trudno jest poprostu wyobrazić sobie te koła bez Grzegorza Smólskiego, który był pierwszym polskim dziennikarzem zawodowym, stale w Wiedniu osiadłym i to od dawna, od lat blisko czterdziestu, bo od r. 1873.

Ciekawe były losy zmarłego. Urodził się w r. 1848, szkoły skończył w r. 1868. Pochodził z rodziny szlacheckiej, zamożnej, rodzice zostawili mu znaczny majątek. Młody chłopak—jak tylu innych—strwonił majątek, ale—wbrew wielu innym—nie został pieczeniarem swoich dawnych towarzyszy zabaw, ani stosunków swoich nie użył do zyskania łatwej synekury, lecz jął się pracy, jak tylu wykolejeńców—pracy dziennikarskiej. Tu posłużyły mu dawne pokrewieństwa i stosunki arystokratyczne. A praca nowa,

zawód nowy nietylko zyskał mu szacunek i uznanie, ale—co dziwniejsza—ten dawny próżniak i utracysz stał się równie oszczędnym, jak pracowitym, i w trudnej pod względem materyalnym karyerze zdołał zaoszczędzić sobie na starość wcale okrągły fundusz.

Tajemnicą moralnego i materyalnego powodzenia Smólskiego była jego niepospolita, niez mordowana pracowitość, która pozwalała mu pracować równocześnie w kilkunastu, czasem w kilkudziesięciu pismach; dlatego mógł pracować tanio, mógł zadawałać się małym, co czyniło go współpracownikiem bardzo pożądanym, tembardziej, że na ścisłość, sumiennność i szybkość jego informacji można było zawsze napewno rachować. Mimo taką pracę znajdował zawsze czas i na rozprawy poważne z dziedziny etnografii i historii, z których parę drukowała także nasza „Biblioteka.“

Mieszkając stale w Wiedniu, jako korespondent polityczny wielu pism, był w ciągłych i stałych stosunkach z posłami. Niejedną więc w oczach jego wyrastała karyera, że wymienimy tylko Dunajewskiego, Jaworskiego, Abrahamowicza, Zaleskiego, Dzeduszyckiego. Dzisiejsza ekscelencya pamiętała Smólskiemu przysługi oddawane wczorajszemu skromnemu posłowi. Stąd brały źródło jego istotne, rozległe i wysokie stosunki.

Prócz tego, bywał często korespondentem wyjazdowym; lubił podróże, był ciekawy życia, a miał te ułatwienia kolejowe, z których mogą korzystać dziennikarze z tamtej strony granicy. To też nie było uroczystości, zjazdu polskiego, kongresu słowiańskiego, na którymby Smólskiego zbrakło. Rozszerzał tym sposobem swoje stosunki, stawał się coraz bardziej znaną i popularną osobistością. I tak np. piszący te słowa poznał Smólskiego przed dwudziestu laty na obchodzie setnej rocznicy Konstytucyi 3-go Maja w Zurychu, gdzie reprezentował pięć pism odrazu. A najniepospolitszym w jego życiu, a może i w dziejach dziennikarstwa polskiego wysiłkiem był proces J. I. Kraszewskiego przed sądem Rzeszy w Lipsku; o przebiegu jego informował równocześnie siedemnaście pism!

Ktokolwiek ze znużoną pracą dziennikarsko-informacyjną się stykał, kto zna jej trudności, potrzebę taktu i ścisłości, ten z uszanowaniem uchylił głowy przed wytężonego znoju pełnym życiem Grzegorza Smólskiego. Pochylił tem głębiej, że na śliskiej drodze tej pracy zawsze umiał utrzymać równowagę, że przeszedł przez życie czysty i uczciwy. Pod wielu względami nestor zmarły dziennikarstwa młodszym kolegom swoim za wzór pracy i uczciwości służyć może.



## ś. p. Stanisław Markiewicz.

Zmarły w ubiegłym miesiącu w Warszawie d-r Stanisław Markiewicz urodził się w r. 1839 w Rawie. Po ukończeniu gimnazjum i wydziału lekarskiego w Warszawie, studyował przez lat kilka na uniwersytetach zagranicznych, a po powrocie do kraju praktykował najpierw w Tomaszowie Rawskim, następnie zaś przez lat kilkanaście w Soczewce. W r. 1871 osiadł w Warszawie i od razu zasłynął tu, jako lekarz-hygienista. Wielką jego zasługą było popularyzowanie energiczne sprawy kanalizacji Warszawy; od chwili założenia komitetu kanalizacyjnego był stałym jego członkiem. Był także prezesem Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego i naczelnym lekarzem dr. ż. W.-W.

Ale najtrwalszem jego dziełem, jakie po sobie zostawia i z jakim nazwisko jego nazawsze będzie związane, jest stworzone przy tak znacznem współudziale jego, że rzec można—przez niego, Towarzystwo Kolonii Letnich. Dziś, kiedy od lat już istnieje, kiedy stało się jedną z najpopularniejszych instytucji Warszawy i tysiące dzieci biednych corocznie między pola i lasy wysyła, trudno sobie wyobrazić, że kiedyś nie było go, tak niezbędnem wydaje się ogniwnem w dziedzinie dobroczynności publicznej. A jednak ta prosta myśl musiała się w głowie zasłużonego działacza urodzić, musiał dla jej wykonania wszystkie siły wyteńczyć, zwykły opór przeciw nowym rzeczom i usiłowaniom przezwyciężyć. Zaczęłą pracę nagroda spotkała. Własnymi oczyma oglądał rozkwit ukochanej instytucji. Widział, jak corocznie zwiększały się tysiączne zastępy anemicznych, wynędzniałych dzieci, które zyskiwały trochę zdrowia i sił na dalszą drogę życia. I zamknął oczy w przeświadczeniu, że nie jest już niezbędnym, że stworzona przezeń instytucja własną siłą, własnym rozpędem dalej iść i opiekuńczemi ramionami coraz szersze kręgi dzieci biednych ogarniać będzie. I pamięć o nim żyć będzie wiecznie. Ile razy po kilkotygodniowych wczasach na słońcu, wśród zieleni, na poddasze czy do suteryny wróci dziecko rumiane i wesołe, wzruszona matka świadomie czy nieświadomie błogosławić będzie pamięć doktora Stanisława Markiewicza.

## ś. p. Jan Kowalczyk.

Nauki ścisłe polskie poniosły wielką stratę w tej właśnie dziedzinie, która najmniej jest uprawiana, w dziedzinie astronomii. W Warszawie zmarł Jan Kowalczyk, astronom, który całe życie poświęcił ukochanej nauce i odznaczył się w niej znakomitemi pracami.

Ś. p. Jan Kowalczyk urodził się w r. 1833 w Rzeszotarach w Galicyi. Ukończył w Krakowie szkoły średnie i wydział matematyczny uniwersytetu, uzyskując stopień doktora filozofii. Od r. 1862 przez trzy lata był adjunktem obserwatorium i prywatdocentem w Krakowie; w r. 1865 ówczesny dyrektor obserwatorium warszawskiego sprowadził Kowalczyka do Warszawy, gdzie przez 42 lata bez przerwy pracował. Na tem stanowisku przetrwał zmarły wiele różnych zmian w ciągu blisko półwiecza. Obojętny im o tyle, o ile w daleki, piękny świat gwiazd zapatrzony. Z licznych prac jego wymieniamy dwie, największe i najwyżej przez specjalistów cenione: „O sposobach wyznaczania biegu ciał niebieskich,“ dzieło, uwieńczone w r. 1883 nagrodą z fundacyi im. Kopernika i wydane przez krakowską Akademię Umiejętności, oraz „O sposobach obliczania przeszkód biegu ciał niebieskich.“

Mało znany szerszemu ogółowi u nas, ś. p. Kowalczyk zdobył sobie powszechne uznanie zagranicą w świecie specjalistów swemi dostrzeżeniami i rachunkami. Obliczył on bieg słońca za czas od r. 1800 do r. 1830, obliczył orbity kilku komet, planetów Hesperia i Thisbe (odnośne rachunki zwróciły na siebie uwagę Akademii nauk w Waszyngtonie), czynił liczne obserwacje asteroid, komet i innych zjawisk, a w rękach ś. p. Kowalczyka małe narzędzie, którem rozporządzał, dawało dokładne wyniki. Głównem jego dziełem jest „Katalog 6,041 gwiazd między drugim a siódmym stopniem zboczenia południowego,“ czyli spis gwiazd, znajdujących się na niebie w pomienionym pasie. Spis ten opiera się na 23 tysiącach pojedynczych spostrzeżeń, dokonanych w ciągu 20 lat; rachunki, odnoszące się do nich, zajęły ś. p. Kowalczykowi przeszło 25 lat. Ś. p. Kowalczyk napisał również „Mikołaj Kopernik i jego układ świata“ (Warszawa, 1872 r.); jest to popularne streszczenie epokowego dzieła Kopernika; dalej — „Krótki rys dziejów obserwatorium warszawskiego od r. 1820



do r. 1900" i wiele artykułów specjalnych i popularnych w pismach warszawskich.

Ś. p. Kowalczyk brał żywy udział w zakładaniu Towarzystwa Naukowego w Warszawie i był jego członkiem rzeczywistym, Akademia zaś Umiejętności wybrała go w poczet członków korespondentów. Z ustąpieniem ś. p. Kowalczyka z obserwatorium, żywioł miejscowy przestał być w niem reprezentowany, a o pracach naukowych nie słyhać.

Cicho, bez rozgłosu przeszedł ten żywot pracowity i pożyteczny, jak daleką od przyziemnego życia śmiertelników jest nauka, której był poświęcony. Z tem większą czcią podnieść trzeba położone zasługi, które zmarłemu uczonemu zapewnią wybitne miejsce w szczupłym panteonie nauki polskiej.

L. W.

# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

---

## Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Posiedzenie Komisji do badania historii sztuki w Polsce odbyło się d. 31 października 1911 r. pod przewodnictwem d-ra Stanisława Tomkowicza. D-r Feliks Kopera odczytał dalszy ciąg streszczenia swej wspólnie z p. Cerchą dokonanej pracy o działalności artystycznej Cinięgo w Polsce. Pierwsza epoka działalności tego artysty w Krakowie przypada na lata 1518—1529 — czas jego prac na dworze królewskim. Za najwcześniejsze rzeźby tego artysty na Wawelu uważają autorowie część kapiteli krużganku i niektóre fragmenty rzeźb, znalezione przy poszukiwaniach w podwrocu. Opierając się na analizie artystycznej stwierdzić należy, że pomysłem, a częściowo nawet dziełem ręki Cinięgo jest dekoracya kaplicy Zygmuntońskiej. Jego również dziełem są niektóre odlewy z brązu—jak putto na kopule i Madonna nad figurą Zygmunta I w tejże kaplicy. Od roku 1522 wykonywał Cini w kamieniu i brązie, a może i w rysunku—studya do portretu króla. Jemu przypisują autorowie medale Zygmunta I-go w Bazylei i jego odmiany, medal Krzysztofa Szydłowieckiego (w Petersburgu), medal na urodziny Zygmunta Augusta (muzeum Czapskich). Dalej jegoż dziełem są zapewne odlane w brązie aniołki nad stalami w Zygmuntońskiej kaplicy, ganek oratorium Kaufmana w kośc. N. P. Maryi, płyta grobowcowa biskupa Jana Konarskiego z r. 1521 i baldachim nad grobowcem Władysława Jagiełły z r. 1524 w katedrze krak.

Druga epoka działalności artystycznej Cinięgo przypada na czas od powrotu artysty z Włoch do śmierci, czyli okr. 1531—1562. Jest to epoka pracy na własną rękę. Do tej epoki zaliczają autorowie fragmenta dekoracyi pałacu Decyusza na Woli, sarkofag Zygmunta I w krypcie na Wawelu, grobowiec Wojciecha Gasztołda w Wilnie, Mikołaja Szydłowieckiego w Szydłowcu, Krzyckiego w Gnieźnie, obramienie tablicy nagrobnej we fasadzie kośc. św. Barbary w Krakowie, grobowiec Krzysztofa Szydłowieckiego w Opatowie, biskupa



(Oleśnickiego?) w Poznaniu, Jerzego Niemsty w Krzęcicach, Stanisława La-sockiego i jego żony Zofii w Brzezinach, Andrzeja de Valentinis w katedrze krakowskiej, Kotwicza w kościele Bożego Ciała, fragmenty grobowca biskupa Pawła Holszańskiego w katedrze wileńskiej, wspólny grobowiec Jana Amora, Jana i Krzysztofa Tarnowskich w katedrze Tarnowskiej. Wszystkie te prace autorowie uważają za owoc blisko pół wieku trwającej działalności artystycznej Ciniego w Polsce.

W sprawie tej zabierali głos pp. Tomkowicz, Odrzywolski, Stryjeński i Hendel. Na zarzuty, że najbardziej wszystkim znana dekoracja rzeźbiarska kaplicy Zygmuntońskiej niema charakteru jednolitego, prelegent podniósł, że nie przypisuje tej dekoracji całkowicie dłutu Ciniego. Pod jego kierownictwem rzeźby zapewne wykonane zostały przez różnych rzeźbiarzy, jak to zresztą potwierdzają rachunki budowy. Jednym z ostatnich takich pomocników był Padovano. Nie mniej jednak charakter dekoracji sienneński wskazywałby na autorstwo Ciniego.

Następnie d-r Stanisław Tomkowicz przedłożył fotografie dwóch znalezionych przez siebie cennych pamiątek, z Polską związanych. w skarbcu kaplicy zamkowej w Wiedniu. Pierwsza, gotycki relikwiarz srebrny w kształcie krzyża patryarchalnego, wysokości 652 mm częściowo pozłacany i emaliowany, zaznaczony pod № 216 katalogu, jako dar Ludwika II, króla polskiego i węgierskiego. Na podstawie wśród rytej ornamentacji w stylu rozkwitłego gotyku znajdują się 4 medaliony, z których 2 mają herby polskie (orzeł srebrny na tle żółtej emalii) i 2 węgiersko-andegaweńskie. Trzon w kształcie zwykłej gotyckiej wieżyczki; krzyż dwuramienny z relikwiami ma na 6 końcach 5 herbów węgierskich, na dolnym zaś zakończeniu orła polskiego biało-emaliowanego na tle szmaragdowo-zielonym. Po odwrotnej tylnej stronie krzyża zapewne później dodana jest na środku płyta srebrna ornamentowana zwojami emaliowymi prawie renesansowymi, na której umocowano w środku 2 tarcze herbowe: węgierską i węg.-andegaweńską; na końcach zaś krzyża na wolno sterczących medalionach są emaliowe znaki 4 ewangelistów, napis i orzeł austriacki. Medaliony te po stronie przedniej przyozdobione kamieniami. Prelegent przypuszcza, że z czasów Ludwika II pochodzi jedynie stopa i noga relikwiarza oraz frontowa strona samego krzyża, reszta jest dodatkiem późniejszym, częściowo z końca XVI w.

Drugim zabytkiem jest szczerzo złoty relikwiarz, mający wysokość i podstawę kielicha mszalnego, cały pokryty rzucikiem różnokolorowej delikatnej emalii żłobionej (*à champ levé*): przejrzystej. Na rzucik ten, wielkiego bogactwa i efektu barw składają się kwiatki, motyle, libelle, ptaki, ślimaki, a kolory: szafirowy, szmaragdowy, rubinowy. Pod emalią prześwieca rysunek ryty w złocie. Prócz tego zdobią nogę relikwiarza szeregi perełek z emalii białej, tudzież ornamenty i figurki w pełnej rzeźbie. Robota jest miniaturowa, niemal mikroskopijna, a bardzo subtelna i piękna. Na nodusie Herb Radziwiłłowski (złożony z Trąb, Odrowąża, Tarnawy i Dąbrowy na piersiach orła polskiego), po drugiej stronie herb kapituły krakowskiej. Stopę obiega napis czarny na szafirowym emaliowym tle w dwóch liniach: *Geovs Cardinalis Radziwil eps Cracoviensis et eiusdem ecclesie caplm — Sermae-Mariae ar-*

chidveissae Avstriae de brachio S. Stanislai epi et martyris DDMDXCVII. Ta Marya była matką dwóch z kolei żon Zygmunta III.

W toku dyskusyi, w której udział brali pp. Kopera, Lepszy i Mycielski, wyrażono zapatrywanie, że krzyż zapewne złożony jest z dwóch części zupełnie różnych.

Na ostatku d-r Stefan Komornicki zdał sprawę z przebiegu tegorocznej wycieczki, podjętej przez przewodniczącego i referenta do Zamościa i jego okolic, celem kontynuowania zaczętego dawniej inwentaryzowania zabytków ordynacyi Zamoyskiej. Wycieczka objęła następujące miejscowości: Krasnystaw, Turobin, Żółkiewkę, Chłaniów, Gorzków, Tarnogórę w pow. krasnostawskim; Urzędów i Janów w janowskim. W rezultacie zrobiono pewną ilość opisów i zdjęć fotograficznych, a stwierdzono zabytki architektury, których pomiarzenie jest dla monografii potrzebnem. Pomiarami zajął się następnie p. arch. Fr. Mączyński.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. W dniu 22 listopada r. z. odbyło się posiedzenie Komisji do badań astronomicznych, geofizycznych i meteorologicznych przy Wydziale III Towarzystwa, poświęcone sprawom spostrzeżeń astronomicznych w Królestwie Polskiem. Rozpatrzone sprawozdanie p. W. Szaniawskiego o stanie obecnym i pierwszych pracach fotograficznych, dokonanych w Obserwatorium astronomicznem, świeżo zbudowanem w majątku Przegaliny, gub. siedleckiej. Obserwatorium to posiada największy obecnie na ziemiach polskich refraktor i przewyższa pod tym względem obserwatoria astronomiczne w Krakowie i w Warszawie. Poza tem pp. Dickstein i Krassowski referowali o stanie obecnym i potrzebach Obserwatorium im. Jędrzejewicza, które w najbliższym czasie ma być przeniesione do nowej siedziby w Grudowie (pod Milanówkiem) i na nowo zorganizowane.

W dniu 23 listopada r. z. odbyło się posiedzenie Wydziału III, na którym przedstawiono następujące komunikaty: p. St. Miklaszewski: „Ślady lodowca na św. Krzyżu“;— p. Z. Wóycicki: „W kwestyi wzrostu opon pyłkowych u ślazu leśnego (*Malva silvestris* L.)“;— p. J. Tur: „O normalnej asymetrii pola naczyniowego zarodków ptasich“;— p. Wł. Gorczyński: „O opadach w Królestwie Polskiem.“ Część I;— p. W. Sierpiński: „Przyczynek do zbieżności szeregów potęgowych“;— p. E. Malinowski (przedstawił p. Z. Wóycicki): „Mozaika porostów naskalnych“;— p. L. Lichteinstein (przedstawił p. S. Dickstein): „Uwaga o równaniach różniczkowych cząstkowych nie liniowych rzędu drugiego typu eliptycznego. Cięgi zbieżne rozwiązać.“

Dnia 1 grudnia r. z. odbyło się posiedzenie Wydziału II pod przewodnictwem p. J. K. Kochanowskiego. Na posiedzeniu tem p. Adolf Suligowski wygłosił odczyt p. t. „Rysy zasadnicze twórczości naukowej prawników polskich w latach 1801 — 1910.“ W dyskusyi zabierali głos pp. W. Miklaszewski, J. Kucharzewski, Fr. Pułaski, przewodniczący i prelegent. Po przedstawionym urzędownie na temże zebraniu przez p. K. Stołyhwę odczytanie p. St. Lencewicza p. t. „Charakterystyka antropologiczna ludności Smardzewic“, przemawiali pp. E. Majewski, K. Stołyhwo, J. T. Baranowski, J. Tur i J. K. Kochanowski.



Na odbytem w dniu 18 grudnia r. z. posiedzeniu Wydziału I p. M. Rowiński przedstawił referat p. Kazimierza Wójcickiego, streszczający wyniki jego pracy nad formą dźwiękową poezji polskiej. Praca ta, oparta na podobnych badaniach współczesnych nad właściwościami poezji francuskiej, niemieckiej i innych, mieści też własne spostrzeżenia i dociekania autora nad właściwościami poezji polskiej, zwłaszcza bogatych tak w nowe znamiona dźwiękowe dzieł literatury wieku XIX.

— TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK W WILNIE. Wileńskie Tow. przyjaciół nauk — jak o tem świadczy sprawozdanie za rok 1910 — liczyło w początkach r. z. 357 członków, a w tej liczbie 14 honorowych, 7 protektorów, 12 dożywotnich, t. j. takich, którzy złożyli jednorazowo rb. 100 albo dar cenny i 312 zwyczajnych, opłacających 5 rb. rocznej składki.

Zarząd Towarzystwa składali: prezes ks. Jan Kurczewski, wiceprezes d-r Władysław Zahorski, skarbnik Józef Montwiłł (zastępował go p. Zenon Giecewicz), sekretarz Stanisław Kościalkowski, bibliotekarz d-r Ludwik Czarkowski, członkowie Hilary Łęski i Ludwik Abramowicz.

Biblioteka Towarzystwa składa się z 8,255 dzieł w 12,782 tomach; najwięcej dzieł jest w języku polskim—5,464, w rosyjskim—1,192, w łacińskim—753. Z wieku XV jest 5 dzieł, z XVI—63, z XVII—254, z XVIII—742. Nadto pozostało do skatalogowania 13,647 dzieł w 21,154 tomach. Już teraz zatem księżnica młodego Towarzystwa może być nazwana okazałą. W r. z. z daru osób prywatnych przybyło 2,396 dzieł w 3,815 tomach.

Dział rękopisów wzbogacił się 82 plikami lub tomanu z daru 19 osób. Pomiędzy innymi p. Irena Karłowiczowa ofiarowała korespondencję naukową swego męża, a p. Kostrowicka zbiór dokumentów, dotyczących Poniewieża i innych dóbr. Nadto Ignacy hr. Ledóchowski złożył w depozyt Towarzystwu 39 własnoręcznych listów Tadeusza Kościuszki do Józefa Sierakowskiego, listy królów Jana III i Stanisława Augusta, listy różnych monarchów do Zygmunta III i Władysława IV, listy kardynała Jerzego Radziwiłła, oraz nadania i przywileje królewskie.

Muzeum Towarzystwa tworzą następujące działy: archeologii przedhistorycznej (kustosz p. Wandalin Szukiewicz), numizmatyki, sfragistyki, kultu religijnego i ludoznawstwa (d-r Władysław Zahorski), przyrodoznawstwa (p. Zygmunt Hryniewicz), sztuk pięknych (p. Stanisław Jarocki), oraz nieuporządkowany jeszcze dział historyczno-obyczajowy. Nad całością czuwa wiceprezes, d-r W. Zahorski. W r. z. odbywała się w dalszym ciągu inwentaryzacja zbiorów. Mianowicie zaciągnięto do katalogów lub wydzielono do dubletów 1,300 monet, 271 medali, 31 pieczęci, 320 wykopalisk przedhistorycznych, 260 okazów etnograficznych, 35 obrazów i rysunków, oraz 372 minerały.

W ciągu roku Towarzystwo otrzymało w darze od 144 osób 4,990 przedmiotów. Pomiędzy innymi p. Michał Baliński ofiarował jedwabną makatę turecką, rząd na konia i pistolety tureckie, zegar bronzowy z XVII wieku i numizmaty, ks. Antoni Czerniawski—karabelę i zegarek staroświecki, p. Aleksander Chomiński—wybite aksamitem i ozdobione pozłocistym smokiem i gry-

fem sanie z r. 1733, p. Władysław Fiorentini—skrzynię żelazną z XVII wieku, p. Julia Korwin Kurkowska — kufer z XVII w. i porcelaną korecką, p. Irena Karłowiczowa — 18 dyplomów ś. p. Jana Karłowicza, kolekcję motyli, oraz rysunki, fotografie i akwarele, ś. p. Jan Szwański — rzeźbę marmurową z b. zamku dolnego w Wilnie, bogaty zbiór zbroi, karabel, medali, orderów, monet, krzyżów, przywilejów, autografów i t. d. Nadto ś. p. Eliza Orzeszkowa zapisała Towarzystwu cenne zbiory swoje.

Dochodów posiadało Towarzystwo w roku sprawozdawczym 1825 rb., a wydatków poniosło 1,499 rb. Bilans wykazuje w stanie czynnym i biernym 2,749 rb.

Jedną z najpoważniejszych trosk Towarzystwa stanowiła budowa nowej siedziby, bo dom przy Nowej Alei, ofiarowany przez Józefa hr. Przeździeckiego, nie może już pomieścić rosnących stale zbiorów. Niepodobna ich tam ani uporządkować, ani ustawić, jak należy. Hojna ofiara p. Hilarego Łęskiego (20,200 rb.) i kredyt, wyjednany w prywatnym banku handlowym w Wilnie (15,000 rb.), umożliwiły rozpoczęcie budowy. Za 11,300 rb. zakupiono plac przy zbiegu ulic Mostowej i Gazowej i na nim w r. z., kosztem 26,000 rb., wzniesiono pod dach mury. Na ukończenie gmachu potrzeba jeszcze około 25,000 rb. i spodziewać się należy, że sumę powyższą społeczeństwo nasze pokryć nie omieszka.

— SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO. Od redakcyi „Słownika języka polskiego“ otrzymujemy następującą odezwę:

Los wydawnictwa naszego jest zagrożony.

Dla redakcyi i innych osób, obeznanych ze sprawą, było to rzeczą oddawna przewidywaną, bo na faktach opartą. Skutkiem popełnionego przez pierwszych gospodarzy „Słownika“ błędu w obliczeniach, który przypisać należy ich wierze w dobrą wolę społeczeństwa, nabywcy pierwszej seryi tego dzieła (zeszyt 1 — 24) zwracali zaledwie 40 proc. kosztu nakładu. Od zeszytu 25-go podniesiono cenę w przedpłacie i sprzedaży cząstkowej, nie w takim jednak stopniu, by przy obecnej liczbie odbiorców można było dojść do równowagi finansowej (o zyskach nigdy nie było mowy), zwłaszcza, że z biegiem czasu wzrosły znacznie koszta wydania (druku, papieru i t. d.). Uczyniono tak dlatego, żeby nie zrażać nabywców pozornie nadmierną podwyżką ceny. Dawały się przecież słyseć prawie na seryo wygłaszane zdania, że skoro pierwotnie zapowiedziano wydanie całości w 24 zeszytach, to teraz, bez względu na rzeczywistą ich liczbę, jaka się w toku roboty okazała potrzebną, należałoby je wszystkie oddawać za określoną dawniej kwotę (10 rb. za 240 arkuszy druku w formacie wielkiej ósemki!).

Stały niedobór wydawnictwa pokrywały zapomogi od Kasy Mianowskiego i od osób prywatnych. Te ostatnie źródła—jak było z góry wiadomo tylko czasowe—już wyschły, a Kasa Mianowskiego wszystkich zastąpić nie może.

Martwa matematyka zrobiła już wszystko co do niej należy; idźcie teraz o to, by jej żywa wola ludzka dostarczyła nowego materiału.



Środki, dawniej już wskazywane, były i są dwa tylko:

- 1) powiększenie zastępu nabywców „Słownika,”
- 2) wzrost ofiarności publicznej.

Na wydanie Słownika Lindego składały się, oprócz prenumeraty, zasiłki od magnatów z ducha i położenia społecznego, od instytucji publicznych, nawet od głów ukoronowanych. Obecna redakcja „Słownika” kolacze od dłuższego już czasu do różnych osób, ale, niestety, bez skutku; na listy swoje lub prośby ustne najczęściej nie otrzymuje żadnej odpowiedzi. Odwołuje się teraz do poczucia obywatelskiego tych, którzy cokolwiek uczynić mogą. Bodajby skromne nadzieje nie zawiodły!

Doprowadziliśmy „Słownik” już prawie do końca litery R, trzymając się ciągle jednolitego planu i sposobu opracowania; tem większa byłaby szkoda przerywać wydawnictwo stosunkowo blizkie kresu, przez poważną krytykę i nabywców uznane za odpowiadające swemu założeniu i w naszych warunkach narodowych za doniosłe.

Słownik taki ma znaczenie nietylko literackie: owszem, jest on czynnikiem przedewszystkiem społeczno-narodowym; jest zwierciadłem mowy, a ta znów niejako duszą narodu. Narodowość dopóty istnieje, dopóki żyje język. To też w chwilach upadku słownik może narodowi wyświadczać dzielną przysługę. Przypomnijmy sobie tutaj, jak zelektryzowało w początkach w. XIX Czechów ukazanie się Słownika Jungmana. Chwila obecna jest jeszcze dla polszczyzny chwilą istnego potopu, sprowadzonego przez nieudolność piszących i przez wpływ języków obcych. Wywłaszczała nas z różnych rzeczy i różnymi sposobami; wywłaszczenie zaś z mowy ojczystej jest stratą tem boleśniejszą, że przyczyniamy się do niej najskuteczniej my sami, jako wrogowie wewnątrzni.

A więc uznajmy nasz „Słownik” za rzecz dla narodu niezbędną!  
Redakcja „Słownika języka polskiego.”

*Władysław Niedźwiedzki.*

*Kazimierz Król.*

#### CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Grudzień, 1911. Treść: Krytyka: Abramowski Edward: Badania doświadczalne nad pamięcią;—Batiffol Piotr: Badania z zakresu historii i teologii pozytywnej;—Bąkowski Klemens: Dzieje Krakowa;—Belmont Leo: Sprawa przy drzwiach zamkniętych;—Biedzycki Stefan, inż.: Nadzór na młocką;—Bolesławski Feliks: W obronie prawdy;—La Bruyère: Charaktery czyli obyczaje tego wieku;—Cieniom Juliusza Słowackiego, rycerze napowietrznej walki, która się o narodowość naszą toczy;—Dla młodzieży;—Fichte J. B.: Powołanie człowieka;—Galant Wojciech, ks. d-r prof. teol. w Przemyśle: Skarbiec Świętych Pańskich;—Jaroszyński Tadeusz, d-r: O istocie stanów neurastycznych;—Jaroszyński T.: Dobra krew;—Tenże: Narodziny dziedzica;—Kołodziejczyk Edmund: Bibliografia słowianoznawstwa polskiego;—Konczyński Józef:

Stan moralny społeczeństwa polskiego na podstawie danych statystyki kryminalnej; — Konopnicka Marya: O Beniowskim; — Kruszyński Józef, ks. M. T.: *Historya Święta Starego Testamentu*; — Kutrzeba Stanisław: *Historya ustroju Polski w zarysie*; Lewing G., d-r: *Jak uchronić się od powtórnego zapadnięcia na gruźlicę płuc?*; — Lindenbergo-wa R.: *Sądy dla małoletnich*; — Lubański Feliks: *Opis dóbr Hołozubińce*; — Lucht Wł.: *Zbiór zadań algebraicznych dla wyższych klas gimnazjalnych*; — Lutosławski Wł.: *Początki filozofii greckiej od Thalesa do Demokryta i Sokratesa*; — Moszczeńska Iza: *Postęp na rozdrozu*; — Okulicz St.: *Zbiór zadań algebraicznych w układzie metodycznym*; — Ostrowski Stanisław: *Z gwiazdą mocarza*; — Paszkowski Edward: *Rozbitki*; — Rafał O. Kapucyn: *Życie św. Franciszka Serafickiego*; — Stefanowska-Tobieczuk Władysława: *Dzieje muzyki w życiorysach*; — Tretiak Józef: *Bohdan Zaleski do upadku powstania listopadowego 1802—1831. Życie i poezya*; — Ułaszyn H.: *Filologia i lingwistyka prof. A. Brücknera*; — U wrót życia; — Wasiułyński Bohdan: *Ludność żydowska w Królestwie Polskiem*; — Zieliński Walenty: *Królewskim szlakiem*; — Żuławski Jerzy: *Koniec Mesjasza*; — *Kronika*; — *Wyjaśnienie*; — *Komunikat*; — *Czasopisma*; — *Bibliografia*; — *Ogłoszenia*.

## BIBLIOGRAFIA.

### KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

ABRAMOWSKI EDWARD: *Badania doświadczalne nad pamięcią. Tom II. Podświadomość. 13 tablic i 8 rysunków. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowym im. d-ra Józefa Miaowskiego. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.*

— *Telepatia doświadczalna, jako zjawisko kryptomnezyi (Praca z Laboratorium Psychologicznego w Warszawie). Warszawa, 1911. Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.*

ANNUAIRE DE L'UNIVERSITÉ DE SOFIA. *Partie Officielle. Sofia, 1911.*

— II. *Faculté Physico-Mathématique. Sofia, 1911.*

— III. *Faculté de Droit. Sofia, 1911.*

BAJKI EZOPA w opracowaniu Or-Ota. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

BÄR MAR. D-R: „*Der Adel und der adlige Grundbesitz in Polnisch-Preussen zur Zeit der preussischen Besitzergreifung. „Mitteilungen der K. preussischen Archivverwaltung.“ Heft 19. Leipzig, 1911.*

BOBRZYŃSKI K.: *Ze studyów nad nauczaniem psychologii w szkołach średnich. „Biblioteka Krytyczna.“ Kraków, 1911. Nakładem księgarni D. E. Friedleina. Warszawa. Księgarnia E. Wende i S-ka.*



BONIECKI ADAM: Herbarz polski. Tom XIV, zeszyt 6. „Lewikowscy — Lichańscy.“

— Herbarz polski. Tom XIV, zeszyt 7. „Lichańscy—Lipinkowie.“

CESARZOWA JÓZEFINA, z pamiętników księżnej d'Abantés, damy dworu z czasów I Cesarstwa. Tłómaczyła Aniela Barthel de Weidenthal. Część I i II. Warszawa. 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

CZUBEK JAN: Rękopisy hr. Morstinów w Krakowie. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności.

D'ABANCOURT DE FRANQUEVILLE HELENA: Linia i plama w malarstwie.

DANRIT kapitan: Człowiek-ptak. Przekład z francuskiego Edmunda Jezierskiego. (Z ilustracjami). Warszawa, 1912. Nakład Akc. Tow. wydawnicz. „Świat.“ Wydawnictwo „Przyjaciela dzieci.“

FRAZER, PROF., J. G.: Czarownik — Kapłan — Król. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni G. Centnerszwer i S-ka.

GAUTIER TEOFIL: Kapitan Fracasse. Powieść, tlómaczona przez Władysława Bogusławskiego. Tom II, z 6 ilustr.

GĄSIOROWSKI WACŁAW: Bem. Powieść historyczna z XIX w. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

GOMULICKI WIKTOR: Dwa romanse. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“ Tom 713. Warszawa, 1912.

— Grandmuszkieter. Powieść historyczna z czasów Augusta Mocnego. Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa.

— Rok 1812. Powieść dla młodzieży, z 8 rycinami Konstantego Gorskiego. Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa.

GUMPOWICZ LUDWIK: Zarys życia i pracy. Skreślony przez Stanisława Posnera. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

HUGO WIKTOR: Człowiek śmiechu. Powieść. Tłómaczył z francuskiego Felicjan Faleński. Tom III, z 7 ilustracjami. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. „Ciekawe powieści.“

— Han z Islandyi. Powieść historyczna. Tom III. Warszawa. „Biesiada Literacka.“

JANKOWSKI JÓZEF: Magia piękności (Teorya równej wagi). Zarys wiedzy Jedności. Listy do przyjaciółki. Tym, co nie wiedzą. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

JEROME K. JEROME: Umiejętność postępowania z kobietami (Druga seria myśli próżniaka). Przekład J. P. Warszawa. „Bibl. Dzieł Wyborowych.“

JORDAN-KRAKOWSKI EDWARD: Promyki i chmurki. Zbiorek poezyi. Warszawa, 1912. Księgarnia Jana Fiszera.

KANTAK, KS. K. J.: Państwo. — Naród. — Jednostka. Wydanie drugie przejrane i poprawione przez autora. Poznań, 1911. Nakładem drukarni Św. Wojciecha.

KATALOG LITERATURY Naukowej Polskiej, wydawany przez Komisję Bibliograficzną Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego Akademii Umiejętności w Krakowie. Tom X. Rok 1910. Zeszyt III i IV. Kraków, 1911. W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego.

KATALOG ROZUMOWANY. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Chrześcijańskich“ i kalendarz „Biblioteki Dzieł Chrześcijańskich“ na rok 1912. Warszawa, Gebethner i Wolff.

KIPLING RUDYARD: Zwodne światło. Powieść. Przetłumaczył z angielskiego Anatol Krzyżanowski. Część I. Warszawa, 1912. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

— Zwodne światło. Powieść. Przetłumaczył z angielskiego Anatol Krzyżanowski. Część II. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

KOŁODZIEJCZYK EMIL: Bibliografia słowianoznawstwa polskiego. Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności.

KONOPCZYŃSKI WŁADYSŁAW: Mrok i Świt. Studya historyczne. Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

KOT W BUTACH. Warszawa, Gebethner i Wolff.

KSIĄŻKA PAMIĄTKOWA, 1908—1909 r. Magistrat Miasta Warszawy. Warszawa, 1911.

KULIKOWSKA MARCELINA: Frania (Dziecko śmierci). Nowele. Kraków. Spółka nakładowa „Książka.“ Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

— Z dziejów duszy. Spółka nakładowa „Książka“ w Krakowie. Skład główny w Warszawie, G. Centnerszwer i S-ka.

KURNATOWSKI JERZY: Kooperatywa Spożywcza. Praktyka i teoria. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

LENIEK J., D-R — FR. HERZIG — KS. FR. LEŚNIAK: Dzieje miasta Tarnowa. Wydane nakładem Kasy oszczędności m. Tarnowa ku uczczeniu 50 rocznicy jej założenia. Tarnów, 1911. Czcionkami drukarni Zygmunta Jelenia w Tarnowie.

ŁUNIŃSKI ERNEST: Napoleon, jego życie i czyny w obrazach. (Legiony i Księstwo Warszawskie). Zeszyt VIII i IX. Druk i nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

MAR JAN ST.: Don Juan redivivus. Poemat cyniczny, ozdobił Zygmunt Ryszard Kamiński. Nakładem Wacława Wiedigiera. Wydanie II. Kraków, 1912.

— Struny. (Poezye). Warszawa, 1912. G. Centnerszwer i Ska.

MICHAŁOWSKI ZYGMUNT: Listy „Dzikiej“ Jadzi. Warszawa, 1911. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

MICKIEWICZ ADAM: Pisma. Tom II. Wydał, objaśnił, wstępami poprzedził Józef Kallenbach. Nakładem księgarni F. Westa w Brodach, 1911.

MOŚCICKI HENRYK: Dzieje porozhiorowe Litwy i Rusi. Zeszyt VIII. Wilno, 1911.



NEWCOMB SIMON: *Astronomia dla wszystkich*, wykład popularny zjawisk niebieskich. Przetłumaczył z angielskiego i według drugiego wydania niemieckiego uzupełnił R. Merecki, ze słowem wstępnym S. Dicksteina. Nakładem Henryka Lindenfelda. Warszawa, 1912. Skład główny w księg. G. Centnerszvera i S-ki.

OCHENKOWSKI HENRYK, D-R: *Autoportrety Albrechta Dürera*. Rozprawa inauguracyjna fakultetu filozoficznego uniwersytetu w Heidelbergu dla otrzymania stopnia doktora. Strasburg, 1910.

— *Monachijski autoportret Albrechta Dürera*. Studium nad ścisłym oznaczeniem jego daty. Berlin, 1911. „Repertorium für Kunstwissenschaft.“

— *Portret Złotnika przez Albrechta Dürera*. Rozprawa. Berlin, 1911. „Repertorium für Kunstwissenschaft.“

ORŁOWSKI WACŁAW: *Pieśń Legionistów „Jeszcze Polska nie zginęła,“ jej powstanie i historia*. Kraków, 1911. Druk W. L. Anczyca i Sp.

ORWICZ JERZY: *Nad Arnem, obraz z życia Juliusza Słowackiego w 3-ach aktach*. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

PERZYŃSKI WŁODZIMIERZ: *Wiosna*. Warszawa, 1912. Druk i nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

PODRĘCZNIK KORESPONDENCYI HANDLOWEJ polsko-niemieckiej. Opracował Władysław Olszewski, Doc. Akademii Handlowej w Antwerpii. Warszawa, 1911. Księgarnia M. Arcta.

PODRÓŻE GULIWERA. Warszawa, Gebethner i Wolff.

PRZYBOROWSKI WALERY: *Pod Stoczkiem*. Powieść historyczna z roku 1831-go. Z ośmioma rycinami K. Gorskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

RADZIWIŁŁOWICZ R., D-R MED.: *Zagadnienia psychologiczne*. Spółka Nakładowa „Książka“ Kraków-Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka.

ROCZNIK AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI w Krakowie. Rok 1910 — 1911. Nakładem Akademii Umiejętności.

SHAKESPEARE WILIAM: *Dzieła dramatyczne w dwunastu tomach z portretem autora*. Przekład J. Kasprówicza, J. Korzeniowskiego, St. Koźmiana, K. Ostrowskiego, A. Pajgerta, J. Paszkowskiego, E. Porębowicza i L. Ulricha. Tom I. *Życie, twórczość i sława Shakespeare'a*, przez R. Dybowskię. *Burza.—Dwaj panowie z Werony.—Figle kobiet*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

SIENKIEWICZ HENRYK: *Światła i kwiaty*. Myśli zebrane z utworów Henryka Sienkiewicza. Ułożył Maryusz. Trzecie pomnożone wydanie. Poznań, 1912. Warszawa. Księgarnia E. Wende i S-ka.

— *W pustyni i w puszczy*. Warszawa, 1912. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

SKARGA PIOTR: *Kazania sejmowe, z pierwodruku roku 1597*. Wydał i przedmową poprzedził Ignacy Chrzanowski. Wydanie drugie, poprawione

i znacznie uzupełnione; z portretem Skargi. Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa.

SPRAWOZDANIE Komitetu Towarzystwa Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie, za rok 1907, 1908 i 1909.

SPRAWOZDANIA z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Warszawa, 1911. Czerwiec-październik. Księgarnia E. Wende i S-ka.

STAFF LEOPOLD: To samo. Dramat w trzech aktach. Lwów. Nakład księgarni polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

SZPOTAŃSKI STANISŁAW: Po zjeździe w Rapperswilu. Nakładem wydawnictwa „Życie“ w Krakowie. Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

ŚLICZNA KSIĄŻECZKA z wierszykami Bratka. Warszawa. Gebethner i Wolff.

ŚWIAT ZWIERZĄT. I. Zwierzęta ssące. Wydanie polskie, pod redakcją prof. Jana Sosnowskiego. Zeszyty III, IV, V i VI. Warszawa, 1911. Nakład Gebethnera i Wolffa.

ŚWIAT ZWIERZĄT. I. Zwierzęta ssące. Wydanie polskie, pod redakcją prof. Jana Sosnowskiego. Zeszyty VIII, IX, X, z licznymi ilustracjami. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff.

TETMAJER-PRZERWA KAZIMIERZ: Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem. Anegdota. Warszawa, 1912. Nakład Gebethnera i Wolffa.

WARCHOLIK STANISŁAW: Niepołomice. Kraków, 1911. Nakład „Ziemi.“

WASILEWSKI LEON: Ukraina i sprawa ukraińska. Spółka nakładowa „Książka“ w Krakowie. Warszawa, G. Centnerszwer i S-ka.

WELLS H. G.: Człowiek niewidzialny. Powieść fantastyczna. Warszawa, 1912. „Biesiada Literacka.“

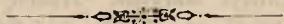
WEYSSENHOFF JÓZEF: Soból i panna. Cykl myśliwski. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

WIZERUNKI KRÓLÓW I KSIĄŻĄT POLSKICH, przez M. Barwickiego z tekstem objaśniającym Henryka Mościckiego. Zeszyt I. Warszawa, 1911. Nakładem A. Chlebowskiego i S-ki.

ZIELIŃSKI WALENTY CZESŁAW: Ale będzie lepiej. Dramat pojęć, pieśń mowna, symfonia duszy cierpiącej a czystej i wielkiej. Kalisz, 1911.

ZIEMKIEWICZ L. M.: Urywki listów nienapisanych. Warszawa, 1912.

ZIĘBOWSKI-FINKELSTEIN MIECZYSLAW: Pieśń Kobiety. Część pierwsza. (Pieśni słoneczne, II). Warszawa, 1912. Księgarnia Jana Fiszera.




---

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURZYCY hr. ZAMOYSKI.

---